

PAWEŁ PIENIAŻEK
Kijów: tutaj bije
serce Europy

UCHODŹCY
Kto naprawdę
im pomaga

OLGA DRENDA
Śmiech idzie
na wojnę

ŚWIAT FISZA
Jak wyśpiewać
politykę

SŁOŃ NA HAJU
Z używką
wśród zwierząt

Kraków 20 marca 2022 nr 12 (3793)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Między nami nie ma granic

Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

**DODATEK
O BRONISŁAWIE
GEREMKU**





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i **Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Historia bez omamów

PANIE PUTIN, POWSZECHNIE SIĘ MÓWI i wszystko na to wskazuje, że zamierza Pan zdobyć Kijów. Nie radzę. Polska też chciała kiedyś zdobyć Kijów, przynajmniej trzy razy. Raz w 1013 r. król Bolesław Chrobry najechał i złupił Kijów, mszcząc się za uwięzienie przez wielkiego księcia Rusi Włodzimierza swojej córki i jej męża, a jego zięcia, Świętopełka (i pomyśleć, że to był ten Włodzimierz, który zdecydował o chrzcie Rusi w roku 988!). Świętopełk wolność odzyskał w 1015 r. i zasiadł na książęcym tronie w Kijowie, jednak po roku został pokonany przez swojego brata (Jarosława) i schronił się u teścia – Chrobrego. W 1018 r. Chrobry z pomocą niemieckich rycerzy pokonał Jarosława i uroczystie wprowadził zięcia (Świętopełka) na kijowski tron. Oczywiście, chciał przez zięcia rządzić Rusią Kijowską. Według Galla, w Kijowie nie napotkał oporu. Wkraczając do miasta, miał uderzyć mieczem w Złotą Bramę.

Wydarzenie to, jak i rzekome wyjaśnienie tego gestu przez Chrobrego, są legendą. Kijowska Złota Brama została zbudowana dopiero w 1037 r., a przechowywany na Wawelu „szczyrbec” – ów domniemany miecz Chrobrego – pochodzi z XIII wieku. Bo i na tym polega siła i znaczenie Kijowa, że inne narody budowały własną symbolikę i mity założycielskie na jego majestacie.

Jak się to skończyło? Chrobry po dziesięciu miesiącach wrócił z Kijowa do Polski. Świętopełk niebawem został przez Jarosława pokonany i wygnany. Zginął w drodze do ojca. Cała wyprawa Chrobrego nie na wiele się zdała.

Pewnie słyszał Pan, Panie Prezydencie Federacji Rosyjskiej, że do Kijowa znów wkroczyliśmy 7 maja 1920 r. Polskim żołnierzom towarzyszyły wtedy ukraińskie brygady atamana Petlury. Kijów się nie bronił. Bolszewicy uciekli, a ludność miasta witała wkraczających jak wyzwolicieli. Przez aleję Chreszczatyk przemaszerowała defilada żołnierzy polskich i ukraińskich. Ludzie wylegli na ulice i wiwatowali. Defiladę przyjmował generał Rydz-Śmigły. Marzenie Piłsudskiego



o federacji polsko-ukraińskiej nie mogło znaleźć wśród Ukraińców zrozumienia – obawiali się zależności od Polski. W Kijowie Polacy utrzymali się przez miesiąc. Trwała wojna i żołnierze zostawili Ukrainę, która w czerwcu 1920 r. – jako USRR – znalazła się pod administracją sowiecką, z sowieckimi represjami i wielkim głodem w latach 30. Nawet jednak przynależność do Związku Socjalistycznych Republik

Radzieckich dobiegła końca i 16 grudnia 1991 r. Ukraińska SRR oficjalnie przestała istnieć. Przypomnę, że w czasie II wojny światowej Ukraina była 778 dni okupowana przez Niemców. Z 900 tys. mieszkańców Kijowa wojnę przeżyło 180 tys. Spod niemieckiej okupacji Ukrainę wyzwoliła w roku 1944 Armia Czerwona.

Teraz obraca Pan w ruinę ukraińskie miasta, niszczy całą infrastrukturę i zabija ludzi, myśląc, że w ten sposób unicestwi Pan ich narodową tożsamość. Jakkolwiek jednak wasza inwazja się zakończy, to i tak ten wasz kosztowny wysiłek okaże się daremny. Może Pan pamięta, że w końcu nie tak znów dawno Pańskim poprzednikom i ich sprzymierzeńcom udało się doprowadzić do tego, że Polska na 123 lata zniknęła z mapy Europy. Każdy z trzech zaborców na swój sposób starał się o zintegrowanie Polaków ze swoim państwem. O kolejnym doświadczeniu, tym z podporządkowaną Rosji Radzieckiej „demokracją ludową” (PRL) już nawet nie piszę. I co? W 1918 r. i w 1989 r. Polska była dalej Polską dumną ze swojej tożsamości i państwa.

Strach pomyśleć, ile te kolejne zabory i odrodzenia kosztowały ludzkiej krwi, cierpienia i zniszczeń. Piszę o tym, aby powiedzieć, jak bardzo w perspektywie historycznej absurdalna jest ta Pańska wojna. Historia może być wielką nauczycielką, jeśli nie myli się jej z państwianką mitomanią. Ukraina jest i pozostanie niepodległym państwem. Ukraińcy są i pozostaną politycznym narodem, a nie odszczepieńcami jakiejś Wielkiej Rosji z Pańskich omamów. Mam nadzieję, że właśnie się Pan o tym przekonuje. ©©

Czytelniczki i Czytelnicy,

w następstwie ataku Federacji Rosyjskiej na Ukrainę kryzys przeżywa także rynek produkcji papieru. Poza ograniczoną dostępnością problemem są kilkudziesięcioprocentowe „dopłaty energetyczne” do jego cen. Starając się zapewnić Państwu stały dostęp do pisma w drukowanej formie, jesteśmy zmuszeni tymczasowo podwyższyć cenę egzemplarza dostępnego w kiosku do 12 zł. Nie ulega natomiast zmianie cena PRENUMERATY pisma (szczegóły na stronie obok oraz pod adresem powszech.net/prenumeruj).

Wykupienie dostępu do stale aktualizowanego serwisu TygodnikPowszechny.pl pozwoli Państwu pobrać wydanie także w formacie PDF – szczegóły: powszech.net/eprenumeruj.

Licząc, że zostaniecie Państwo z nami – bo „Tygodnik” jest suwerenny dzięki Wam, Czytelniczkom i Czytelnikom

Jacek Ślusarczyk, dyrektor wydawnictwa, prezes zarządu

TYGODNIK
POWSZECHNY

24 Na granicy wytrzymałości
MAREK RABIJ
W dwa tygodnie do Polski przyjechało więcej uchodźców niż do Niemiec przez rok podczas wojny w Syrii. Niemal połowa z nich będzie wymagała opieki.



34 Maraton pomagania
ROZMOWA Z BISKUPEM KRZYSZTOFEM ZADARKĄ:
Chciałbym, żeby proboszczowie nie tylko apelowali z ambon o pomoc dla uchodźców, ale też sami dawali przykład.



46 Zapasy są na kilka dni
WOJCIECH PIĘCIAK Z DROHOBYCZA I ZIEMI LWOWSKIEJ
Oprócz tych, którzy uciekli za granicę, na Ukrainie jest milion uchodźców wewnętrznych. Wkrótce mogą być problemy z ich zaopatrzeniem.



78 Wszystko polityką jest
ROZMOWA Z BARTOSZEM FIZSEM WAGLEWSKIM, MUZYKIEM:
Pamiętam, że przerażała mnie brutalność wojny w Jugosławii. Do moich dzieci dopiero dociera, że wojna może zdarzyć się w świecie, w którym przed chwilą tańczyłeś na Tik-Toku.

92 Dywersja komiczna
ROZMOWA Z OLGĄ DRENDĄ, ANTROPOLOŻKĄ KULTURY:
W obśmiewaniu dyktatorów jest coś bardzo środkowo-europejskiego. Pewnie dlatego, że w czasie wojny mogliśmy wygrywać tylko sprytem i hartem ducha.



58 Słoń na haju
MARTA ALICJA TRZECIAK
Na ile aktywnie zwierzęta poszukują w środowisku substancji psychoaktywnych?



6 Damy rękę
MARCIN ŻYŁA

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

24 Na granicy
wytrzymałości
MAREK RABIJ

27 Nie ma szkoły,
nie ma życia
ELIZA LESZCZYŃSKA-
PIENIAK: *W 2021 r.*
zamknięto w Polsce 200
placówek. Mało kto pyta
o zapas, jaką niesie brak
edukacji w gminie

30 Zgłoś, wytnij, zapomnij
ROZMOWA Z PRAWNIKIEM
ANDRZEJEM GĄSIOROWSKIM
o tym, jak państwo i samorządy
bezkarnie likwidują drzewa

■ ■ **WIARA**

34 Maraton pomagania
ROZMOWA Z BISKUPEM
KRZYSZTOFEM ZADARKĄ

38 W Europie bez zmian
S. BARBARA CHYROWICZ:
Ci, którzy wzbudzają
nienawiść, sami mogą paść jej
ofiarami

40 Świecki biskup
MARTA ZDZIEBORSKA:
W ciągu roku na katolicyzm
przeszło aż czterech hierarchów
anglikańskich

■ ■ **ŚWIAT**

46 Zapasy są na kilka dni
WOJCIECH PIĘCIAK
Z DROHOBYCZA I ZIEMI
LWOWSKIEJ

TEMAT TYGODNIKA



12 Wyjechać stąd to jakby rozbić serce
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA

Choć rosyjskie wojsko jest już na rogatkach
Kijowa, mieszkańcy ukraińskiej stolicy
próbują odnaleźć nową normalność. Odnaleźli
też zupełnie nową solidarność.

16 Coraz bliżej nas
WOJCIECH KONOŃCZUK

Wojna z każdym dniem staje się coraz bardziej
brutalna. Niepowodzenia na polu bitwy Rosjanie
rekompensują sobie kolejnymi zbrodniami
na ludności cywilnej.

18 Powieść minionych lat
ROZMOWA Z PROF. TOMASZEM STRYJKIEM,
HISTORYKIEM:
Bez Kijowa Rosjanom trudno sobie wyobrazić
własną historię państwową.

■ **DODATEK SPECJALNY** ■

63 Bronisław Geremek.
Historyk, opozycjonista, dyplomata

■ **FELIETONY** ■

33 JACEK PODSIADŁO **43** WOJCIECH BONOWICZ
76 HANNA KRALL **90** JAN KLATA **91** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: W Hali Cracovii, Kraków 4 marca 2022 r.
FOTOGRAFIA: TOMASZ GOTFRYD
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

50 Ukraińskie muzea
na rosyjskim celowniku
PIOTR KOŚCIEWSKI:
Zdjęcia lwowskich zabytków
ukrywanych w schronach stają
się symbolami tej wojny

52 Niemiecka polityka musi
się zmienić
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Niemcy*
za długo stawiały na dialog
z Moskwą. Dziś biją się w piersi.

■ ■ **NAUKA**

58 Słoń na haju
MARTA ALICJA TRZECIAK

62 Rozłam na niebie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Współpraca naukowa Zachodu
z Rosją może się załamać

■ ■ **KULTURA**

78 Wszystko polityką jest
ROZMOWA Z BARTOSZEM
FISZEM WAGLEWSKIM,
MUZYKIEM

82 Podobne pochodzenia
MAGDALENA NOWICKA-
FRANCAK: „Lata” Annie
Ernaux to obraz jednego
z kluczowych procesów XX w.
na Zachodzie

85 Rodzina na swoim
SEBASTIAN SMOLIŃSKI
o 50 latach z „Ojcem
chrzestnym”

88 Serce w plasterkach
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Inni ludzie”
Aleksandry Terpińskiej

90 Ukraina, Ukraina!
LEKTOR *o powrocie*
do ukraińskiej literatury

■ ■ **ZMYSŁY**

92 Dywersja komiczna
ROZMOWA Z OLGĄ DRENDĄ,
ANTROPOLOŻKĄ KULTURY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ **Pospieszny do Brukseli**

Gruzja nie dołączyła się do sankcji, co wywołało protesty.
Teraz władze proszą o przyjęcie do UE – pisze **WOJCIECH**
JAGIELSKI | www.tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➡ **Cyberwojna: na tajnym froncie Putina**

Nie uznaje granic i próbuje też walczyć o nasze umysły – opowiadają
w „Podkaszce Powszechny” **AGATA KAŻMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI**,
autorzy książki „Strefy cyberwojny” | www.tygodnikpowszechny.pl/podcast



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

DAMY RADĘ

Pod jednym warunkiem: oprócz przepisów o pomocy uchodźcom potrzebujemy taktycznego sojuszu władzy z organizacjami społecznymi.

MARCIN ŻYŁA

Jeszcze w marcu Polska może stać się państwem goszczącym najwięcej uchodźców w świecie. Tylko w ciągu pierwszych 18 dni od ponownej inwazji Rosji na Ukrainę przyjechało do nas 1,8 mln ludzi. Tempo tego eksodusu szybko nie osłabnie. Już natomiast, co normalne przy nadzwyczajnej mobilizacji, słabną siły i możliwości pomagających.

Przyjęta ekspresowo ustawa o pomocy uchodźcom to krok w dobrym kierunku: zapewnia im legalność pobytu (przez półtora roku, z możliwością przedłużenia), dostęp do edukacji, opieki zdrowotnej i rynku pracy, oraz symboliczną pomoc finansową. Ma też umożliwić wypłatę świadczeń osobom, które

goszczą Ukraińców. Jeśli przepisy zadziałają dobrze, sprawią, że uchodźcy w praktyce przestaną być uchodźcami. Państwo musi jednak poprawić warunki w przepełnionych ośrodkach recepcyjnych, uruchomić programy integracyjne i informacyjne. Nie ma potrzeby wymyślania koła. Wzorce integracji, te dobre i te złe, są choćby za naszą zachodnią granicą.

Pasem transmisyjnym dla tych doświadczeń są organizacje pozarządowe – a z wieloma z nich władza jest od dawna na ścieżce wojennej. Napięcie między prawicowym rządem i (najczęściej) liberalno-lewicowymi NGO-sami spotęgowało się w 2021 r. za sprawą kryzysu na pograniczu białoruskim. Rząd mówił

*Ostatni postój
pociągu
Warszawa–Berlin
przed wyjazdem
z Polski. Rzepin,
9 marca 2022 r.*

wtedy o wykorzystywaniu migrantów przez Łukaszenkę. Organizacje – o nie-ludzkich praktykach służb. Echa tego konfliktu słychać i teraz, w chwili, gdy z wszystkich polsko-polskich sporów najmniej potrzebujemy właśnie tego.

Oto czas na taktyczny sojusz między państwem a organizacjami pozarządowymi, za sprawą którego na chwilę udałoby się puścić w niepamięć różnice ideologiczne. Jeszcze przez wiele dni, już nie tylko na dworcach i granicach, ale w całej Polsce, będzie trwał swoisty triaż: oddzielanie potrzeb pilnych i ważnych od tylko ważnych. Według ONZ dalsza eskalacja wojny może trzykrotnie zwiększyć liczbę uchodźców. Taki taktyczny sojusz leży więc w interesie wszystkich: uciekinierów, państwa i NGO-sów. Co więcej, bez siebie nawzajem jego dwa ostatnie elementy po prostu nie dadzą rady.

Stosunkowo silna jak dotąd pozycja Polski podczas wojny rosyjsko-ukraińskiej ma dwa źródła. Pierwszym, „twardym”, jest nasze uczestnictwo w NATO i UE. Drugim – ów nowy „karnawał Solidarności”, masowa mobilizacja Polaków do pomocy Ukraińcom, *soft power*, którą właśnie dostrzega świat. Po nadludzkim wysiłku przyszło jednak pierwsze zmęczenie. A to dopiero początek – przed nami miesiące i lata układania sobie wspólnego życia. Czekają nas, jak zawsze w takich sytuacjach, konflikty – choćby o pracę czy rozmaite aspekty równouprawnienia. Wypatruje ich także – i z pewnością będzie się je starała aktywnie wzbudzać – machina propagandowa Kremla, która w naszym obecnym, przyfrontowym położeniu, w skłócaniu Polaków z Ukraińcami (oraz Polaków między sobą) nie będzie się ograniczać do wątków historycznych. Pierwsze, niepokojące sygnały już są: dziennik „The Guardian” informuje o ludziach przewożonych przez Białoruś znad granicy polskiej w stronę Ukrainy, skąd mieliby przedostać się do Polski – Moskwa i Mińsk świetnie wiedzą, jak duży potencjał ma nasza wewnętrzna kłótnia o migrację z Bliższego Wschodu.

„Damy radę!” – powiedziała Niemcom kanclerz Angela Merkel, gdy jesienią 2015 r. ich kraj otwierał się na milion uchodźców i migrantów z Bliższego Wschodu. I my damy radę – jeśli tylko struktury państwa i organizacje społeczne będą działać w zgodzie. ©P

Sieroty z Ukrainy: gdzie znaleźć miejsce dla dzieci

JEST ICH wedle szacunków kilka tysięcy. Może być wielokrotnie więcej, bo w Ukrainie dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej jest ok. sto tysięcy. – Wizja, że trafi do nas większość z nich, jest realna – ocenia Anna Krawczak, ekspertka Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej.

Przyjeżdżają w zorganizowanych grupach z ewakuowanych domów dziecka lub w mniejszych – w wyniku desperackich decyzji opiekunów zastępczych. „Napisała do nas nieznajoma. Okazała się mamą z piętnastką dzieci. Bała się o ich zdrowie i życie. Poprosiła o pomoc. Od wtorku są już z nami” – napisała na Facebooku Edyta Wojtasińska, sama tworząca rodzinę zastępczą.

Na razie iluzję kontroli dają organizacje i ludzie. Wkrótce może to nie wystarczyć. – Boję się, że porywom serca będzie towarzyszyć polska prowizorka. Przecież hotele, które zgodziły się przyjąć gości, to nie są na dłuższą metę miejsca dla dzieci – mówi Anna Krawczak. – W Koalicji wpadliśmy na pomysł, by rodziny zastępcze przejęły 17 tysięcy naszych dzieci z placówek. I by placówki przejęły z kolei ukraińskie dzieci, dla których i tak byłaby

to zmiana na lepsze. My narzekamy na powolne tempo transformacji systemu pieczy zastępczej, ale Ukraińcy z ich instytucjami-molochami są w zupełnie innym miejscu.

Z tą koncepcją, dodaje ekspertka, jest tylko jeden problem: 17 tysięcy miejsc to za mało. Może też nie wystarczyć ludzi. Dziury próbuje łątać uchwalona właśnie specustawa, tworząc instytucję opiekuna tymczasowego. W praktyce będzie to zwykle Ukrainiec lub Ukrainka przyjeżdżający do nas z osobą nieletnią, rzadziej – z braku innych opcji – Polak lub Polka. Eksperci już ostrzegają, że ten kryzysowy system stwarza realne zagrożenia: jeśli opiekunowie będą weryfikowani restrykcyjnie, to po prostu się zatka (w Stalowej Woli, gdzie przyjmowani są młodzi mieszkańcy ukraińskich domów dziecka, jest – jak zauważa Anna Krawczak – tylko trzech sędziów rodzinnych); jeśli weryfikacja będzie pobieżna, powstanie ryzyko oddania dzieci w nieodpowiednie ręce.

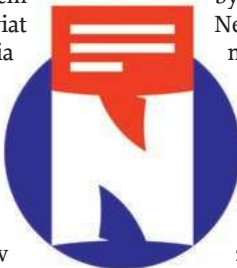
– Jakimś rozwiązaniem byłoby powierzenie sterów weryfikacji ośrodkom pomocy społecznej, oczywiście pozostawiając ostateczną decyzję sądom – radzi ekspertka Koalicji. – Ale żadne rozwiązanie *ad hoc* nie zmienia faktu, że powinniśmy zacząć rozmowy z zagranicznymi partnerami o relokacji przynajmniej części dzieci. Sami nie damy sobie rady.

©© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Głos prawdy z Nexty

BIAŁORUSKI OPOZYCYJNY PORTAL Nexta przeżywa wielkie dni. Po agresji Rosji na Ukrainę stał się najpopularniejszym kanałem informacyjnym, niosącym w świat prawdę o brutalności, z jaką armia Putina prowadzi wojnę. Wiadomości i filmy dokumentujące walki oraz zniszczenia po atakach rakietowych docierają na Telegramie do ponad 2,2 mln subskrybentów, a to tylko część odbiorców, gdyż większość postów jest rozprowadzana po serwisach na całym świecie. Nexta (czyt. Niechta, czyli po polsku „Ktoś”) jest też bardzo popularna na Twitterze oraz w serwisie YouTube.

Twórcą Nexty jest 24-letni Siciapan Puciła, który pierwszy kanał na YouTube założył jako 17-latek w Mińsku. Już trzy lata później stał się obiektem śledztwa milicji i musiał uciekać do Polski. Dziś mieszka w Warszawie i najprawdopodobniej korzysta z ochrony polskich służb z uwagi na liczne groźby śmierci, a także na rolę, jaką on i jego współpracownicy zaczęli niespodziewanie odgry-



wać. Chodzi oczywiście o masowe protesty, które wybuchały na Białorusi po sfalszowanych wyborach prezydenckich w sierpniu 2020 r. Niespotykany wcześniej opór społeczeństwa, manifestującego ponad pół roku,

był możliwy w dużej mierze dzięki Nextcie – setkom jej informacji i filmów oraz mobilizacji Białorusinów, pozbawionych przywództwa z uwagi na ciągłe aresztowania.

Dziś Puciła jest poszukiwany listem gończym (Polska odmówiła jego ekstradycji), a Nexta ma na Białorusi status organizacji ekstremistycznej. Nie wpłynęło to jednak na działalność portalu. Wręcz przeciwnie. Fakt, że Łukaszenka wciągnął Białoruś w wojnę z Ukrainą, umożliwiając atak z terytorium własnego kraju, jeszcze mocniej zmobilizował zespół portalu. Już po kilku dniach od moskiewskiej inwazji Nexta stała się głównym centrum dystrybucji wiadomości i filmów. Są tam materiały własne, filmy ukraińskiej armii oraz zagranicznych korespondentów. Pojawiły się jednak pierwsze krytyczne opinie z uwagi na brutalność niektórych materiałów. ©P MAREK KĘSKRAWIEC

Koronawirus wciąż jest groźny

WOJNA wypchnęła pandemię z przekazów medialnych, ale koronawirus nie odpuszcza. W ubiegłym tygodniu wzrost zakażeń odnotowało wiele krajów europejskich, a eksperci z niepokojem patrzą na Koreę Południową, Japonię i Hongkong (gdzie po wielu miesiącach bez żadnych przypadków covidu w marcu nastąpił duży wzrost zakażeń i zgonów). W Polsce również istnieje ryzyko odwrócenia trendu, a przynajmniej wydłużenia piątej fali, w związku z zaniechaniem prewencji i z powrotem dzieci do szkół.

Nie bez znaczenia jest fakt przybycia do Polski już ponad 1,8 mln uchodźców z Ukrainy. Lekarze i wolontariusze działający na dworcach sygnalizują liczne przypadki objawów covidu. – Dziwię się, że na przejściach granicznych nie zorganizowano punktów sanitarnych, w których badano by przybywających, zakładano dokumentację medyczną, nakładano kwarantanny – mówi epidemiolog Rafał Halik. I zwraca uwagę, że eksodus ludności to sytuacja wrażliwa: – Ludzie wycieńczeni, słaczeni i niedożywieni stanowią populację podatną na wiele patogenów. Może dochodzić do wybuchów ognisk różnych infekcji, np. zakażeń układu pokarmowego.

Populacja ukraińska jest wyszczepiona znacznie słabiej niż polska: dwie dawki przyjęło 35 proc. ludności, a trzecią tylko 2 proc., w dodatku wśród stosowanych tam preparatów znajdowały się rosyjski Sputnik i chiński Sino-vac, niezatwierdzone przez Europejską Agencję Leków. Niskie wskaźniki zaszczepień dotyczą też innych chorób, jak odra, gruźlica czy polio. – Nie oznacza to, że uchodźcy są dla nas zagrożeniem – uspokaja Halik. – Większość polskiej populacji jest dość dobrze zaszczepiona na te patogeny.

© MACIEJ MÜLLER

Wywiad z Rafałem Halikiem
czytaj na tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

KRAJ W SKRÓCIE

PREZYDENT

„Mam nadzieję, że sprawy związane z bezpieczeństwem Polski będą tymi, wokół których uda się zbudować ponadpartyjne porozumienie” – powiedział w Zgromadzeniu Narodowym Andrzej Duda, dodając, że obecność w NATO i w UE to „fundamenty naszego bezpieczeństwa” i „polska racja stanu”.

PRZEWODNICZĄCY

„Dopóki pan Z jest ministrem sprawiedliwości, dopóty proeuropejskie ładne wystąpienia pana prezydenta będą wciąż tylko ładnymi wystąpieniami” – skomentował Donald Tusk.

PREMIER

Mateusz Morawiecki zapowiedział przedłużenie funkcjonowania tzw. tarczy antyinflacyjnej i zadeklarował podjęcie prac nad tarczą antyputinowską. „To jest walka o to, żebyśmy znowu nie byli niewolnikami Rosji, tak jak przez dziesięciolecia, przez stulecia, bo wtedy poniesiemy cenę dużo dłuższą” – powiedział, nie do końca jednak rozumiał premier, nadmieniając, że „skompromitowana polityka UE, która ma twarz Gerharda Schrödera, odchodzi do lamusa”.

TŁUMACZ

Podczas spotkania Agaty Kornhauser-Dudy z uchodźcami z Ukrainy, zorganizowanego w Centrum Księdza Oriona, tłumaczem był oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji Mateusz Piskorski. Po nagłośnieniu tego faktu przez portal wp.pl Kancelaria Prezydenta „przekazała sprawę odpowiednim służbom”.



TOMASZ GZELL / PAP

Myśliwce i myślenie strategiczne

PAWEŁ BRAVO



KWESTIA PRZEKAZANIA UKRAINIE POLSKICH MYŚLIWCÓW MiG-29 zakończyła się w sposób, który mógł wzbudzić konsternację – zwłaszcza wobec licznych sygnałów jedności odzyskanej w warunkach wojny przez NATO. Złożona publicznie oferta oddania maszyn w ręce Amerykanów, aby to oni dalej poprowadzili transfer – którą Waszyngton natychmiast odrzucił – może się wydawać co najmniej dziwna. Tym bardziej że wiarygodni analitycy twierdzą, że to nie myśliwce w pierwszej kolejności mogą zdecydować o odzyskaniu kontroli nad ukraińskim niebem.

A jednak ten manewr wygląda na rozsądny, jeśli weźmiemy pod uwagę kontekst: starania Ukrainy, by wojnę w maksymalnym stopniu uczynić sprawą międzynarodową – stąd m.in. apele prezydenta Zełenskigo o ustanowienie przez NATO strefy zakazu lotów nad jego krajem. A także potrzeby ukraińskiej armii, której dotychczas dostarczane wyposażenie nie wystarcza, by skutecznie przeciwdziałać rosyjskim atakom. Być może, w ocenie polskich władz, NATO, a w kwestiach niemilitarnych Unia nie dość energicznie wychodzi naprzeciw tym potrzebom. Prezydencki minister Jakub Kumoch w głośnej już wypowiedzi dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” przypominał, że „z historii znamy sytuacje, kiedy ktoś będący daleko nie zrobił, co należy, a rachunek zapłacili ci, którzy byli na miejscu”. Strona polska ucieła amerykańskie sugestie, byśmy samodzielnie zajęli się przekazaniem samolotów, i uczyniła to w sposób, który nagłośnił sprawę dalszej pomocy dla Ukrainy w innej formie, np. posowieckich systemów rakietowych ziemia-powietrze S-300. O ich możliwym przekazaniu ma rozmawiać, wedle „The Washington Post”, sekretarz obrony Lloyd Austin w trakcie najbliższej wizyty na Słowacji. ©

Prawa niezgodne z Trybunałem

ZA SPRZECZNY z ustawą zasadniczą uznał Trybunał Konstytucyjny przepis Europejskiej Konwencji Praw Człowieka gwarantujący każdemu prawo do sprawiedliwego i publicznego rozpatrzenia jego sprawy w rozsądnym terminie przez niezawisły sąd.

O co chodzi? O wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w kwestii pozbawienia przez ministra sprawiedliwości funkcji dwojga prezesów sądów, a także w sprawie sędziów, którzy przegrali konkursy przed neo-KRS. ETPC uznał, że w obu przypadkach doszło do naruszenia art. 6 konwencji, gwarantującego prawo do niezawisłego i bezstronnego sądu. Prokurator generalny we wniosku do TK argumentował z kolei, że ETPC przekroczył swoje kompetencje. Jego skarga wpłynęła do Trybunału 9 listopada, dzień po wyroku ETPC, w którym stwierdzono m.in., że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego nie jest niezależnym i niezawisłym sądem, bo system powoływania sędziów jest niewłaściwy.

Orzeczenie TK kontrolowane przez PiS nie jest zaskoczeniem. Znamienny wydaje się jednak moment decyzji. Nawet mając wojnę u granic Polski, PiS nie odpuszcza planu upolitycznienia polskiego systemu prawnego. © MR



JOSE CASTANARES / AFP / EAST NEWS

WULKAN POPOCATÉPETL w Meksyku, pieszczotliwie zwany przez mieszkańców El Popo, obchodzi swoje święto 12 marca. Według legendy mieszkający nieopodal góry pasterz spotkał starca o imieniu Gregorio Popocatepetl – był to duch wulkanu, który przyszedł ostrzec mieszkańców o zbliżającej się erupcji. Na pamiątkę tego spotkania, w dniu św. Grzegorza, mieszkańcy uczują na zboczach wulkanu i przystrajają je kwiatami. Złożone ofiary mają ustrzec ich przed wybuchem. Popocatepetl został także uwieczniony w powieści Malcolma Lowry'ego „Pod wulkanem”. © J. G. A.

Toksyczna waluta i lotnictwo nad przepaścią

BEZPRECEDENSOWE SANKCJE, które państwa Zachodu nałożyły na Rosję, dewastują jej gospodarkę i izolują ekonomicznie od innych krajów rozwiniętych. Rubel stał się walutą toksyczną, której wartość jest już mniejsza od jednego amerykańskiego centa. Ratingi Rosji obniżone zostały do poziomu śmieciowego, a Moskwie grozi niewypłacalność. Według banku Morgan Stanley może to nastąpić nawet w połowie kwietnia. Setki zachodnich koncernów już wycofały się z Rosji, zamykając swe fabryki, restauracje i sklepy, które, według zapowiedzi Kremla, zostaną znacjonalizowane. Na niewiele się to zda, gdyż bez dostaw technologii i półproduktów nie będą mogły normalnie funkcjonować. Np. embargo na dostawy może uziemić rosyjskie lotnictwo pasażerskie już w najbliższych miesiącach.

Moskwa próbuje się ratować coraz bardziej desperackimi krokami. Zalegalizowała kradzież patentów z krajów uznanych za nieprzyjazne (czyli m.in. z USA i UE) oraz korzystanie z pirackie-

go oprogramowania (wszak Microsoft również się wycofał).

Według analiz Polskiego Instytutu Ekonomicznego Rosja w ciągu pierwszych dwóch tygodni wojny straciła 15 mld dolarów z powodu zablokowanego eksportu, utraconego PKB oraz zniszczonego sprzętu bojowego. A to nie wszystko – wyceny rosyjskich spółek na londyńskiej giełdzie spadły o 334 mld dolarów, a rosyjski bank centralny utracił dostęp do ogromnej części swoich rezerw. Wymierne straty notują także oligarchowie, którym państwa UE zajmują jachty, posiadłości i luksusowe samochody. Według PIE rosyjska gospodarka zanotuje w tym roku 20-procentową recesję, w wyniku czego skurczy się o co najmniej 250 mld dolarów. Byłby to kryzys głębszy niż ten w 1998 r.

Niestety jak na razie nie skłoniło to Kremla do zmiany postępowania w Ukrainie, ani nie doprowadziło do politycznego lub społecznego przesilenia w Moskwie. Sankcje mają jednak to do siebie, że potrzebują czasu, by ich skutki w pełni dotarły do świadomości polityków oraz społeczeństwa. Państwa Zachodu wciąż mogą je rozszerzyć, co w przypadku ewentualnej eskalacji wojny wydaje się nieuchronne. © PIOTR WÓJCIK

No Stream 2



KRZYSZTOF STORY

EUROPA BEZ ROSYJSKIEJ ROPY I GAZU – TO coraz bardziej realny scenariusz. Jeszcze w pierwszej połowie minionego roku co czwarta baryłka ropy w Unii Europejskiej pochodziła z Rosji – dało to Moskwie 24,7 mld euro zysku. Do tego płaciliśmy 17 mld euro za gaz ziemny, którym zaspokajamy 48 proc. zapotrzebowania całej Unii, oraz ponad 2 mld euro za węgiel.

Po ponownej inwazji Rosji na Ukrainę pojawiają się deklaracje zwiastujące trzęsienie ziemi na energetycznym rynku. Stany Zjednoczone zapowiedziały embargo na paliwa kopalne z Rosji, Niemcy – zawieszenie gazu Nord Stream 2, koncerny BP i Shell – rezygnację ze współpracy z rosyjskimi firmami, przewodnicząca Komisji Europejskiej – strategię odejścia od rosyjskiej energii do 2027 r. Międzynarodowa Agencja Energetyczna (IEA) sugeruje w nowym raporcie wprowadzenie zakazu podpisywania nowych umów z Rosją (tylko w 2022 r. wygasają kontrakty na 12 proc. dostaw gazu do Unii), poszukiwanie alternatywnych źródeł, a także... zmniejszenie temperatury w domach o 1 stopień Celsjusza. Dla Polski, która od Rosji kupuje 63 proc. ropy, takim alternatywnym źródłem może być Iran, na rynku gazu zaś Norwegia, z którą od października ma nas łączyć gazociąg Baltic Pipe.

Ale najważniejszą propozycją IEA są szybkie i duże inwestycje w odnawialne źródła energii, energię jądrową i pompy ciepła. Nawet w Niemczech trwa dziś debata nad wstrzymaniem wygaszania elektrowni jądrowych. Widać, że cele polityki klimatycznej mogą być spójne z sankcjami wobec putinowskiej Rosji, co wyraża popularne ostatnio hasło „3D” – derusyfikacja, dywersyfikacja, dekarbonizacja. ©

LICZBA TYGODNIA

36,3

miliarda ton dwutlenku węgla wyemitowano na świecie w 2021 r. Jest to najwyższy wynik i najwyższy wzrost (o 6 proc.) w ciągu roku. Tak z perspektywy atmosfery wyglądało, zasilane głównie węglem, „odbicie się” gospodarki po pandemicznym kryzysie.

Watykan mrugnął okiem

EDWARD AUGUSTYN



LEGŁA W GRUZACH WSCHODNIA POLITYKA WATYKANU. Zresztą nie tylko Watykanu – dobre relacje z Moskwą wiele krajów uważało za gwarancję pokoju. Ale gdy większość potępiła rosyjską napaść na Ukrainę, Stolica Apostolska została w gronie tych, które długo nie chciały agresji i agresora nazwać po imieniu. Watykan potępia wojnę, nie mówiąc, kto jest jej winny. Proponuje mediacje – i ważenie słów jest ceną za ten pomysł, równy cudowi. Dla Kremla zwierzchnik zachodniego Kościoła nie jest bezstronnym mediatorem. Wojna z Ukrainą to wojna z Zachodem.

Trzeszczą fundamenty społecznej nauki Kościoła. Jest tam wiele o pokoju i wysiłkach, by go za wszelką cenę utrzymać, a mało o sytuacji, gdy go zabraknie. Bezradność: wracamy do koncepcji wojny sprawiedliwej, którą ciężko połączyć z pacyfizmem papieża Franciszka (i Ewangelii).

Słowa mają znaczenie – mówi kard. Pietro Parolin w wywiadzie dla watykańskich mediów. Przyznaje, że „nazywanie tego, co się dzieje w Ukrainie, operacją militarną było nieuznawaniem realności faktów”. Właśnie zaczął się trzeci tydzień wojny. Dwa dni wcześniej watykański dziennik „L'Osservatore Romano” opublikował na pierwszej stronie zdjęcia ze zbombardowanego szpitala w Mariupolu, opatrzone tytułem: „Operacja militarna”. Nie była to ironia ani wyraz buntu redakcji wobec wcześniejszych słów sekretarza stanu. Publikacja została z nim uzgodniona. Miała być znakiem dla czytelnika, porozumiewawczym mrugnięciem, że dyplomatyczne eufemizmy nie są w stanie przesłonić prawdy. Tyle że autorytetu nie buduje się mrugnięciem oka. ©P

Więcej czytaj na tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

Post od gazu

WALKA Z UZALEŻNIENIEM to dobry pomysł na Wielki Post. Także z uzależnieniem od rosyjskiego gazu, o co apelują aktywiści Ruchu Laudato si', nawołując do indywidualnych działań: obniżenia temperatury w domach, oszczędnego korzystania z ciepłej wody, rezygnacji z podgrzewania posiłków. Będzie to nie tylko akt religijny umartwienia i gest solidarności z uchodźcami, cierpiącymi z powodu zimy i głodu, ale też – co nie mniej ważne – cios w Rosję, dla której sprzedaż paliw kopalnych jest jednym z najważniejszych źródeł finansowania wojny z Ukrainą.

Ruch Laudato si' powstał w 2015 r. (jako Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska) po ogłoszeniu przez papieża ekologicznej encykliki, od której przejął nazwę. Co roku, z okazji Wielkiego Postu, postuluje zmianę nawyków konsumenckich (ograniczenie zakupów, przejście na dietę wegetariańską, rezygnację z jednorazowych opakowań z plastiku) i społecznych – na przykład post od zbędnych słów i komentarzy w mediach społecznościowych. EA ©P

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

APEL

„W imię Boże, proszę was, powstrzymajcie tę rzeź!” – apelował Franciszek po niedzielnej modlitwie Anioł Pański, nawiązując do wojny w Ukrainie. Otoczony i bombardowany Mariupol papież nazwał miastem męczeńskim.

PROTEST

Z powodu poparcia, którego udzielili napaści na Ukrainę zwierzchnicy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, czeski ekumenista Pavel Černý wezwał do usunięcia tej wspólnoty ze Światowej Rady Kościołów. Černý jest emerytowanym przewodniczącym ewangelikalnego Kościoła Braci i byłym wiceprzewodniczącym Światowej Rady Kościołów w Republice Czeskiej.

DYMISJA

Papież dymisjonował 57-letniego bp. Daniela Fernández de Torresa z Arciepo w Portoryko. Watykan nie podał wyjaśnień, ale portorykański hierarcha zastrzegł ze sprzeciwiania się szczepieniom przeciwko COVID-19 i podpisywania odwołujących się do religii zwolnień dla osób, które nie chciały być szczepione.

BOMBA

W dniu urodzin proboszcza z Caivano koło Neapolu ks. Maurizio Patriciello (na zdjęciu) przed kościołem parafialnym wybuchła bomba. Ksiądz znany jest z walki o ekologię i krytykowania camorry. W 2017 r. apelował do umierającego we włoskim więzieniu bossa cosa nostra Totò Riina, by się nawrócił.



CESARE ABBATE / APA / PAP



EVGENIY MALOLETKA / AP / EAST NEWS

Paulin z Mariupola: z diabelską intencją niszczą miasto

„**MARIUPOL** przypomina Armagedon, to jest prawdziwe piekło” – mówił Rádiu Watykańskiemu paulin o. Paweł Tomaszewski 9 marca. Z grupą cywilów po jedenastu dniach wojny udało mu się ewakuować z oblężonego miasta. „Nigdy nie zapomnę kobiety w ciąży, która uklękała przed separatystami z tzw. Republiki Donieckiej, błagając by nas przepuścili. Zatrzymali konwoj, ale pozwolili się schronić w małej wiosce” – mówił o. Tomaszewski. Stamtąd na następny dzień cudem – jak mówi paulin – udało im się polnymi drogami przebić przez rosyjskie okupacje.

„Gdy wyjeżdżaliśmy, Mariupol był bardzo zniszczony. Nie było dzielnicy miasta, gdzie nie spadałyby pociski, gdzie nie byłoby zniszczeń, zniszczonych bloków i budynków. Z diabelską intencją niszczą miasto, równają je z ziemią. To wielka tragedia dla ludzi, którzy nie mogą wyjść na zewnątrz, nie mogą nic kupić, nie mogą funkcjonować normalnie, bo zawsze jest zagrożenie życia. Gdy wyjeżdżaliśmy, była krótka przerwa w ostrzałach... Ludzie wtedy zaczęli kraść, wynosić wszystko ze sklepów. To było przerażające, sami sobie szkodzili. Nie ma niczego, wody, żywności. Nie ma już sklepów, więc nie można już nic kupić. Czasem przyjeżdżają samochody ze zbiornikami wody czy cysterny, ale jest tego strasznie mało. Nie ma też wody wodociągowej, która i tak nie nadawała się do picia. Jedzenie się kończy, a ostrzeliwania trwają” – relacjonował zakonnik.

W tej chwili o. Tomaszewski wraz z drugim zakonnikiem z Mariupola o. Pawłem Tkaczykiem są już bezpieczni w paulińskim klasztorze w Kamieńcu Podolskim w Ukrainie. ©P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

LAUREAT

Mykoła Riabczuk, długoletni przewodniczący jury Angelusa, został laureatem Narodowej Nagrody im. Tarasa Szewczenki 2022 – najważniejszego ukraińskiego wyróżnienia przyznawanego za osiągnięcia w dziedzinie kultury. Mykoła Riabczuk jest ukraińskim poetą, krytykiem literackim, eseistą i publicystą. Publikował także na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

NOMINOWANI

Ogłoszono długą listę powieści nominowanych do Międzynarodowej Nagrody Bookera 2022. Są wśród nich „Księgi Jakubowe” Olgi Tokarczuk w tłumaczeniu Jennifer Croft. Z kolei wśród nominowanych do najbardziej prestiżowej czeskiej nagrody literackiej Magnesia Litera znalazł się „Łód” Jacka Dukaja w przekładzie Michali Benešovej i Michaela Aleksey.



MISTRZYNIE

Anna Sułkowska-Migoń (na zdjęciu) i Joanna Natalia Ślusarczyk zajęły kolejno pierwsze i drugie miejsce w konkursie dla dyrygentek „La Maestra”, organizowanym przez Filharmonię Paryską oraz Paris Mozart Orchestra. Konkurs to reakcja na ogromną dysproporcję płci w tym zawodzie.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



„MISJA MAŁEGO KSIĘCIA” – piętnastoro dzieci z jednej z prywatnych szkół w Szwajcarii wzięło udział w eksperymencie, podczas którego spędziły trzy dni odcięte od świata w podziemiach wybudowanego podczas II wojny światowej fortu artyleryjskiego Champex-Lac w Orsières, który w czasie zimnej wojny służył jako schron przeciwatomowy. Do obowiązków ośmioletnich astronautów i astronautek należało m.in. poszukiwanie fragmentów asteroidy z użyciem robotów. Zajęcia zaplanowano jako symulację pobytu na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). 10 marca 2022 r. © P. ŁK

Zabierz poduszkę na test z matematyki

NA RYNKU są już dostępne urządzenia działające kojąco dzięki oddziaływaniu na zmysł dotyku – np. opaski generujące przyjemne drgania albo maskotki-roboty do przytulania i głaskania. Alice Haynes z Uniwersytetu Bristolskiego postanowiła sprawdzić, czy takie przedmioty mogą łagodzić stres pojawiający się przed egzaminem z matematyki.

Zespół badawczy zaprojektował kilka prototypów nadmuchiwanym poduszek posiadających dodatkowe funkcje: jedna z nich mruczała niczym śpiący kot, inna generowała delikatne drgania, przypominające powolne bicie serca, kolejna zmieniała kolory, jeszcze inna powoli kurczyła się i rozkurczała, dzięki czemu sprawiała wrażenie, że oddycha. Następnie poduszki wręczono grupie ochotników, którzy mieli przystąpić do testu z matematyki, a także ocenić przed nim i po nim swój poziom zestresowania.

Wyniki badania? Przytulanie przez kilka minut poduszki imitującej oddychanie działało przed testem najbardziej kojąco – efekt był porównywalny do tego uzyskanego dzięki sesji medytacyjnej, w której wzięła udział inna grupa osób badanych. Efekt nie pojawia się jednak u wszystkich osób – kilkoro uczestników przyznało, że imitujące ludzkie ciało poduszki są raczej odpychające. © P. ŁK

Co potrafi Ithaca

INSKRYPCJE są jednym z głównych źródeł wiedzy o starożytności. Niestety, wiele ze starożytnych napisów, które dotrwały do naszych czasów, nie jest kompletnych, często nie znamy również dokładnego miejsca i czasu ich powstania, co utrudnia interpretację zachowanego tekstu. Ale w rozwiązaniu tych problemów pomocna może być sztuczna inteligencja.

Zespół badawczy z firmy DeepMind opisał w „Nature” swoje najnowsze osiągnięcie – Ithakę. To wytrenowany na ponad 78 tys. greckich inskrypcjach (pochodzących z okresu od VII w. p.n.e. do V w. n.e.) program zdolny do uzupełniania brakujących fragmentów inskrypcji, a nawet wskazania prawdopodobnego miejsca i czasu ich powstania. Sama Ithaca wykazuje ok. 60-proc. skuteczność w uzupełnianiu brakującego tekstu, ale prawdziwą moc ujawnia w rękach zawodowych historyków – poprawność ich odpowiedzi wzrosła z 25 do przeszło 70 proc., gdy wspomagali się programem. Ithaca radzi sobie także dwukrotnie lepiej niż Pythia – poprzednia wersja algorytmu, stworzona przez ten sam zespół w 2019 r. Oprogramowanie udostępnione zostało na stronie ithaca.deepmind.com.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

WYJECHAĆ STĄD TO JAKBY ROZBIĆ SERCE

Choć rosyjskie wojsko jest już na rogatek Kijowa,
mieszkańcy ukraińskiej stolicy
próbują odnaleźć nową normalność.
Już odnaleźli zupełnie nową solidarność.

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA

*Muzycy Kijowskiej Orkiestry Symfonicznej
podczas występu na placu Niepodległości,
9 marca 2022 r.*



W MODNEJ RESTAURACJI DUBLER, niedaleko od centrum, panuje wzmożony ruch. Co chwilę ktoś wchodzi i wychodzi. Niektórzy wnoszą produkty spożywcze, inni wynoszą kartony pełne jedzenia. Szef kuchni i reszta kucharzy uwijają się, by nałożyć kolejne porcje do opakowań. Niedawno serwowali śniadania typu omlet z serem brie i szpinakiem albo dania główne w rodzaju sznycła z guacamole i sałwą, które goście spożywali w starannie zaprojektowanym wnętrzu. Po rosyjskiej inwazji skupili się na prostszych posiłkach. Szykują porcje kurczaka z makaronem i sosem pomidorowym, a także pierogi. Wolontariusze umieszczają zapakowane posiłki w pudełkach, dokładają chleb i jakieś przekąski

Dubler jest częścią kooperatywy złożonej z kilkunastu restauracji, które zapewniają posiłek 12 tys. ludzi. Rozwożą je żołnierzom, szpitalom i osobom starszym, które znalazły się w potrzebie.

32-letni Radysław Usiejew zgłosił się do pomocy dwa tygodnie temu. Gdy w Kijowie panował spokój, był fotografem rządzącej partii Sługa Narodu prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. Po tym, jak rosyjskie wojska stopniowo zbliżały się do stolicy, pożyczył od sąsiadki samochód i zaczął rozwozić jedzenie. Został jednym z niemal stu kierowców, dzięki którym posiłki docierają pod wskazane adresy. Dziś akurat trafiło mu się tylko kilka pudełek.

– Muszę dostarczyć je kilku starszym kobietom – mówi Usiejew.

W knajpie widzi to, co 11 lat temu zważyło go do stolicy z Charkowa: nieustanny

ruch i energię, które charakteryzowały Kijów, nim przygłuszyła je wojna.

Praca w czasie wojny

Choć to dopiero trzeci tydzień tej odsłony rosyjskiej inwazji, 25-letnia Marija Pidwysocka musiała zapytać znajomych z pracy, by przypomnieć sobie, jak to wszystko się zaczynało. W czasach pokoju obsługiwała media społecznościowe Dublera i należącej do tego samego właściciela kawiarni Dyletant. Przez pierwsze dwa dni inwazji Pidwysocka się bała, szczególnie gdy były syreny ostrzegające przed atakiem z powietrza. Nie wiedziała, co robić, i poważnie się zastanawiała, czy nie wyjechać w bezpieczniejsze miejsce.

Wojna na Ukrainie wybuchła w 2014 r., ale przez osiem lat ograniczała się do terytorium Donbasu. Zginęło w niej co najmniej 13 tys. osób, jednak w większości kraju panował spokój. Powszechnym doświadczeniem stała się ona 24 lutego, gdy Rosja napadła na cały kraj. →





Po lewej: Jeden z wolontariuszy pakuje jedzenie w restauracji Dubler.

Po prawej: 25-letnia Marija Pidwysocka koordynuje działalność wolontariacką w restauracji Dubler.



→ Ataków rakietowych zaznały wszystkie duże miasta; Charków, Czernichów, Mariupol czy Sumy są regularnie ostrzeliwane. Konflikt przestał być już czymś dalekim. Ukraińcy przemieszczają się do zachodniej, najbezpieczniejszej części kraju, a ponad 2,5 mln z nich udało się za granicę, z czego większość do Polski.

Pierwszy szok minął po kilkudziesięciu godzinach. Było już jasne, że to nie będzie błyskawiczny atak, jak zaplanowała Rosja, tylko ślimacząca się ofensywa. Pidwysocka nabierała przekonania, że wszystko jakoś się ułoży. Uspokoił ją telefon od właściciela restauracji. Powiedział, że skoro mają na stanie produkty spożywcze, to dobrze byłoby coś z nimi zrobić. Z pięćdziesięcioosobowego zespołu Dublera i Dyletanta zostało 15 pracowników. Pidwysocka zaproponowała, by przyszli i wsparli kraj w trudnej chwili. Wieść się rozniosła. Poza pracownikami stawili się inni chętni do pomocy. Restauracja wznowiła pracę na pełnych obrotach. Początkowo szykowali do 1,2 tys. posiłków dziennie. Z czasem jednak ta liczba spadła, bo Dubler stał się sztabem koordynującym działania całej kooperatywy.

Do restauracji zaczęli trafiać nie tylko ludzie, ale też produkty spożywcze. Pidwysockiej ktoś zaproponował, że przywiezie pięć ton warzyw. Właściciele przetwórnicy nabiału oddają im swoje wyroby, bo zdają sobie sprawę, że inaczej po prostu będą musieli je wyrzucić. Pozostałe rzeczy restauracja otrzymuje w ramach dystrybucji żywności, a także kupuje ze środków właściciela i z datków.

– Zrozumiałam, że nie mogę tego zostawić. To moje miasto, wielka część mnie. Wyjechać stąd to jakby rozbić serce – mówi Pidwysocka. – Jeśli nie dał Boże dojdzie tutaj do takiej sytuacji, jaka panuje w Mariupolu, Czernichowie czy

Charkowie, to może je opuszczać. Ale nie jestem pewna.

Wolontariusz od automatyzacji

Sceny z Dublera kontrastują z sytuacją na ulicach Kijowa. Jeszcze niedawno było to jedno z najbardziej zakorkowanych miast w Europie, a być może na świecie. Po trzymilionowej stolicy jeździło 1,13 mln samochodów, a ich liczba wzrosła niemal dwukrotnie w ciągu siedmiu lat. Teraz ulice są puste. Czasami zatory pojawiają się przy rozstawionych tu i ówdzie posterunkach, bo kierowcy czekają w samochodach, aż przyjdzie ich kolej na rutynową kontrolę.

Te auta, które wciąż poruszają się po mieście, często noszą oznaczenia informujące, że znajdują się w nich pracownicy służby medycznej, wolontariusze, dziennikarze, uciekinierzy z miejsc objętych walkami, wojskowi czy żołnierze obrony terytorialnej. Najbardziej rzucają się w oczy oklejone żółtą taśmą pojazdy obrońców Kijowa. A szczególnie charakterystyczne dla miejskiego życia w czasie wojny jest to, że teraz każdy wydaje się mieć swój cel. Beztroska i nonszalancja niemal całkowicie zniknęły.

Dosyć zaskakująco na tle tego wszystkiego wygląda 31-letni Wiktor Szurapow. Zrobił właśnie krótką przerwę na placu Lwa Tołstoja, w centrum. Rower z przyczepioną doń ukraińską flagą oparł o murek. Na co dzień Szurapow zajmuje się tworzeniem aplikacji na telefony komórkowe i tablety. W wolnym czasie poświęca się działalności na rzecz ochrony trzech kijowskich jezior: Nebreż, Martysziw i Tiahle. Od lat deweloperzy próbują zabudować ten teren, a aktywiści chcą, by stał się on parkiem narodowym.

To właśnie przy okazji którejś z demonstracji Szurapow przyczepił flagę do

roweru. Lubi, jak łopocząca na wietrze wzbudza reakcje przechodniów i kierowców. Ktoś zatrąbi, ktoś się uśmiechnie i krzyknie „Chwała Ukrainie!”.

Szurapow mieszka w Kijowie od ośmiu lat, przeprowadził się z południa. Stolica przypadła mu do gustu już wtedy, gdy odwiedził ją w dzieciństwie. Przede wszystkim jej specyficzny klimat, na który składa się potężny miejski maszyn, eklektyczna zabudowa, a przede wszystkim poczucie ciągłego ruchu. W Kijowie każdy próbuje coś robić, a często nie mogąc liczyć na wsparcie władz miejskich czy państwowych – działa na własną rękę. Jak grzyby po deszczu wyrastają kolejne inicjatywy: komercyjne, społeczne czy próbujące balansować gdzieś pomiędzy.

Po 24 lutego Szurapow postanowił zostać w Kijowie. Nie chce być bezczynny. Jednej z organizacji wspierających armię pomógł zautomatyzować bazy danych, by jej pracownicy nie musieli wszystkiego zapisywać ręcznie. Rozwozi przesyłki, gdy tylko ktoś go poprosi. Często zagląda na internetową tablicę ogłoszeń, gdzie ludzie zwracają się w przeróżnych sprawach – np. o jedzenie dla rodziny w potrzebie; o pomoc w wyjeździe z miasta; o buty, drony, krótkofalówki czy kamizelki kuloodporne dla żołnierzy obrony terytorialnej. Patrzy, w czym może pomóc.

Namiastka starego świata

Przechodnie zdarzają się jeszcze rzadziej niż samochody. Popularne miejsca spacerowe – np. Zjazd Andrijewski, gdzie między starymi kamienicami będącymi przed wiekami centrum Kijowa przechadzali się mieszkańcy oraz turyści z całego kraju i świata, zachęceni zabytkami, muzeami, teatrami, knajpami i okolicznymi



*Po lewej:
34-letni Pawło
Kaluk koordynuje
pomoc i wsparcie
dla dzielnicy Padół.*

*Po prawej:
31-letni Wiktor
Szurapow jeździ
po Kijowie
rowerem
z przyczepioną
ukraińską flagą.*



parkami – jeszcze niedawno były zatłoczone, szczególnie w weekendowe popołudnia. Teraz są niemal bezludne, niezależnie od dnia i godziny.

Po ulicach chodzą zazwyczaj ci, którzy mają jakiś cel – zakupy, kolejka w aptecę, wyprawa w odwiedzin. Najwięcej z dawnego życia można zaobserwować w nielicznych otwartych kawiarniach. Ludzie wchodzą do nich niepewnie, jakby zdziwieni, że rzeczywiście działają. Jeden z lokali serwuje hot dogi, nuggetsy i frytki, a każdy, kto tam wejdzie, patrzy, jakby odkrył zaginiony świat. Jednak nawet tam co chwilę wraca temat wojny – sytuacji wokół Kijowa i bieżących informacji.

Ostatnio ponownie otworzył się też Dyletant. Pidwysocka wyjaśnia, że kawiarnia będzie działała na zasadach komercyjnych. Sprzedają w niej kawę i napoje, wkrótce pojawią się też desery.

– Byłam w Dyletancie, bo szykowaliśmy go przed otwarciem. W środku było czysto niczym przed wojną, jakby toczyło się normalne życie. Ale przecież ono takie nie jest – mówi.

Przyznaje jednak, że chodzi także o przywrócenie namiastki normalnego życia, gdy można było spokojnie wyjść z domu, usiąść przy kawie, a z oddali nie grzmiały wybuchy i nie straszyły syreny.

Solidarność w czynach

Co więc zmieniła wojna w Kijowie? Ustał ruch, pozamykało się prawie wszystko, półki w działających sklepach są mocno przetrzebione, wystawiono posterunki i trudno nawet powiedzieć, kiedy odgłosy artylerii uznano za nową codzienność. Pojawia się jednak coś jeszcze.

– Niesamowita solidarność – mówi 34-letni Pawło Kaluk, pośrednik nieru-

chomości i jeden z animatorów wspólnoty kijowskiej dzielnicy Padół.

W sytuacji zagrożenia to pewien paradoks. Z jednej strony ludzie stali się podejrzliwi jak nigdy. Wskutek obaw przed działaniami dywersyjnymi każda nowa twarz w okolicy wywołuje pytania. O dokumenty prosi już nie tylko policja, ale zdarza się też, że przypadkowi ludzie. Czasami nawet po ich okazaniu pozostają nieprzekonani co do intencji intruza.

Z drugiej jednak – jak podkreśla wiele osób, z którymi rozmawiałem po 24 lutego – Ukraińcy nigdy nie byli tak zjednoczeni. Nawet podczas protestów na kijowskim Majdanie i po wybuchu wojny w Donbasie.

– Stali się bardzo przyjacielscy i pomagają sobie nawzajem. Nie chcę powiedzieć, że podoba mi się to, co się dzieje, ale ludzie pokazują się od swojej najlepszej strony. To solidarność nie w słowach, a w czynach – stwierdza Kaluk.

Padół to zabytkowa część starego Kijowa, dawniej miejsce handlu, rzemiosła i przemysłu. Charakteryzuje go niska zabudowa. Kaluk twierdzi, że w tym właśnie kryje się siła tej dzielnicy.

– Mieszka tu mniej ludzi, więc łatwiej się poznać. Dzięki temu funkcjonuje społeczność, co w Kijowie nie zdarza się często – mówi.

Jest jedną z tych osób, które znają tzw. wszystkich. Na Padole spędził większość życia. Mieszkał w różnych jego częściach. Jak żartuje, przed rosyjską inwazją rzadko się stąd ruszał i nie zmieniła tego nawet wojna.

Jeden długi dzień

Kaluk zastanawiał się, czy dołączyć do obrony terytorialnej, ale doszedł do wniosku, że więcej może zrobić na tyłach. Korzysta ze swojej sieci kontaktów, by orga-

nizować ruch wolontariuszy w dzielnicy. Po wezwaniach władz, by stawiać opór, wspólnota Padółu zorganizowała produkcję koktajli Mołotowa. W krótkim czasie przygotowali ich taką ilość, że wyczerpali zapotrzebowanie. Następnie zebrali ludzi, którzy spawali jeże przeciwpancerne, mające powstrzymać rosyjską armię, gdyby wtargnęła do miasta. Kaluk zaczął też zbierać pieniądze na ekwipunek dla wojska: na termowizję, krótkofalówki czy samochody. Wraz ze wspólnotą sąsiedzką zapewnia niezbędne rzeczy lokalnej obronie terytorialnej, która pilnuje ulic Padółu na licznych posterunkach. Gdy napisał na jednej z grup, że żołnierze potrzebują herbaty i papierosów, po chwili kilka osób już je niosło. Natomiast ludzie, którzy wyjeżdżają z Kijowa, zostawiają Kalukowi klucze do mieszkań, by mógł zapewnić nocleg wolontariuszom, ochotnikom i osobom uciekającym z miejscowości w pobliżu stolicy, gdzie trwają najbardziej zacięte walki.

Jedną z ostatnich inicjatyw są szkolenia, jak najszybciej powstrzymać krwotok.

– Odlamek czy ostrzał może dosięgnąć każdego. A krwotok to pierwsze, z czym trzeba sobie poradzić – wyjaśnia Kaluk.

Gdy rozmawiamy, stopniowo schodzą się ludzie. Zaraz będą omawiać dalsze działania. Kaluk twierdzi, że ma poczucie, jakby od 24 lutego trwał jeden długi dzień, bo ciągle coś robi, gdzieś idzie i z kimś się spotyka.

Choć na pierwszy rzut oka wydaje się, że życie w Kijowie zamarło, w rzeczywistości ono buzuje. W pewnym sensie może nawet mocniej niż przed inwazją. Mieszkańcy stolicy, dotychczas rozproszeni i zajęci swoimi sprawami, teraz mają wspólny cel. Obronę miasta – by w końcu mogli wrócić do swojej codzienności.

© P. PAWEŁ PIENIAŻEK

Coraz bliżej nas

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wojna z każdym dniem staje się coraz bardziej brutalna. Niepowodzenia na polu bitwy Rosjanie rekompensują zbrodniami na ludności cywilnej.

MOI ZNAJOMI Z KIJOWA PISZĄ, ŻE miasto nigdy nie było tak puste, jak teraz. Z trzypółmilionowej metropolii uciekło już ponad półtora miliona mieszkańców. A jednak wciąż jest to stolica Ukrainy.

Pozostają tu wszystkie władze, parlament i instytucje państwowe, które funkcjonują mimo ogromnych trudności. Prezydent Wołodymyr Zełenski regularnie musi obalać kłamstwa rosyjskiej propagandy, która wciąż twierdzi, że uciekł do Lwowa czy Warszawy. Niektóre ze swoich codziennych kilkuminutowych wystąpień do społeczeństwa nagrywa na zewnątrz, aby nie było wątpliwości, że przebywa w Kijowie. Wiele już o tym napisano, ale postawa Zełenskiego jest jednym z najmocniejszych punktów ukraińskiej wojny obronnej.

Mariupol jako ostrzeżenie

Wojska rosyjskie wciąż próbują stworzyć pierścień oblężenia wokół stolicy Ukrainy. Podkijowskie miejscowości Irpień i Bucza (przed wojną zamieszkałe, odpowiednio, przez 62 tys. i 36 tys. osób) zostały niemal całkowicie zniszczone. Trwa natarcie w stronę lewobrzeżnej części miasta, gdzie agresor powstrzymywany jest na wysokości Browarów. Walki toczą się również wokół odległego o 140 km Czernihowa, którego Rosjanie nie są w stanie zdobyć.

Znacznie trudniejsza jest sytuacja na południu Ukrainy, gdzie od 1 marca trwa oblężenie Mariupola. Miasto pozostaje odcięte od świata, nie ma wody, energii i łączności telefonicznej. Okupanci blokują również dostawy pomocy humanitarnej, wielokrotnie łamiąc ustalone wcześniej otwarcie korytarzy dla ewakuacji ludności cywilnej. Według władz Mariupola zginęło już ponad 2,1 tys. cywilów, a sytuacja w tym 400-tysięcznym mieście jest krytyczna. Najwidoczniej Rosjanie posta-

nowili na jego przykładzie pokazać, czym skończy się jakikolwiek opór.

Warto podkreślić, że mówimy o jednym z najbardziej prorosyjskich miast na Ukrainie: mieszkańcy Mariupola w przylatującej większości posługują się językiem rosyjskim, a niemal połowa z nich to etniczni Rosjanie. Gdy byłem w tym mieście kilka lat temu, uderzyło mnie, jak bardzo przypomina ono podobne przemysłowe ośrodki w Rosji. Teraz każdego dnia bohaterskiej obrony potwierdza swoją ukraińską tożsamość, a zarazem zrywa ostatnie nici łączące je ze światem rosyjskim.

Propaganda Kremla wciąż powtarza, że wojska rosyjskie nie atakują celów cywilnych. Zdjęcie zbombardowanego szpitala położniczego media rosyjskie skwitowały tym, że w budynku nie było pacjentów i miał on rzekomo służyć jako baza ukraińskiego batalionu Azow. Niemal każda zbrodnia najeźdźców prezentowana jest następnie w Rosji jako rzekoma zbrodnia ukraińska.

Pierwsze egzekucje

Jeśli na początku tej wojny ktokolwiek miał wątpliwości, czy Rosjanie będą przestrzegać konwencji humanitarnych i prawa międzynarodowego o ochronie ludności cywilnej w czasie konfliktów, to najwidoczniej nie zna najnowszej historii Rosji. Szybko zapomnieliśmy, że w czasie pierwszej (1994-96) i drugiej (1999-2009) wojny czeczeńskiej wojska rosyjskie zamordowały, odpowiednio, 50-80 tys. i co najmniej 25 tys. cywilów. Wszyscy byli obywatelami Federacji Rosyjskiej.

W zajęтым Chersoniu, wciąż jedynym mieście obwodowym (wojewódzkim) zajęтым przez Rosjan, rozpoczęły się represje. Wielodniowe masowe protesty mieszkańców początkowo nie wywoływały przeciwdziałania. W końcu jednak agresor uznał, że miarka się przebrała

i doszło do pierwszych zatrzymań. Do aresztów trafiło 400 osób, a w mieście zaczęły działać rosyjska Gwardia Narodowa i Federalna Służba Bezpieczeństwa, które mają pacyfikować nastroje. Wiele wskazuje na to, że przygotowywane jest „referendum” o utworzeniu „Chersońskiej Republiki Ludowej”. Rosjanie najwidoczniej uważają, że mogą działać tak samo, jak w 2014 r. w Donbasie.

W oblężonym Mikołajowie, położonym o 60 km od Chersonia, również trwają represje. Znajdujący się w mieście korespondent dziennika „Le Monde” informował o zabiciu przez Rosjan 30 cywilów strzałem w głowę. Doniesienia o mordowaniu lokalnych aktywistów i polityków przychodzą ze wszystkich miejsc, gdzie dotarły siły rosyjskie. Przechwycone przez stronę ukraińską rozmowy Rosjan, a także zeznania jeńców wskazują, że rozkazy ostrzeliwania budynków cywilnych zostały wydane z premedytacją. Najwidoczniej rosyjskie dowództwo, w oparciu o długą tradycję tamtejszej „sztuki wojennej”, uznało, że to najlepszy sposób zawładnięcia wrogiem terytorium.

Brutalizacja działań rosyjskich wynika z niepowodzenia planów wojennych. Po niemal trzech tygodniach wojny Kreml jest wciąż daleko od realizacji swojego głównego celu, czyli przejścia kontroli nad całą Ukrainą i wymiany władzy w Kijowie. Nawet w rosyjskiej telewizji coraz częściej słychać głosy zirytowanych komentatorów mówiących, że „operacja wojenna” przeciw Ukrainie (w Rosji obowiązuje zakaz używania słowa „wojna”) jest źle prowadzona. Według wciąż niepotwierdzonych informacji, kierownictwo FSB odpowiedzialne za pracę agenturalną na Ukrainie zostało zatrzymane. To wszystko nie oznacza jednak, że Moskwa spróbuje zrewidować swoje plany i zechce doprowadzić do wycofania swoich sił.

Decyzja Putina o ataku na Ukrainę oznacza początek końca jego rządów, zaś ewentualne wycofanie wojska jedynie by to przyspieszyło. W przeszłości przegrane wojny zwykle doprowadzały do wstrząsów na Kremlu. W dodatku byłaby to porażka na Ukrainie, tradycyjnie pogardzanej i deprecjonowanej w Rosji. Choć więc ta wojna trwa i trwać jeszcze będzie, to nie ma wątpliwości, że w fundamentalny sposób zmieni państwo rosyjskie. Szybkość i charakter tych zmian, a także ich konsekwencje



SERGEI SUPINSKY / AFP / EAST NEWS

Kijów, 1 marca 2022 r.

dla świata, są na razie niemożliwe do przewidzenia.

Jeśli jednak w mediach zachodnich coraz częściej zaczyna dominować ton mówiący o sukcesach armii ukraińskiej i kolejnych niepowodzeniach agresora, jest to wciąż przedwczesny entuzjazm. Wojna się nie skończyła. Siły Zbrojne Ukrainy radzą sobie lepiej, niż ktokolwiek przewidywał, opór i mobilizacja społeczeństwa ukraińskiego są ogromne, ale zarazem widoczna jest determinacja Kremla, aby tej wojny nie przegrać. To zaś będzie powodować kolejne przekraczanie granic etycznych. Rosyjscy oficjele mówią już o możliwości sprowadzenia bojowników z Syrii, co wydaje się kwestią czasu.

Rosja: wojna coraz droższa

Świat wciąż ma nadzieję, że możliwe jest szybkie zakończenie wojny. Negocjacje szefów dyplomacji Ukrainy i Rosji w Antalyi, przy tureckim pośrednictwie, zakończyły się jednak fiaskiem. Potwierdziły jedynie, że Rosja nie szuka kompromisu czy możliwości wycofania się z wojny z twarzą, ale dokładnie na odwrót – zmierza do zniszczenia ukraińskiego oporu i oczekuje pełnej kapitulacji. Negocjacje jednak nadal trwają. Kijów konsekwentnie deklaruje, że gotów jest rozmawiać o wycofaniu sił rosyjskich i jakichś formach przyszłej gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Rosjanie niemal nie komentują swojego stanowiska, ale nic nie wskazuje na to, aby prowadzili rozmowy w dobrej wierze.

Niejasne jest, jaki jest rosyjski pomysł na kolejny etap tej wojny. Nawet zajęcie obleganych już miast nie otworzy Kremlovi drogi do zawładnięcia Ukrainą. Opór społeczny rośnie z każdym dniem, ukraińska armia walczy, a 90 proc. społeczeństwa wierzy w zwycięstwo. Kijów został zamieniony w twierdę i zdobycie miasta wydaje się niemożliwością. To wszystko raz jeszcze dowodzi, jakim szaleństwem była rosyjska decyzja o tej wojnie i że Kreml pomylił się w swoich ocenach na praktycznie każdym poziomie. Coraz bardziej wygląda, że Rosjanie, jak hordy barbarzyńców, postanowili palić i niszczyć wszystko, co spotykają na drodze.

Koszty wojny dla Rosji nadal będą rosły. Nie chodzi tylko o kwestie finansowe, choć negatywne efekty zachodnich sankcji dla gospodarki i społeczeństwa rosyjskiego będą ogromne. Bank centralny już prognozuje spadek PKB o 9 proc. i są to optymistyczne założenia. Wielkim wyzwaniem dla Kremla będzie także utrzymywanie istotnej części własnego społeczeństwa w przekonaniu, że racja jest po stronie rosyjskiej, a za wszystko odpowiada „nazistowski reżim” w Kijowie i wspierający go Zachód. Rosnące straty rosyjskich żołnierzy, liczone już w tysiącach, będą powodować wzrost nastrojów antywojennych. Odpowiedzią będzie dalsze ograniczanie dostępu do niezależnej informacji, blokowanie kolejnych stron internetowych, represje wobec przeciwników wojny. Czy to się uda, pozostaje

sprawą otwartą. Większym problemem dla Putina niż nastroje społeczne może się okazać niezadowolenie elit rządzących. Choć o tej sprawie wiemy bardzo mało, to nie ma wątpliwości, że decyzja o wojnie została źle odebrana przez wielu ważnych ludzi w Rosji.

Zachód wciąż zrobił mniej, niż powinien. Sankcje są potężne, ale nadal mogą być większe, w szczególności potrzebna jest decyzja o kalendarzu ograniczania importu rosyjskich surowców energetycznych, głównego źródła dochodów agresora. Dostawy broni dla Ukrainy, które postępują, powinny iść szerszym strumieniem. Warto wreszcie, aby Unia Europejska wyzbyła się iluzji, że to tylko wojna Rosji z Ukrainą. Ponad 2,5 mln ukraińskich uchodźców i szybko rosnąca ich liczba powinny obudzić tych wszystkich, którzy się jeszcze nie otrząsnęli.

Ukraińcy walczą bowiem dzisiaj nie tylko o przyszłość swojego kraju, ale i całej Europy. Kolejne groźne głosy płynące z Moskwy, ostrzegające Zachód przed dostawami broni i zapowiadające uderzenia w zachodnie konwoje z pomocą dla Ukrainy, nie powinny nikogo zniechęcać. USA i UE muszą bardziej zdecydowanie komunikować, co jeszcze robią, aby Rosja tę wojnę przegrała. Tym bardziej że w Moskwie nikt nie ma wątpliwości, że jest to wojna również z Zachodem. Czas, abyśmy przyznali to również z naszej strony. ©

Tekst ukończono 14 marca przed południem.

Powieść minionych lat

TOMASZ STRYJEK, HISTORYK:

Kijów to centrum ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Ale bez niego Rosjanom trudno sobie wyobrazić własną historię państwową, bo byłaby wtedy krótsza niż dzieje wszystkich większych państw europejskich.

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Ma Pan w Kijowie ulubione miejsce?

PROF. TOMASZ STRYJEK: Zawsze odwiedzam ławrę Peczerską – klasztor z pieczarami, w których od XI w. żyli i są do dziś pochowani mnisi. Atmosfera miejsca, w którym życie doczesne styka się bezpośrednio z wiecznym, pozwala dotknąć specyfiki prawosławnego monastycyzmu.

Odwiedzam też Muzeum II Wojny Światowej, które jeszcze niedawno nazywało się Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Przez pierwsze dwie dekady po 1991 r. dominowało tu przesłanie pacyfistyczne. Natomiast po Euromajdanie wyeksponowano ukraiński etos walki o niepodległość. Wydobyto też bohaterstwo szeregowych żołnierzy i cierpienia ludności cywilnej. Sala, której środek wypełnia wiejski stół symbolizujący pożegnanie mężczyzn idących na front, a na ścianach wiszą tysiące ich zdjęć, przypomina dzisiejsze rozstania rodzin na zachodniej granicy Ukrainy.

W rosyjskiej tradycji Kijów określa się „matką ruskich grodów”, a przeciw pierwszy był Nowogród Wielki. Na dodatek oba miasta założyli Waregowie, jak w Europie Wschodniej nazywano wikingów.

Jak to zwykle bywa z wczesnym średniowieczem, co do założenia miasta jest wiele niewiadomych. Według tradycji chrześcijańskiej na wzgórzach kijowskich misję pełnił już jeden z apostołów, święty Andrzej, o czym przypomina najwyższej w mieście położona cerkiew pod jego wezwaniem.

Przyjmuje się, że w 882 r. Oleg z rodu Rurykowiczów, Wareg, przeniósł tu swoją siedzibę z położonego tysiąc kilometrów na północ Nowogrodu. Wiemy to od Nestora, mnicha z ławry Peczerskiej,

który na początku XII w. (wtedy, gdy nasz Gall pisał swoją kronikę) stworzył „Powieść minionych lat”.

Co ciekawe, w okresie późnosowieckim, w 1982 r., obchodzono uroczystości 1500-lecia Kijowa, twierdząc, że miasto powstało w V wieku. Chodziło o zatarcie roli elementów niesłowiańskich w początkach państwa ruskiego, które rozumiano jako pierwszą formę państwa rosyjskiego.

Początkowo Waregowie byli jedynie zarządcami szlaku handlowego.

W X w. ta zbójcka formacja przekształciła się we wczesnośredniowieczne państwo. Dla opisującego jego narodziny Nestora było już ono centrum cywilizacji prawosławno-ruskiej, która przeszła do historii jako Ruś Kijowska. Wprawdzie taką jego nazwę stworzono dopiero w XIX w., jednak pojęcie „Ruś”, też zresztą prawdopodobnie pochodzenia skandynawskiego, w znaczeniu terytorialnym i cywilizacyjnym funkcjonowało już od X w.

Pojęcie „matki ruskich grodów” także można wyprowadzić od Nestora. Oddaje ono pierwszeństwo Kijowa w procesie chrystianizacji Europy Wschodniej. Jeden z kolejnych, już zesławinizowanych Rurykowiczów, książę Włodzimierz, przyjął chrześcijaństwo z Bizancjum w 988 r. W Kijowie powstały pierwsze, obok bułgarskich, obiekty sakralne słowiańskiej gałęzi chrześcijaństwa wschodniego, przede wszystkim sobór Sofijski z połowy XI w. i ławra Peczerska.

Cywilizacja prawosławno-ruska to ten mityczny „ruskij mir”, o którym mówi Putin?

W uproszczeniu tak, choć dziś obejmuje on także całość ziem, na których konsumowana jest rosyjska kultura po-



pularna, czyli całą Europę Wschodnią, Syberię i część Kazachstanu. Niemniej trzonem tej koncepcji pozostaje państwo ruskie z IX-XIII w., które obejmowało ponad połowę terytorium dzisiejszej Ukrainy, Nowogród i Moskwę w Rosji oraz całą Białoruś.

Ten Kijów sprzed niemal tysiąca lat za źródło państwowości uważają Ukraińcy, ale też Rosjanie – co, jeśli wierzyć Putinowi, jest powodem obecnej wojny.

Dla Ukraińców Ruś Kijowska to kołębka ich państwa. Z punktu widzenia Rosjan Kijów jest drugą po Nowogrodzie stolicą państwa wschodnich Słowian, istotną, bo tu narodziła się ich odrębność cywilizacyjna. W ujęciu historiografii rosyjskiej dalszy bieg dziejów państwa prowadził do Moskwy (od 1240), potem do Petersburga (od 1713) i na powrót do Moskwy (od 1918).

Moskwa jako ośrodek aspirujący do roli centrum Rusi wyłoniła się dopiero na początku XIV w. Bez poprzednich ponad kilku stuleci dziejów związanych z Kijowem Rosjanom trudno wyobra-



Diabły młyn na placu Kontraktowym na Padole. Kijów, 12 marca 2022 r.

zić sobie własną historię państwową. Byłaby wtedy krótsza niż dzieje wszystkich większych państw europejskich i aż do reform Piotra I oraz podbojów Katarzyny II w XVIII w. bardzo oddalona od centrów cywilizacji europejskiej.

Pierwsi Polacy pojawili się w Kijowie już podczas wypraw Bolesława Chrobrego.

Najazd Chrobrego z 1018 r. i jego wojna z Jarosławem Mądrym są faktami historycznymi, tak jak i dalsze polityczne kontakty oraz matrymonialne związki dynastyczne między Piastami i Rurykowiczami. Rzeczywista obecność Polaków zaczyna się od Unii Lubelskiej 1569 r., a więc dawno po tym, jak miasto straciło rolę centrum państwowego.

Oryginalną Złotą Bramę, jeden z symboli miasta, mieli zniszczyć Mongołowie w 1240 r. To właśnie od ich najazdów zaczął się upadek Kijowa i początek dominacji Moskwy.

I tak, i nie. Jest trochę przesady w sprawstwie Mongołów, jeśli idzie o za-

łamanie się roli Kijowa. Owszem, miasto zostało zniszczone, ale jego polityczna rola gasła już od XII w. Z jednej strony na rzecz księstwa halicko-wołyńskiego na Rusi południowo-zachodniej, choć podzielono je między Polskę i Litwę już w połowie XIV w. Z drugiej – na rzecz Włodzimierza Suzdańskiego, który dał początek Rusi Moskiewskiej.

Natomiast faktem jest, że ta Ruś północno-wschodnia łagodniej przeszła przez najazdy Mongołów i Tatarów. Ci ostatni złupili Kijów jeszcze dwukrotnie – w 1416 i 1482 r., a następnie do początków XVIII w. uprowadzili z Ukrainy w niewolę zapewne ponad milion ludzi. W 1300 r. prawosławny metropolita kijowski przeniósł swoją siedzibę do Włodzimierza Suzdańskiego. Wprawdzie nie na stałe, ale od XIV w. zaczęła się konkurencja o przejęcie dziedzictwa ziem ruskich między dwoma wielkimi księstwami: moskiewskim i litewskim.

W pierwszej połowie XIV w. książę moskiewski Iwan I Kalita sformułował wizję zjednoczenia ziem ruskich. Ta tradycja legła u podłoża legitymizacji panowania carów – od Iwana IV Groźnego – i Sowietów

– z okresu od rządów Stalina – nad całą Europą Wschodnią. Skutkiem powrotu do niej jest obecna wojna.

Gdy Kalita zaczął zbierać ruskie ziemie, Kijów należał do Wielkiego Księstwa Litewskiego – to po unii z Polską czyniło nieuchronnym konflikt polsko-rosyjski?

Okres Wielkiego Księstwa Litewskiego w dziejach Ukrainy oceniany jest jako epoka harmonijnego rozwoju kulturowego. Jego przedłużeniem było panowanie polskie, które tyleż przyspieszyło tempo zmian, ile przyczyniło się do narastania dystansów kulturowych i społecznych. Gdy w 1569 r. zawarto Unię Lubelską, ziemie południoworuskie z Kijowem na czele przekazano Koronie – pojawili się Polacy, a wraz z nimi silniejsze łacińskie wpływy kulturowe i katolicyzm.

Pierwsza połowa XVII w. to dobry czas dla Kijowa?

Dla samego miasta zdecydowanie tak. W 1632 r. metropolita kijowski Piotr Mohyla założył kolegium, które dało początek Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Mohyla położył podwaliny pod renesans prawosławnej kultury ruskiej. Wykorzystał wzory łacińskie, w tym szkolnictwa jezuickiego, do reformy cerkiewnej i wzmocnienia podstaw tożsamości prawosławnej.

Z dzisiejszej perspektywy można argumentować, że przynależność Kijowa do Rzeczypospolitej przyczyniła się do wyprofilowania tożsamości prawosławia ukraińskiego i uczyniła je bardziej odpornym na późniejszy wpływ rosyjski. Choć wtedy Cerkiew prawosławna broniła się przed wchłonięciem przez obrządek unicki, zatem politycznie była skierowana przeciw Rzeczypospolitej, to jednak dziś jest jednym z fundamentów niezależnej Ukrainy.

Ten czas to zarazem tabędzi śpiew panowania Rzeczypospolitej w Kijowie.

Już przywódcy wcześniejszych powstań kozackich zajmowali miasto, ale dopiero Bohdan Chmielnicki w 1649 r., po trzech zwycięstwach nad armią koronną, został przyjęty przez metropolitę kijowskiego, następcę Mohyły, Sylwestra Kossowa, z honorami należnymi władcy i protektorowi prawosławia. Aktem tym →

→ Cerkiew udzieliła poparcia Chmielnickiemu, widząc szansę czy to na odrębne państwo kozackie, czy to równorzędność Rusi w związku z Litwą i Koroną.

Połączenie prawosławia, które poprzez siedzibę metropolitów kijowskich, ławrę Peczerską, wiązało tradycję dawnej Rusi z Kozakami, to chyba ważny moment?

Kluczowy dla ukraińskiej narracji historycznej, bo nadaje ciągłość dziejom narodowym. Jak wiemy, Rzeczpospolita faktycznie nie chciała zrealizować kolejnych ugod z Chmielnickim i uznać Rusi za trzeci, obok Polski i Litwy, człon Rzeczypospolitej. To pchnęło hetmana w Perejśławiu w 1654 r. do ugody z carem Aleksym Romanowem. W odpowiedzi cztery lata później Rzeczpospolita zawarła z Chmielnickim ugodę w Hadziaczu, w której Kijów stał się stolicą Księstwa Ruskiego, prawosławie miało mieć wyłączność w jego granicach, a wojsko zaporoskie stanowić jego jedyne siły zbrojne.

Z jednej strony Moskwa miała już więcej sił niż osłabiona potopem szwedzkim Rzeczpospolita, z drugiej – Sejm nie był gotów ratyfikować unii hadziackiej, a szlachta na Ukrainie przyjąć Kozaków do grona regionalnej elity. Koniec końców Rzeczpospolita przegrała wojnę z Rosją. Na mocy pokoju z 1686 r. Kijów przeszedł pod władanie Rosji.

Część wykształconych kijowian ruszyła do Moskwy i Petersburga, by tam współtworzyć imperium. Z ich perspektywy Kijów i lewobrzeżna Ukraina stały się „Małorosją” – trochę tak jak Kraków i Małopolska z perspektywy Warszawy. Absolwenci Akademii Mohylańskiej, m.in. Dymitr (Tupało), biskup Rostowa, głosili, że Kijów i Moskwa tworzą tę samą przestrzeń cywilizacyjną. Piotr I potrzebował wykształconych kadr, więc chętnie sięgał po tych ludzi.

Dwa polskie kościoły zbudowane w XIX w. w Kijowie są pod wezwaniem świętych Aleksandra i Mikołaja. Takie imiona mieli carowie.

Owszem, można to rozumieć jako przejaw lojalności żyjących w mieście Polaków, ale także jednak jako manifestację obecności i odrębności – były to świątynie katolickie. Polski żywioł osłabł po powstaniu styczniowym, gdy wzmożła



ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

PROF. TOMASZ STRYJEK (ur. 1964) jest pracownikiem ISP PAN oraz Collegium Civitas. Bada historiografię i współczesną politykę pamięci w krajach Europy Wschodniej i Środkowej.

Laureat m.in. Nagrody Klio, Nagrody im. Jerzego Giedroycia i Nagrody im. Wacława Felczaka i Henryka Wereszyckiego. Wydał m.in.: „Ukraina przed końcem Historii. Szkice o polityce państw wobec pamięci” (2014).

się polityka rusyfikacji. W Petersburgu uważali, że ukraińskość to wymysł polski i austriacki, mający na celu pozabawienie Rosji jej „kolebki”. W 1876 r. car Aleksander II wydał ukaz emski zabraniający używania nazwy „Ukraina” i wydawnictw w języku ukraińskim.

Niemniej wciąż rosła licznie ukraińska inteligencja miasta, której działalność uczyniła z niego centrum ruchu narodowego. Dość przypomnieć Bractwo Cyrylo-Metodejskie z udziałem Mykoły Kostomarowa i Tarasa Szewczenki z lat 1845-1847, Starą Hromadę z udziałem Wołodymyra Antonowycza i Mychajły Drahomanowa z lat 60.-80. XIX w., wreszcie powstanie na początku XX w. syntezy dziejów narodowych autorstwa Mychajły Hruszewskiego, alternatywnej dla przywołanego schematu dziejów Rosji. Skądinąd był to historyk i polityk symbolizujący przełamanie barier między dwiema częściami Ukrainy – rosyjską i austriacką – bo pracował na uczelniach zarówno we Lwowie, jak w Kijowie. On też najbardziej przyczynił się do upowszechnienia terminu „Ukraina” w odniesieniu do całej Rusi południowej. Restrykcje carskie straciły moc dopiero w efekcie rewolucji 1905 r. Jednak aż do 1917 r. zwalczano w Kijowie działalność ukraińskich partii politycznych.

Gdy upadł carat, Kijów był już ważnym ośrodkiem ukraińskości.

W latach 1917-21 stał się centrum ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Tu miały miejsce najważniejsze wydarzenia. W 1918 r. powstała Ukraińska Republika Ludowa, potem państwo ukraińskie pod władzą hetmana Pawła Skoropadskiego, a rok później nastąpiło zjednoczenie tej pierwszej z Zachodnio-ukraińską Republiką Ludową. Tu stery rewolucji objął Dyrektoriat pod kierownictwem Symona Petlury. Z nim wiązał się polski epizod wojny o niepodległość Ukrainy, czyli zajęcie miasta przez sojusznice siły polsko-ukraińskie w maju 1920 r.

Wszystko diabli wzięli wraz z nadejściem bolszewików.

Nie od razu. W latach 20. XX w. nadal trwało odrodzenie kultury ukraińskiej. Prowadzono politykę „korenizacji”, która sprzyjała rozwojowi kultury „narodowej w formie”, choć jednocześnie „proletariackiej w treści”. Przede wszystkim nastąpił olbrzymi postęp alfabetyzacji społeczeństwa w języku ukraińskim. Kijów stał się ośrodkiem ukrainizacji, ale gdy Józef Stalin przestawił zwrotnicę i zamiast „korenizacji” narzucił rusyfikację w sowieckim wydaniu, stolica Ukrainy stała się ośrodkiem represji. Od 1930 r. zaczęły się prześladowania działaczy ukraińskich. Niezależnych twórców i uczonych władze oskarżały o współpracę wywiadowczą z Polską – pod tym zarzutem sformułowano oskarżenie przeciw Związkowi Wyzwolenia Ukrainy. Dwaj komuniści ukraińscy narodowej orientacji, minister oświaty Mykoła Skrypnyk i poeta Mykoła Chwylowy popełnili samobójstwa w aktach protestu wobec polityki Stalina.

Hołodomor z lat 1932-33 nie dotknął Kijowa?

Wprost w niewielkim stopniu, bo duże miasta w Związku Sowieckim były przed skutkami głodu chronione. Niemniej prezydent Wiktor Juszczenko (2005-10) zdecydował o lokalizacji w Kijowie centralnego Muzeum Hołodomoru – w pobliżu ławy Peczerskiej. Wizyty w tym miejscu głów państw odwiedzających Ukrainę zostały wpisane do protokołu dyplomatycznego. Wielki Głód w ujęciu Timothy’ego Snydera stał się pierwszą zbrodnią masową na „krwawych ziemiach”.

Potem przyszły kolejne tragedie. Najpierw w Bykowni na skraju Kijowa w okresie Wielkiego Terroru NKWD skrycie pochowało około 100 tys. rozstrzelanych, potem w Babim Jarze Niemcy zabili ponad 30 tysięcy Żydów. Jak to wpłynęło na miasto?

Niewątpliwie zbrodnie te przyczyniły się do zmiany składu ludności. Bykownia jest miejscem unicestwienia przedstawicieli ukraińskiej inteligencji z całej Ukrainy. Zamordowano tam też część polskich oficerów w ramach zbrodni katyńskiej. Natomiast zbrodnia w Babim Jarze w 1941 r. była największą jednorazową masakrą Żydów w Europie. Usunęła ona z mapy narodowościowej Kijowa trzecią pod względem liczebności społeczność, po Ukraińcach i Rosjanach. Do tego doszło wyburzenie szeregu obiektów sakralnych pod koniec lat 30. XX w., na czele z soborem św. Michała Archanioła. Bez niezależnej inteligencji, Żydów i centrów religijnych Kijów był już innym miastem.

Warto dodać, że o ile w 1941 r. wojska sowieckie opuściły Kijów bez walki – choć odchodząc, wysadziły sobór Uspieński na terenie ławry Peczerskiej – to w 1943 r. doszło do ząbartej bitwy o miasto. Stalin uparł się, by wyzwolić je na kolejną rocznicę rewolucji październikowej, i poświęcił tysiące więcej żołnierzy, niż to było konieczne. Zabudowa, w tym załogi na wzgórzach na prawym brzegu, także na tym ucierpiała.

Komuniści odbudowali stolicę Ukrainy, nadali sowiecki sznyt architektury w centrum, ale nie usunęli symboli ufundowanych w czasach carskich, takich jak pomnik św. Włodzimierza (1853) czy Bohdana Chmielnickiego (1888). W 1946 r. postawili jeszcze pomnik Lenina, a w 1979 r. wielki, ponadstumetrowy pomnik Matki Ojczyzny. Miejska legenda głosi, że pomnik św. Włodzimierza przetrwał, bo załanięta go drzewa i komunistyczni sekretarze go przeoczyli.

Tak naprawdę te pomniki, postawione za carów, symbolizowały dla Kremla jedność Ukrainy i Rosji. Święty Włodzimierz, chrzciciel Rusi, uosabiał początki ich wspólnych dziejów, a Chmielnicki dążenia Ukrainy do zjednoczenia z Rosją w XVII w. Przecież Nikita Chruszczow podarował Ukrainie Krym właśnie z okazji trzechsetlecia ugody z Perejesławia.

Sowieci, poza krótkim okresem w czasach Lenina, nie zrezygnowali z legitymacji do sprawowania władzy nad Ukrainą, którą dawał carski schemat ciągłości dziejów zbudowany w oparciu o dziedzictwo wspomnianych czterech stolic w historii Słowian wschodnich.

Po 1991 r. zarówno księcia Włodzimierza, jak Chmielnickiego wpisano w alternatywny ukraiński schemat dziejów, nadając im znaczenie budowniczych państwa narodowego. Natomiast pomnik Lenina zburzono w czasie Euromajdanu. Jego usunięcie symbolizowało zerwa-

nie z Rosją, ale też z elitami ukraińskimi, które po 1991 r. nie zdekomunizowały i nie zreformowały państwa.

Jak katastrofa w Czarnobylu z 26 kwietnia 1986 r. wpłynęła na miasto?

Czarnobyl stał się katalizatorem zmian w Związku Radzieckim. W samym Kijowie katastrofa przyczyniła się do tego, że ruch dysydencki miał nieco inny charakter niż w zachodniej Ukrainie. Już od jego początków w latach 60. we Lwowie kładziono bardziej nacisk na sprawy narodowe, w Ukrainie centralnej zaś podkreślano kwestie społeczne – prawa człowieka, ochronę środowiska. Tutaj też powstał Ukraiński Związek Helsiński.

W czasach sowieckich Kijów nabrał nowego oblicza. Wiązało się to nie tylko z unicestwieniem wielu jego dawnych mieszkańców – modernizacja sprawiła, że z ukraińskiej prowincji przyjechali do miasta nowi ludzie. Kijów zyskał też rangę wielkiego centrum naukowego. W ciągu XX w. Kijów z miasta w dużej mierze rosyjskiego, żydowskiego i w mniejszym stopniu polskiego stał się miastem przede wszystkim ukraińskim. Wreszcie Kijów był także areną decydujących wydarzeń trzech ukraińskich rewolucji – w 1991, 2004 i 2013 r. To przypieczętowało jego rolę absolutnego lidera ukraińskiego ruchu niepodległościowego.

© Rozmawiał ANDRZEJ BRZEZIECKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyta, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardys, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmiska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmiska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Tablice Przymierza



CZY ZAKAZANYM OWOCEM W OGRODZIE Eden było jabłko? Malarskie wizje przedstawiające pierwszych ludzi okazały się na tyle przekonujące, że nawet chrząstkę tarczową na męskiej szyi ochrzciliśmy mianem jabłka Adama. Tymczasem Biblia nie precyzuje, do jakiego gatunku należało drzewo poznania dobrego i złego. Spod dłuta Michała Anioła wyszedł rogaty Mojżesz – tu jednak zdecydowała nie fantazja artysty, lecz wierność Wulgacie. Hebrajski *keren* to zarówno „promień”, jak też „róg”, i z pochodzącego odeń czasownika *karan* św. Hieronim uczynił cornatusa. W przekładzie rabina Izaaka Cyklowa ten wers brzmi następująco: „I stało się, gdy zstępował Mojżesz z góry Synaj, a dwie tablice świadectwa miał w ręku Mojżesz, gdy zstępował z góry, że Mojżesz nie zauważył, iż promieniowała powierzchnia oblicza jego od rozmowy z Nim” (Wj 34, 29).

Nasz Nauczyciel z promieniejącym obliczem schodził z góry, niosąc dwie tablice. Tyle razy widzieliśmy już ich artystyczne wyobrażenia, że gotowi jesteśmy przyjąć, iż – według powielanego wzorca – były one od góry zaokrąglone. W tekście biblijnym – a jakże – nie znajdziemy cienia potwierdzenia takiego kształtu. Wiemy natomiast, że były wyciosane z kamienia (zob. 32, 18). Midrasz nawet uściśla: z szafiru, i gdy Mojżesz rozbił pierwsze tablice, pod swoim namiotem odkrył złożę tego minerału. Rabin Chanina syn Gamliela stwierdza w Talmudzie Jerozolimskim, że na każdej z tablic znajdowało się pięć przykazań – co potwierdza naturalną symetrię graficznych przedstawień. Nie ma natomiast jednomyślności w interpretacji słów: „tablice zapisane z obu stron: z jednej i z drugiej strony zapisane były” (32, 15). Czy to oznacza, że z obu stron można było przeczytać to samo? A może litery wyłobione zostały na wylot? Wówczas środki dwóch z nich – *samech* i *mem* końcowego, które są zamknięte ze wszystkich stron – musiałyby w cudowny sposób wisieć w powietrzu, co sugeruje w Talmudzie Babilońskim raw Chisda.

Na Dziesięć Przykazań napotykaemy w Biblii dwukrotnie: w Księdze Wyjścia (20, 2-14) oraz w Księdze Powtórzonego Prawa (5, 6-18). Za pierwszym razem przemawia do nas sam Najwyższy, za drugim – 40 lat później – pomny swego bliskiego skonu Mojżesz. Jeden z midraszów utrzymuje, iż wersja eksodusowa znalazła się na pierwszych, potłuczonych tablicach, zaś deuteronomiczna – na drugich. Albowiem różnią się one od siebie – zwłaszcza żydowskie czwarte, piąte i dziesiąte przykazanie, odpowiadające trzeciemu, czwartemu oraz połączonym dziewiątemu i dziesiątemu chrześcijańskim. Dla przykładu: „Pamiętaj na dzień Sabbatu, abyś go święcił” (Wj 20, 8) to dla Żydów co innego niż „Przestrzegaj dnia Sobotniego...” (Pwt 5, 12). Dla chrześcijan tak czy inaczej traktuje o niedzieli. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Chleb za krew



OGROM PRZELANEJ KRWI NA UKRAINIE nie może pozostać bez wpływu na przeżywanie tegorocznego Wielkiego Postu, szczególnie na Eucharystię, jak też na takie nabożeństwa, jak droga krzyżowa, gorzkie żale, pieśni, a także na koronkę do Bożego miłosierdzia.

Gdy na wojnie ginie żołnierz, zwykło się mówić, że przelał krew za ojczyznę. To znaczy, że oddał życie w jej obronie. Stąd często na cmentarzach wojennych, jeszcze z I wojny światowej, mamy obok siebie groby poległych obydwu stron. Po II wojnie mamy już tylko cmentarze narodowe, jednopaństwowe. Czasami, chcąc nadać wypowiedzi uroczysty ton, mówimy, że żołnierz swoje życie złożył w ofierze na ołtarzu ojczyzny. Podobnie patrzymy na śmierć tych, którzy wybierają zawody cywilne, ale obarczone niebezpieczeństwem utraty życia. Jednak nie każde poświęcenie życia zasługuje na miano czynu bohaterskiego, podobnie nie wszystko, za co bierze się pieniądze, jest pracą. Dlatego w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym czytamy, że „nawet wtedy, gdy nieszcześliwym trafem wojna już się rozpoczęła, nie wszystko tym samym staje się dozwolone między przeciwnymi stronami”. Natomiast „najbardziej godna pochwały jest zaś odwaga tych, którzy nie lękają się otwarcie przeciwstawić ludziom wydającym tego rodzaju rozkazy”, a nawet, jak przypomniał abp Stanisław Gądecki w liście do patriarchy Cyryla: „Odmowa wykonania rozkazu w takiej sytuacji jest obowiązkiem moralnym”.

Chrystus mówi: „Ojciec miłuje Mnie, dlatego że oddaje swoje życie, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz oddaje je z własnej woli. Posiadam bowiem władzę, aby je oddać, jak i ponownie odzyskać”. To odzyskane życie Jezusa jest dla nas dostępne w Eucharystii, ale tylko wtedy, gdy słowa Chrystusa „Bierzcie moje ciało i jedzcie, bierzcie moją krew i pijcie” przyjmujemy za swoje, za naszą deklarację, obietnicę, przyrzeczenie dane ludziom. Dlatego nie bądźmy jedynie słuchaczami, powtarzajmy je razem z przewodniczącym liturgii prezbiterem. Przecież cały Kościół jest ciałem Chrystusa i jest Jego słowem. Jezus powiedział, że kto Go widzi, widzi Ojca – parafrazując można powiedzieć, że kto widzi Kościół, widzi Chrystusa. Powinien widzieć. Tymczasem my wolimy słowa Jezusa uczenie roztrząsać i tracić czas na dociekania, jak to możliwe, żeby chleb i wino przemieniały się w tkankę ludzkiego ciała. W jaki to sposób Jezus mieści się w małej Hostii? Zastanawiające jest również i to, że wciąż za dowód na obecność Chrystusa w Eucharystii jest uważane zjawisko krwawiających Hostii, kiedy tymczasem Jezus krwawi krwią swoich siostr i braci. To nie cuda są znakiem rozpoznawczym działania Jezusa, ale powszedni chleb, bywa, że zdobyty za cenę krwi. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Sprawiedliwość większa



„JEŚLI WASZA SPRAWIEDLIWOŚĆ NIE BĘDZIE WIĘKSZA NIŻ UCZONYCH W PIŚMIE I FARYZEUSZÓW, NIE WEJDZIECIE DO KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO” (Mt 5, 20). Jak się ro-

dzi, do czego się odnosi, skąd się bierze to oczekiwanie/wymaganie „większej” sprawiedliwości od uczniów Jezusa? Myślę, że odpowiedź kryje się w dwóch obrazach, którymi Pan objaśnia wygłoszoną zasadę. To dwa obrazy drogi – druga z tych dróg prowadzi do trybunału, w którym zasiada sędzia. Pierwsza natomiast do ołtarza, na którym chcę złożyć Bogu ofiarę. Jedna i druga droga zmierzają ku sprawiedliwości: pięknie w tym miejscu harmonizuje z naszą perykopą język polski, w którym mówimy o „dochodzeniu sprawiedliwości”. Dochodzenie sugeruje jakiś proces – jakąś drogę właśnie. Jakby sprawiedliwość potrzebowała trochę czasu; jakby się lękała pochopnych rozwiązań.

Kiedy „dochodzę sprawiedliwości” idąc do trybunału, myślę po drodze, jak przekonać sędziego o moich racjach – o winie przeciwnika i o mojej niewinności. Żądanie sprawiedliwości znaczy zwykle tyle, co żądanie ukarania przestępcy, który mnie skrzywdził. Taki pewnie zresztą jest cel

wszystkich trybunałów: orzec winę i wysokość kary. Nawet jeśli przestępstwem była kradzież „jednego grosza” (Mt 5, 26).

Sprawiedliwość „dochodzona” na drodze do ołtarza chce czegoś więcej, chce pojednania: „zostaw swój dar przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (Mt 5, 24).

Oto dopiero prawdziwy triumf sprawiedliwości. Pojednanie skłóconych stron. Przywrócona zgoda, harmonia, komunika; naprawione więzi. Sprawiedliwości, dla której odniesieniem jest ołtarz, nie wystarcza orzeczenie, kto jest dobry, a kto zły, kto jest przestępcą, a kto ofiarą, kto pójdzie do więzienia, a kto z sądu wyjdzie wolny.

Ołtarz Jezusa Chrystusa – a tym jest krzyż – jest skutecznym narzędziem / miejscem pojednania. To na nim Chrystus niszczy wrogość, dwie części ludzkości czyni jednością.

Zbliżając się do ołtarza, mamy przed oczyma nie jakiś (nawet najdoskonalszy) kodeks prawny, lecz ofiarę, którą Jezus Chrystus złożył z siebie samego. Złożył ją za mnie. I złożył ją za mojego adwersarza. Dochodząc do ołtarza mam czas, aby tę prawdę sobie uświadomić. I przyjąć. I zastosować: poszukiwać pojednania. ©

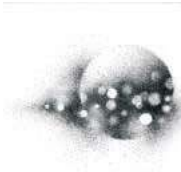
*Ludzie żyją
w ten sposób, że służą
jedni drugim i pomagają
sobie nawzajem.*

SYMEON NOWY TEOLOG



*Szukam
człowieka...*

DIOGENES Z SYNOPY



CYTANIA LITURGICZNE

3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 3, 1-8a. 13-15;
Ps 103; 1 Kor 10, 1-6. 10-12; Łk 13, 1-9;
Poniedziałek: 2 Krl 5, 1-15a; Ps 42; Łk 4, 24-30;
Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;
Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;
Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;

Piątek, Uroczystość Zwiastowania Pańskiego:
Iz 7, 10-14; Ps 40;
Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;
Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;
4. niedziela Wielkiego Postu: Joz 5, 9a. 10-12;
Ps 34; 2 Kor 5, 17-21; Łk 15, 1-3. 11-32.

Wybrał PIOTR SIKORA



Uchodźcy z Ukrainy na Dworcu Głównym w Krakowie. 7 marca 2022 r.

NA GRANICY WYTRZYMAŁOŚCI

W dwa tygodnie do Polski trafiło więcej uchodźców, niż do Niemiec przybyło przez rok kryzysu po wojnie w Syrii. Niemal połowa uciekinierów z Ukrainy będzie wymagała opieki.

MAREK RABIJ

MOŻNA BY PO PROSTU SPYTAĆ, JAK TO wygląda z ich perspektywy, ale odpowiedzi nie będą miarodajne. Tym, którzy uciekli spod ostrzału, ocenę sytuacji zakłóca poczucie ulgi. „No i co z tego, że pada? Ważne, że z nieba nie lecą już

bomby” – odpowiadają, czekając w deszczu na autobus, który zawiezie ich do miejsca noclegu.

Ci, którzy zdążyli wyjechać, zanim wojna w ich miejscowościach rozgorzała na dobre, oczekiwania mają zgniecione

przez kilkadziesiąt godzin wyczerpującej podróży. Wdzięczni są nawet za kawałek podłogi, na której można się wreszcie położyć. Za łazienkę z bieżącą, choć niekoniecznie ciepłą wodą. Za chwilę w pomieszczeniu, w którym da się bez skrepo-

wania zrzucić odzież przesyconą mdłym zapachem spoconego ciała.

Są i tacy, którzy siły nie mają już na nic. Nawet żeby zapytać, w jakim polskim mieście znaleźli się w kolejnym dniu tułaczki.

– Wypatruj zrezygnowanych – radzi Piotr, jeden z koordynujących pracę wolontariuszy na krakowskim Dworcu Głównym. – Przedwczoraj znaleźliśmy na peronie starszą panią, która siedziała samotnie na ławce w niemal kompletnie przemoczonym ubraniu.

Przed chwilą wybiła trzecia nad ranem. W kącie hali biletowej na walisce drzemie siedmioletni Misza. Główka zsuwa mu się raz za razem po ścianie, o którą oparł się zasypiając ze zmęczenia w półsiedzącej pozycji. Równie wyczerpana matka delikatnie przywraca go do pionu i zaraz wraca do telefonu, w którym za pomocą rozgiętego spinacza usiłuje otworzyć kieszonkę na kartę SIM.

Metalowy drucik raz za razem wyślizguje się kobiecie z dłoni. Misza ponownie zsuwa się z waliszki. Zdezorientowana matka odkłada smartfon i rzuca się w stronę synka. Usadziwszy w miarę stabilnie Miskę, przystępuje do kolejnej próby z kartą, ale tym razem nie może odnaleźć telefonu, który zawieruszył się gdzieś między rzeczami.

– Oj, Boże mój, dziękuję, ja już na oczy nie widzę – ożywia się na propozycję pomocy. – My już trzeci... nie, czwarty dzień jesteśmy w podróży. Jestem Oksana Sokidze. Z Odessy. A jedziemy do Berlina.

Na krakowski Dworzec Główny autobus z przejścia granicznego w Korczowej przywiózł Miskę, Oksanę i jej młodszą siostrę Annę prawie 20 godzin temu. Cztery godziny później, o 10.16, mieli bezpośredni pociąg do Berlina, o czym jednak Oksana dowiedziała się dopiero dwie godziny po jego odjeździe. Już po tym, jak udało im się w końcu trafić do dworcowej toalety i zdjąć niezmieniane od trzech dni ubrania, zjeść pierwszy ciepły posiłek, a potem przejść przez wszystkie formalności. A na koniec stanąć w monstrualnej kolejce do kasy biletowej.

– Gdyby nam od razu powiedzieli, że biletów nie potrzebujemy także na przejazd międzynarodowy, to pewnie już by nas tutaj nie było. A tak siedzimy, czekamy na kolejny pociąg do Berlina i zajmujemy miejsce innym – zmęczona Oksana z trudem powstrzymuje się przed ziewnięciem. – Powiedzieli też, że wolnych

miejsz noclegowych na dworcu już nie ma. Ale to tylko jedna noc, więc damy radę. Małego tylko szkoda, że zmęczenia nie wie już, gdzie jest i co się z nim dzieje. Przez sen prosi, żeby mu zgasić światło w pokoju – wskazuje na Miskę, który z szeroko otwartymi ustami znieruchomiał wreszcie na waliszce.

Gdzie jest państwo

W czternastym dniu wojny Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji podało, że od początku konfliktu do Polski uciekło z Ukrainy 1,42 mln osób (dziś liczba ta zbliża się do 2 mln). Z tej liczby około 250 tys. Ukraińców zdołało osiągnąć tzw. bytową samodzielność dzięki pomocy najbliższych i znajomych, którzy przyjechali do Polski w poprzednich latach. Następných 50 tys. potraktowało nasz kraj jedynie jako przystanek w drodze do któregoś z państw Europy Zachodniej. Pozostałymi musimy się zaopiekować, doliczając codziennie dziesiątki tysięcy kolejnych uchodźców. To fala, którą w naszej historii można porównać jedynie z wędrowką ludów spowodowaną zmianą granic Rzeczypospolitej po II wojnie światowej.

Jeszcze mocniej wypada porównanie z kryzysem uchodźczym związanym z wojną w Syrii. W latach 2015-16 do Niemiec przyjechało w sumie 1,2 mln uciekinierów z Bliskiego Wschodu – tyłu, ilu trafiło do Polski podczas pierwszych dziesięciu dni wojny w Ukrainie. Niemal połowę z nich – to już szacunki Polskiego Czerwonego Krzyża – mogą stanowić osoby w podeszłym wieku lub z niepełnosprawnościami, albo niepotrafiące porozumieć się w języku innym niż ukraiński czy rosyjski. Gdyby przyjąć te wyliczenia za podstawę do dalszych analiz, trzeba by założyć, że niemal co drugi uchodźca z Ukrainy może być osobą potrzebującą kompleksowego wsparcia w pierwszych tygodniach i miesiącach pobytu w Polsce.

Na razie pomoc uciekinierom nie jest głównie pospolite ruszenie ludzi dobrego serca, harcerzy, organizacji społecznych i samorządów. Coraz częściej pojawia się jednak alarmujące pytanie: gdzie jest państwo? Wyjawszy tytaniczny wysiłek Straży Granicznej, która od dwóch tygodni pracuje na wschodniej granicy na najwyższych obrotach, niewiele więcej wiadcą. Nie przeszkadza to jednak ministrowi rolnictwa Henrykowi Kowalczykowi, by z sejmowej trybuny twierdzić,

że brak obozów dla uchodźców, odnotowywany z wielkim uznaniem przez zagraniczne media, jest przede wszystkim zaśługą rządu PiS.

W uchwalonej kilka dni temu specustawie na pomoc obywatelom Ukrainy przewidziano blisko 8 mld zł. To pierwsza transza, potrzebna do sfinansowania najpilniejszych potrzeb, w tym refundacji kosztów utrzymania uchodźców przez polskie rodziny – w wysokości 40 zł dziennie na osobę. W drugim rozdziale rząd nie wyklucza hojniejszego finansowania, ale chce je dostosować do liczby uchodźców, która pozostanie w Polsce za kilka tygodni. Nawet wspomniane 8 mld zł prezentuje się jednak nie najgorzej na tle dotychczasowej hojności Unii Europejskiej, która na pomoc uchodźcom z Ukrainy zadeklarowała „co najmniej 500 mln euro”. Niemal cztery razy mniej od niezbyt majątnej Polski.

Problem w tym, że pieniądze znaleźć można na razie tylko w tekście ustawy. Prezydent Przemysław Wojciech Bakun w wywiadzie dla TVN24 udzielonym w piętnastym dniu wojny wyliczał, że 90 proc. kosztów pomocy przybyłym z Ukrainy jego miasto nadal pokrywa z pieniędzy prywatnych darczyńców. Także Kraków, który od 24 lutego przyjął już blisko 100 tys. uchodźców, dotychczasowe działania związane z kryzysem migracyjnym finansuje na razie ze swojej rezerwy kryzysowej w wysokości 19 mln zł. W dwa tygodnie wydano z niej już 14 mln.

Samorządowcy oficjalnie unikają otwartej krytyki poczyną władz centralnych, choć za chwilę zabraknie im funduszy, a siły wolontariuszy ulegną stopniowemu wyczerpaniu. „Nie czas na kłótnie” – podkreślają. Poza protokołem dodają jednak, że prośby o wypracowanie szybkiej ścieżki finansowania pomocy, kierowane do Warszawy na długo przed wybuchem wojny (podczas kryzysu na granicy z Białorusią), spotykały się z uprzejmym lekceważeniem. Przedstawiciele Unii Metropolitalnej Miast kilka razy spotkali się w tej sprawie z urzędnikami MSWiA, ale za każdym razem słyszeli – jak twierdzą – to samo: rząd pracuje już nad specustawą, która wszystko uporządkuje. Tyle że wojna wyprzedziła ustawę.

– Wygrało typowe podejście polityków PiS, że państwo na wszystkim zna się najlepiej, oraz ich niechęć do samorządów i trzeciego sektora – kwituje jeden z warszawskich radnych. – Jeszcze w styczniu

→ zapytałem dowództwo warszawskich terytorialsów, na ilu żołnierzy możemy liczyć w naszej dzielnicy przy założeniu, że chcielibyśmy otworzyć dwa punkty dla uchodźców. Odpowiedziano mi, że decyzje w sprawie przydziału żołnierzy WOT podejmie osobiście minister Błaszczak.

Liczące 32 tys. żołnierzy Wojska Obrony Terytorialnej na swojej stronie internetowej chwala się uczestnictwem w pomocy uciekinierom w sile aż 1,5 tys. żołnierzy (zwiększonej niedawną decyzją ministra Błaszczaka do 3 tys.). Na razie jednak dało się ich zauważyć jedynie przy granicy oraz na dworcu kolejowym w Przemysłu. Zgodnie z deklaracją WOT powinien być jednak obecny również wśród personelu punktów recepcyjnych. Szkopuł w tym, że w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu – miastach, które zmagają się dziś z największym napływem uchodźców z Ukrainy – nikt nie napotkał jeszcze terytorialsów. Może są gdzie indziej, realizując anonowane przez dowództwo zadania „dystrybucji pomocy humanitarnej, w tym żywności” oraz „budowy i rozbudowy miejsc przeznaczonych na tymczasowe zakwaterowanie uchodźców”? Niestety, biuro prasowe WOT nie odpowiedziało na pytania o skalę i formę uczestnictwa tej formacji w rozwiązywaniu kryzysu.

Zatkane metropolie

Usprawiedliwieniem dla opieszałości organów centralnych może być do pewnego stopnia specyfika ich działalności. Fali wolontariatu, jaka przetacza się

Wygrało typowe podejście
polityków PiS,
**że państwo na wszystkim
zna się najlepiej,**
oraz ich niechęć
do samorządów.

przez polskie społeczeństwo po wybuchu wojny w Ukrainie, nie ograniczają jednak przepisy i procedury. W rezultacie – jak podkreśla Edyta Pytel, odpowiadająca za koordynację współpracy między organizacjami pozarządowymi pomagającymi w Krakowie – powstały trzy, w dużym stopniu od siebie niezależne kanały wsparcia dla Ukraińców. Pierwszy stworzyli *ad hoc* obywatele, organizując się w sieci firmowe, osiedlowe lub rodzinne. Drugi, z różnymi efektami, budują władze samorządowe. Na końcu są władze centralne, czyli wojewodowie, działający często reaktywnie, bez planu. A niekiedy po prostu nieudolnie i z wielkim opóźnieniem. Dość spojrzeć na dane o liczbie uchodźców w poszczególnych województwach. Sama Warszawa przyjęła dotąd (dane z ostatniego piątku) blisko 200 tys. osób. Kraków i Wrocław – po jakieś 100 tys. W Lubelskim mogło zatrzymać się nawet 300 tys. osób. A z drugiej strony – województwo podlaskie na razie gości jedynie 2,3 tys. uchodźców. Wniosek: brakuje koordynacji na szczeblu centralnym. Państwo rejestruje wjazd Ukraińców do

Polski, ale nie ma żadnej kontroli nad tym, co dzieje się z nimi dalej.

Przykładem chaosu jest krakowski Dworzec Główny, w pobliżu którego dopiero w trzecim tygodniu wojny powstała miejska stołówka dla uchodźców, podczas gdy wolontariusze i mieszkańcy od kilkunastu dni dostarczali na dworzec jedzenie dla przybyszów. Długo nierozwiązany pozostawał też dostęp do niektórych toalet w kompleksie dworcowym, za który uchodźcy musieli płacić.

Na stacji Warszawa Zachodnia toalety są bezpłatne, ale – jak mówi Adriana Porowska z Kamilańskiej Misji Pomocy Społecznej – działający tu wolontariusze różnych instytucji dopiero teraz sami zaczynają koordynować swoje poczynania. – Ludzie w zielonych kamizelkach pomagają znaleźć nocleg. W niebieskich pracują z tymi, którzy szukają połączenia i jadą dalej. Czerwony to pomoc dla tych, co potrzebują więcej informacji i tłumacza. Do tego mamy ulotki i plakaty informujące o tym, jak czytać te kody. Szkoda tylko, że sami musimy tworzyć zręby organizacyjne. Powinniśmy po prostu wejść do gotowego systemu.

W Krakowie największym problemem staje się znalezienie miejsc noclegowych dla nowo przybyłych. I przeniesienie osób z miejsc tymczasowych do lokali, w których będą mogły zostać dłużej.

– Tymczasem funkcjonują *de facto* trzy bazy danych o dostępnych noclegach – wylicza Edyta Pytel. – Jedną prowadzi urząd wojewódzki, drugą ma miasto, jest wreszcie trzecia, którą zarządzamy my. Dopiero przed kilkoma dniami udało nam się porozumieć z miastem i wymieniamy się informacjami. Do adresów urzędu wojewódzkiego nadal nie mamy dostępu.

Łatwiej idzie to w małych miejscowościach. W podkrakowskich Niepołomicach od kilku lat mieszka około siedmiuset Ukraińców zatrudnionych w firmach z tutejszej specjalnej strefy ekonomicznej. Kiedy Putin zaczął grozić Kijowowi atakiem, władze miasta zaczęły szykować się na scenariusz, w którym każdy z mieszkających tu obywateli Ukrainy mógłby sięgnąć do siebie najbliższą rodzinę.

– Urząd opracował coś na kształt planu minimum – wyjaśnia Paweł Pawłowski z fundacji Lepsze Niepołomice. – Przygotowaliśmy 250 miejsc noclegowych w obiektach gminy i w klasztorze w Staniątkach, dokąd dowozi uchodźców straż miejska. Powstały też punkty żywie-

Z wielkim żalem żegnamy

Ś.†P.

Zofię Gołubiew

wybitną historyczkę sztuki, wieloletnią dyrektorkę
Muzeum Narodowego w Krakowie,
twórczynię niezapomnianych wystaw,
niekwestionowany autorytet polskiej społeczności muzealnej,
naszą znakomitą koleżankę.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy najgłębszego współczucia

PREZYDIUM POLSKIEGO KOMITETU NARODOWEGO ICOM

POŻEGNANIE

niowe, w kilku zaprzyjaźnionych firmach wyznaczono nawet miejsca do wyładunku większych transportów z pomocą. Dzięki temu udało się ograniczyć chaos, który w takich sytuacjach wydaje się nieunikniony.

Pierwszymi uciekinierami w mieście sprawnie zajęli się ich bliscy. Ale gdy na granicy pojawili się ludzie niemający rodzin w Polsce, Niepołomice stanęły na wysokości zadania. Ktoś napisał w mediach społecznościowych, że wyrusza swoim autem w stronę Korczowej i proponuje wspólny wypad. Od razu zgłosiło się kilkanaście osób.

– Przyszedłem na rynek, gdzie miał być punkt zbiórki, i zobaczyłem ponad 50 samochodów – opowiada Pawłowski. Po powrocie do Niepołomic przybyszów rozlokowaliśmy od razu w punktach noclegowych. Dostawali pakiet informacji: jakie mają prawa, gdzie czekają na nich magazyny z darami od mieszkańców. Miasto już szykuje kursy językowe dla dzieci i miejsca w szkołach. System, który zaprojektowały władze samorządowe jeszcze przed wojną, uzupełniany i wspomagany przez działalność organizacji pozarządowych, spełnia nadal swoje zadanie, ale jesteśmy u kresu jego wydolności, bo przybyszów jest coraz więcej.

Kluczowym problemem są oczywiście pieniądze. Organizacje pozarządowe nie dostały na razie grantów na projekty dla uchodźców i muszą przesuwac fundusze z innych zadań. Samorządom również przybyło obowiązków, chociażby związanych z zapewnieniem edukacji ukraińskim dzieciom, ale przelewy z budżetu idą znacznie wolniej. A na dodatek kasę gmin nadgryza od nowego roku Polski Ład.

– W Niepołomicach mamy codziennie ponad 250 osób, którymi trzeba się zaopiekować, nim ruszą dalej lub okrzepną w nowych warunkach na tyle, by móc już zadbać o siebie – wylicza Pawłowski. – Powinni się tym zajmować przeszkoleni ludzie, którzy za tę pracę otrzymują pieniądze. Nasza fundacja ich nie ma, pracujemy społecznie i nie mał każdego dnia kompletujemy zespół od nowa. Długo tak nie pociągniemy. © MAREK RABJ



Protest uczniów klasy mundurowej Liceum Ogólnokształcącego w Dubience przed delegaturą Lubelskiego Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie. 10 grudnia 2021 r.

Nie ma szkoły, nie ma życia

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

W 2021 r. zamknięto w Polsce 200 placówek. „Bo się nie opłacało” – tłumaczą samorządy. Mało kto pyta o zapaść, jaką niesie brak edukacji w gminie.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO POD DUBIENKĄ miał 5 tysięcy żołnierzy, a walczył z 25-tysięczną armią Rosjan. Sukces Polaków był zasługą fortyfikacji polowych, w których naczelnik insurekcji osiągnął mistrzostwo. I choć bitwy nie wygrał, to znacznie przetrzebił szeregi wroga. Uczniowie, nauczyciele i rodzice z liceum w Dubience też mają determinację, odwagę i upór. Biją się o swoją szkołę. Choć ich przeciwnik ma do dyspozycji prawo, urzędników i działa z zaskocze-

nia, oni okopali się na swoich pozycjach i czekają na posiłki.

Dawid Wencel, uczeń pierwszej klasy mundurowego Liceum Ogólnokształcącego im. 27 Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej w Dubience marzył o tej szkole od kilku lat i tylko tutaj złożył dokumenty. Dojeżdża 12 kilometrów i choć w jego klasie jest tylko dziewięciu uczniów, nie zamieniłby jej na żadną inną. – Mówi się, że ta szkoła jest zła, ale to nieprawda. Dobrze przygotowuje do zawodu, można się po niej dostać do wojska i do straży granicznej. Ja tego miejsca nie traktuję jak szkoły, to mój drugi dom – deklaruje Dawid.

Mało brakowało, a trafiłby gdzie indziej. Pod koniec sierpnia 2021 r. pojawiły się informacje, że pierwsza klasa nie powstanie i w efekcie wielu rodziców wycofało dokumenty. Skrzyknęli się jednak liczni obecni uczniowie i mimo zdalnego nauczania przyjeżdżali do Dubienki, choć wielu z nich mieszka ponad 50 kilometrów stąd. Nagrywali filmy i robili plakaty, byle tylko zachęcić ósmoklasistów. Na nic się zdało, rekrutację rzeczywiście odwołano. I wtedy uczniowie z rodzicami w akcie desperacji zorganizowali strajk w starostwie chełmskim, który skończył się okupacją gabinetu Piotra Deniszczuka.

– Starosta wezwał na nasze dzieci policję, a potem oskarżył nas, że zjedliśmy

→ paluszki i wypiliśmy wodę w jego gabinecie. Starosta nie tylko nie wspiera tej szkoły, ale jej wręcz szkodzi. Kiedy dyrektorka złożyła wniosek o przyznanie liceum certyfikatu Ministerstwa Obrony Narodowej, urzędnicy w Chełmie przetrzymali te dokumenty i wysłali je długo po terminie – opowiada z goryczą Magdalena Soboń, matka dwojga uczniów.

Skąd wziąć dwa miliony

Sytuacja w Dubience tak nabrzmiała, że w mediację zaangażował się wojewoda lubelski Lech Sprawka. Klasa pierwsza powstała, wszyscy odetchnęli z ulgą. Jednak już 10 grudnia 2021 r. na sesji rady powiatu podjęto uchwałę intencyjną o likwidacji placówki. Rodzice i nauczyciele dowiedzieli się o tym ze strony internetowej urzędu i od razu zorganizowali protest. Na schodach starostwa stanęła młodzież, rodzice i nauczyciele z transparentami. Nic nie wskórali. Dowiedzieli się, że koszty utrzymania są za wysokie, mało jest chętnych, a poziom nauczania niski (zdawalność matur w ostatnim roku wyniosła 33 proc.), więc placówki nic nie uratuje.

Z taką diagnozą nie zgadza się Marcin Zelent, nauczyciel wuefu: – Jestem absolwentem tej szkoły, tutaj uczyli moi rodzice. Przychodzą do nas dzieci z różnych środowisk, zdarzają się uczniowie z rodzin rozbitych, biednych. To miejsce daje im szansę na szybkie usamodzielnienie. Wielu z nich traktuje maturę fakultatywnie, bo nie jest konieczna przy staraniu się o pracę w korpusie szeregowym zawodowego wojska.

Organem prowadzącym liceum w Dubience jest starostwo chełmskie. Starosta Piotr Deniszczyk przekonuje, że region wyludnia się, a on nie może dołożyć do szkoły 2 mln zł, bo tyle brakuje do jej budżetu po uwzględnieniu subwencji, która przypada na każdego ucznia. – Wyszliśmy z propozycją przekazania budynków gminie. Obiecałem nawet, że powiat pokryje 80 proc. kosztów bieżących przez trzy lata. Pani wójt nie zdecydowała się na ten krok, mimo że rada gminy podjęła pozytywną uchwałę. Co ja mogę więcej zrobić? – pyta Deniszczyk.

LO w Dubience działa od 1975 r., a od 22 lat funkcjonuje jako szkoła mundurowa, obecnie uczy się w niej 59 uczniów. Liceum uczestniczy w projekcie Ministerstwa Obrony Narodowej – Certyfikowane Wojskowe Klasy Mundurowe, dzięki

Dzieci już nie wstają o szóstej, lecz o piątej, bo autobus musi objechać wszystkie wsie w okolicy.

Droga do nowej szkoły trwa półtorej godziny.

czemu uczniowie otrzymują dofinansowanie do umundurowania, a także dodatkowe zajęcia prowadzone przez patronacką jednostkę wojskową. W obecnych niespokojnych czasach wydaje się wręcz niezbędne, by rozwijać właśnie takie placówki kształcące ludzi, którzy w przyszłości mogliby bronić Polski – a jednak się je likwiduje. Nie dostrzega się też, jak ważną rolę społeczną pełnią takie miejsca. Wokół szkoły toczy się życie, a jeśli jej zabraknie – okolica staje się społeczną pustynią. Dubienka to najmniejsza i najbiedniejsza gmina w powiecie, w ciągu ostatnich trzech lat wyjechało stąd 300 mieszkańców. Za chlebem.

– Żał patrzeć, jak Dubienka pustoszeje – mówi pan Waldemar, przycinając drzewa w ogrodzie. – Kiedyś była tu poradnia psychologiczno-pedagogiczna, spółdzielnia kółek rolniczych. Wszystko zamknęli, a teraz chcą nam zabrać liceum. Mówi się u nas, że starosta ma zakusy na szkolny internat. Chce tu zrobić DPS, bo to smaczny kąsek finansowy. Już nawet wysłał swoich urzędników, żeby zmierzili, czy przez drzwi wejdzie wózek inwalidzki.

Bidula z tornistrem

W raportach Instytutu Badań Edukacyjnych można przeczytać, że głównym powodem zamykania szkół w Polsce jest trudna sytuacja demograficzna przekładająca się na spadek liczby uczniów w gminach. Dlatego przenosi się ich do większych ośrodków, z lepszą infrastrukturą, z możliwością skorzystania z pomocy logopedy, psychologa i bogatszej oferty zajęć pozalekcyjnych.

Jest jednak druga strona medalu. Rodzice uczniów ze zlikwidowanych szkół narzekają, że ich dzieci nie mogą korzystać z zajęć popołudniowych: kółek zainteresowań czy kursów językowych, bo samorządy nie organizują dodatkowych dowozów. „Dzieci do [zlikwidowa-

nej szkoły] dowożono z około osiemnastu pobliskich wiosek. Wstawały o szóstej. Teraz wstają o piątej. Autobus nie jedzie w linii prostej, ale objeżdża wszystkie wsie po drodze. Dzieci jadą półtorej godziny w jedną stronę. Zdarza się, że muszą iść dwa kilometry przez las, aby dojść do przystanku. Taka bidula z tornistrem” – to głos jednego z dyrektorów w ankiecie Instytutu Badań Edukacyjnych. Z danych IBE wynika też, że wiejskie szkoły wcale nie muszą uczyć gorzej od tych w mieście. Niejedna z nich jest też lepiej wyposażona w sprzęt komputerowy.

– Różnice w poziomie osiągnięć edukacyjnych między miastem a wsią wynikają m.in. z dostępu do oferty domu kultury lub szkoły językowej, przez co rodzicom w miastach łatwiej dbać o wszechstronny rozwój dzieci. Na wsi trudniej rozwijać zainteresowania uczniów. I dlatego po skończeniu podstawówki uczniowie ze środowisk wiejskich częściej niż ich koledzy i koleżanki z miast wybierają szkoły zawodowe i technika. Jeśli komuś uda się skończyć dobre liceum, najczęściej nie wraca do macierzystego środowiska – podkreśla dr Michał Sitek, kierujący Zespołem Badań Międzynarodowych w IBE.

Co ciekawe, aktywnym społecznościami wiejskim zdarza się skutecznie bronić szkół. Jedną z metod jest założenie stowarzyszenia i prowadzenie placówki na nowych zasadach. – Wiejskie szkoły mają przyszłość, ale muszą przekształcić się w instytucje wielofunkcyjne, a to wymaga porady sobie z licznymi ograniczeniami biurokratycznymi. W jednym budynku można połączyć szkołę, bibliotekę, dom kultury, dzięki temu zyskają i młodzi, i starsi. Szkoła stanie się miejscem spotkań i działań dla całej społeczności lokalnej – uważa Sitek.

Został kościół i sklep

Minister edukacji Anna Zalewska reformując oświatę zapewniała, że PiS nie będzie zamykać placówek. I dlatego wprowadziła przepis wymagający zgody kuratora na taką decyzję. Cóż z tego, skoro w 2021 r. i tak zlikwidowano w Polsce 200 szkół i przedszkoli. Najwięcej na Lubelszczyźnie (52) i Śląsku (28).

Maria Marut, polonistka w podstawówce w Horyszowie zamkniętej w sierpniu 2021 r., przez całe życie zawodowe obserwowała, jak zmienia się wieś. Kiedy zaczynała pracę w 1983 r., szkoła dyspo-

nowała kuchnią, stołówką, biblioteką, uczęszczało do niej 200 uczniów. Horyzów przyciągał młodych – był urząd pocztowy, skup buraków, biblioteka. Działały dwa kluby dla mieszkańców.

– Wieś tętniła życiem, a szkoła była miejscem spotkań. Organizowaliśmy andrzejkę, katarzynki i narodowe czytanie książek, zanim jeszcze taka moda nastała w kraju. Moja uczennica była nawet mistrzynią Polski w ortografii – podkreśla Maria Marut.

Dziś został tylko kościół i sklep spożywczy, a dzieci jeżdżą osiem kilometrów do szkoły do Miączyzna. Zniknęły spółdzielnie i kółka rolnicze, skurczyła się sieć autobusów. Relacje międzyludzkie też się zmieniły. Kiedyś Maria Marut bywała często w domu swoich wychowanków i doskonale знаła ich problemy. Dzięki temu indywidualizacja kształcenia wynikała nie z odgórnych założeń, ale z potrzeb wychowanków.

– Raz w roku organizowałam „Śniadanie na polanie”. Szliśmy do lasu, zbieraliśmy grzyby. Rodzice zapraszali nas na poczęstunek, dzieci opowiadały, co rośnie na ich polach. Byliśmy częścią tej wsi, nawet w wakacje. Przyjeżdżaliśmy na dożynki, do których przygotowywaliśmy część artystyczną – wspomina polonistka.

Dzisiaj duży budynek szkoły stoi pusty. Tuż obok mieszka Rafał Pijajko, uczeń siódmej klasy, dla którego boisko szkolne stanowiło centrum życia. Jednak od września musi dojeżdżać z młodszą siostrą do Miączyzna. Wstaje po 6.00, bo o 7.00 ma

autobus, a wraca o 15.30. Koledzy mieszkają w innych wsiach, więc trudno umówić się po lekcjach, bo każdy spieszy się na autobus do domu. Bezpośredni kontakt z rówieśnikami zastępuje telefon i komputer.

Podobnie jest w Chomęciskach Dużych, gdzie szkoła istniała od 1918 do 2002 r. Dzisiaj w budynku hula wiatr. Wyrwane podłogi, instalacja wypruta ze ścian, gruz na schodach. Halina Mazurek, emerytowana nauczycielka biologii, mieszka niedaleko. Pamięta czasy, gdy po południu dzieci grały w piłkę, wszyscy się znali i spędzali czas razem. Ogród był pielęgnowany przez uczniów, rośliny opisane. Fakt, szkoła miała gorsze wyposażenie niż miejskie placówki, a klasy były łączone, ale dzieci nie były anonimowe, jak dziś. – Znałam wszystkich uczniów i kiedy dochodziło do konfliktów czy bójk, szybko mogliśmy rozwiązać problem – wspomina Halina Mazurek.

Lepiej naprawić drogi

W Polsce, a zwłaszcza na dotkniętej plagą likwidacji szkół Lubelszczyźnie, toczy się dziś wiele cichych wojen o utrzymanie małych placówek. Tak jest m.in. w Sahrnyniu w gminie Werbkowice. Mieszkańcy byli u lubelskiej kurator oświaty Teresy Misiak i próbują sprawę nagłośnić w mediach. Szkoła w Sahrnyniu liczy 60 uczniów, powstała w 1918 r., młodzież uczy się w nowoczesnym budynku.

– Wójt narzeka, że jest droga w utrzymaniu, ale to bogata gmina i ma na

to środki. A poza tym to dobra szkoła, czworo naszych absolwentów skończyło prestiżowe LO im. Staszica w Warszawie, dzieci mają sprzyjającą atmosferę, a kadra jest wymagająca. Szkoła pełni też funkcję kulturotwórczą, mieszkańcy są z nią zżyci. Po co ją zamykać? – pyta Antoni Kijewski, radny z Sahrnynia.

Rozmawiałam z kilkoma wójtami, którzy prowadzą małe szkoły. Ich perspektywa zazwyczaj jest podobna: prowadzenie szkół w czasach nizu nie opłaca się; lepiej zrobić za te pieniądze drogi. I dodają: może gdyby pensje nauczycieli opłacało państwo, szkół by nie likwidowali...

– Po drogach gminnych jeździ się dziś jak po stole, więc ludzie pakują manatki i uciekają do miasta. Może lepiej zmienić politykę? Zróbmy coś, żeby młodzież chciała się tu uczyć i tu żyć – mówi Marek Celeban, nauczyciel szkoły w Dubience.

Nauczyciele szkół wiejskich często podkreślają, że urzędnicy od lat wpędzają ich w poczucie winy, że za dużo kosztują. Tak jakby wójt albo starosta wykładali pieniądze z własnej kieszeni. Jakby robili łaskę, że płacą. Nauczyciele zgadzali się więc na darmowe kółka, zostawali po lekcjach na zajęciach wyrównawczych, robili dodatkowe fakultety, żeby tylko utrzymać się na etacie i uratować szkoły. Wielu się nie udało. Dziś mają żal, że w XXI wieku urzędnicy w Polsce nie pojmują, iż żadna społeczność nie może rozwijać się tam, gdzie nie dba się o rozwój ludzi i edukację.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego



Miesiąc
w nauce

Na przegląd najciekawszych wydarzeń naukowych miesiąca w Podkście Powszechnym zaprasza kosmolog i filozof **Łukasz Lamża**, laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na [Patronite.pl/TygodnikPowszechny](https://patronite.pl/TygodnikPowszechny) i wesprzyj niezależne dziennikarstwo



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

*Po co człowiekowi sen?
Co pozostawiła po sobie woda
na Marsie? Czy da się naukowo
badać miłość od pierwszego
wejrzenia?*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAZYNA MAKARA

Zgłoś, wytnij, zapomnij

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI, PRAWNIK, PREZES FUNDACJI FOTA4CLIMATE:

Coś zaczynało już świtać w głowach polityków, ale z powodu inflacji, kryzysu gospodarczego i międzynarodowego pogarsza się atmosfera polityczna. Ochrona klimatu będzie spychana na margines albo poza.

MARTYNA SŁOWIK: W listopadzie 2021 r. władze Krakowa wycięły drzewa na terenie dawnego obozu KL Płaszów pod parking i muzeum. Niemal w tym samym czasie deweloper rozjeździł koparkami rzekę Małą we wsi Solec w woj. mazowieckim, niszcząc siedlisko i tamy bobrów. Dlaczego w Polsce dochodzi do takich sytuacji?

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI: Dla drzew i przyrody ani prawo nie jest łaskawe, ani urzędnicy. Ci drudzy nie mają odpowiednio silnych instrumentów prawnych oraz wsparcia ze strony burmistrzów, wójtów, prezydentów, żeby nawet te ułomne przepisy, które istnieją, egzekwować. Więcej: mają przyzwolenie na to, żeby patrzeć przez palce. I patrzą. Do tego dochodzi lokalna presja, aby procedury szły sprawnie, bo dla każdego samorządu inwestycje – czy to będzie nowy supermarket, czy zabudowa deweloperska – to pieniądze oraz coś, czym można się pochwalić.

Czy urzędnicy bywają w zмовie z deweloperami? A może dla świętego spokoju, bez względu na koszty środowiskowe, wydają decyzje przychylne inwestorom, bo nie chce im się zlecać ekspertyz dendrologicznych, ornitologicznych czy hydrologicznych?

Bywa, że urzędnicy dopuszczają się poświadczania nieprawdy, w szczególności w zakresie oceniania drzew jako zagrażających bezpieczeństwu. Nadużywają tej formuły. Nie znam jednak przypadku udowodnionego na drodze sądowej, by urzędnicy wzięli łapówkę za wydanie korzystnych decyzji odnośnie wycinki. Nie użyłbym więc stwierdzenia, że mamy do czynienia z przekupstwami na masową skalę. Na pewno przynyma się oczy, ale to wynika z lokalnych uwarunkowań, także politycznych. Szczególnie często dzieje się tak w przypadku inwestycji drogowych,

w których dany samorząd chce się wykażyć zmodernizowaniem jakiejś drogi czy pozyskaniem na nią środków. Mało komu, oprócz obrońców przyrody, zależy na drzewach, rzekach i biosferze. Jeśli urzędnicy znajdą cokolwiek, co pozwala przyjąć, iż istnieje ryzyko złamania się drzewa, albo znajdą jakikolwiek fragment zagrzybienia na nim, to kwalifikują je do usunięcia. Bardzo rzadko zlecają przeprowadzenie szerszych badań dendrologicznych. Zdarzały się więc w Polsce wyroki za wydanie decyzji z przekroczeniem czy niedopełnieniem obowiązków – np. niezgodnego z rzeczywistością określenia liczby usuwanych drzew czy tego, w jakim one były stanie. Jako dowód mam przykład Soliny, gdzie zastępca wójta został prawomocnie skazany za poświadczenie nieprawdy w sprawie stanu ok. 500 drzew wycinanych na działkach prywatnych. Urzędnik zakwalifikował je jako chore i zagrażające bezpieczeństwu, choć tak nie było. Ale takich spraw kończących się wyrokiem skazującym jest niewiele. Wszyscy pragną jak najszybciej realizować inwestycje i chcą, żeby wokół nich panował porządek. Ale to jest źle rozumiany porządek.

Porządek, czyli co?

Ogólocie przestrzeni z życia biologicznego i zostawienie w niej tylko wytworów człowieka. Gdzieś tam są wrażliwi ludzie, obrońcy natury, aktywiści, którzy przeciwko temu protestują. Ale jest ich za mało w stosunku do potrzeb i mają słabe narzędzia prawne.

Czy mam rozumieć, że ustawa o ochronie przyrody pozwala na wycinanie przez miasta drzew pod parkingi i muzea, a deweloperom na niszczenie przyrody wokół rzek?

Tak. Ale to, że pozwala, nie jest samo w sobie, gdyż po to jest prawo. Problem w tym, że pozwala na wszystko i nie uwzględnia zmieniających się oko-

liczności, kryzysu klimatycznego i ekologicznego. W 2017 r. weszła w życie głośna nowelizacja Ustawy o ochronie przyrody, znana jako „lex Szyszko”. Zniesiono wtedy obowiązek uzyskiwania pozwoleń na wycinkę dla osób fizycznych. Ułatwiono również usuwanie drzew deweloperom, poprzez zwiększenie wymiarów tych, których wycięcie stało się możliwe bez zezwolenia, a także poprzez drastyczne zmniejszenie opłat za usunięcie drzew na cele gospodarcze. Efekt był taki, że na terenie całego kraju trwała zupełnie niekontrolowana wycinka. Ludzie wyżynali drzewa na terenie swych nieruchomości, a za chwilę sprzedawali je deweloperom już z „oczyszczonym” terenem. Ten stan rzeczy poprawiła nieco nowelizacja z maja 2017 r., kiedy wprowadzono obowiązek zgłaszania wycinek również dla osób fizycznych – bo chyba nawet autorzy nowelizacji zauważyli, że za chwilę w Polsce nie będzie żadnych drzew.

Coś się zmieniło od tego czasu?

„Lex Szyszko” obowiązywało pół roku, ale jego negatywne skutki były ogromne. I nadal są, bo wciąż można usuwać drzewa, których obwód pnia na wysokości 5 cm od ziemi nie przekracza od 50 do 80 cm, w zależności od gatunku. A jeżeli drzewo jest większe, starsze i przekracza wskazane wymiary, to, o ile odbywa się to na potrzeby działalności gospodarczej, obowiązuje procedura uzyskania zezwolenia na wycinkę.

A co z wycinkami na prywatnych posesjach?

W tym przypadku wprowadzono obowiązek dokonania zgłoszenia wycięcia, jeżeli drzewa przekraczają wspomniane wymiary. Organ może wnieść sprzeciw co do takiej wycinki w ściśle określonych przypadkach, m.in. gdy drzewo leży na terenie nieruchomości wpisanej do rejestru zabytków albo jest przeznaczone w planie miejscowego zagospodarowania przestrzennego na teren zielony. Organizacje ekologiczne też niewiele mogą zrobić.

Pana zdaniem Ustawa o ochronie przyrody nie chroni jej tak, jak powinna?

Skoro wycięcie drzewa tylko w niektórych przypadkach jest bezprawne, to tak można powiedzieć. Te zapisy są sprzeczne nie tylko z intuicją, ale też tym,





BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Wycinka drzew na terenie dawnego obozu KL Płaszów. Kraków, 6 listopada 2021 r.

związana z naliczeniem kar finansowych, obniżonych zresztą wraz z „lex Szyzsko”.

Prawo ochrony przyrody to nie jedyna ustawa, które może wpływać na ochronę klimatu czy proces adaptacji do jego zmian. Mamy jeszcze Prawo wodne, Ustawę o lasach, Ustawę o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym...

Rzeczywiście, wszystkie te akty bezpośrednio lub pośrednio wpływają na klimat, ale nie zmienia to faktu, że problem spadku bioróżnorodności oraz adaptacji terenów zurbanizowanych do zmian klimatu jest w Polsce nadal bagatelizowany. W ciągu minionych 2-3 lat coś zaczynało świtać w głowach polityków, ale teraz, z powodu inflacji i kryzysu gospodarczego oraz międzynarodowego, atmosfera polityczna się pogarsza i kwestie związane z ochroną klimatu i przyrody będą spychane na margines albo nawet poza margines, a ludzie skupią się na doraźnym przeżyciu z miesiąca na miesiąc. Fakt, niektóre miasta czy samorządy nadal wprowadzają programy adaptacji do zmian klimatu. One ładnie wyglądają, ich ogłaszanie często odbywa się z udziałem znanych aktywistów. Tyle że te programy nie mają charakteru obowiązującego prawa. To autowytyczne dla samorządu, który się nimi chwali, a później może je realizować albo nie. I zwykle tego nie robi. Pojawia się jakaś duża inwestycja i o planie nikt już nie pamięta.

Które z wymienionych ustaw trzeba w pierwszej kolejności zmienić?

Wraz z wieloma organizacjami, wspierającymi inicjatywę „Moratorium dla Drzew”, chcemy powrócić do ściślejszej ochrony. Dużo można by zdziałać zmieniając zapisy Ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym – tego, jak te tereny są kwalifikowane, gdzie w planach zagospodarowania wyznacza się tereny zielone, w jakim kształcie. Chcemy tak zbudować nowe przepisy ustaw, żeby uwzględniały zieleni i drzewa jako infrastrukturę krytyczną, co oznacza, że ich wycinka nie może mieć charakteru autokratycznego. Chcemy, żeby inwestorzy i samorządy były zobowiązane do zachowywania za wszelką cenę najcenniejszych przyrodniczo terenów, zadrzewionych, ➔

co wiemy o znaczeniu drzew w utrzymaniu bioróżnorodności i adaptacji do zmian klimatu.

Powinno się też chyba liczyć zdanie mieszkańców? To oni w pierwszej kolejności doświadczają skutków wycinek i innych ingerencji w lokalną przyrodę, bo np. tracą tereny rekreacyjne, wzrasta zanieczyszczenie hałasem czy światłem. Władze Krakowa zignorowały sprzeciw mieszkańców i aktywistów, którzy od lat protestowali przeciwko wspomnianej wycince.

Samo negatywne stanowisko mieszkańców nie wystarczy, by ją powstrzymać, o ile planowana wycinka nie narusza tych bardzo liberalnych przepisów, zarówno co do kryteriów usuwania drzew, jak i naliczanych opłat. Problem jest zresztą od samego początku, bo gdy zwykli ludzie dowiadują się o przygotowywanej wycince, przeważnie jest za późno. Okazuje się, że decyzje już wydano bez konsultacji społecznych albo w ogóle nie istniała potrzeba uzyskania decyzji. Nacisk społeczny już wtedy nie ma wielkich szans powodzenia, ale mimo to aktywiści i mieszkańcy próbują wykazywać, że na zagrożonym wycinką terenie żyją gatunki zwierząt, roślin, mchów i porostów objętych ochroną gatunkową. W przypadku drzew najczęściej będzie chodziło o ptaki, owady i porosty. Jeżeli ekspertyzy przyrodnicze potwierdzą istnienie takich gatunków, to aby drzewa można było usunąć, najpierw trzeba uzy-

skać zezwolenie Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska (RDOŚ). Jeśli się wykaże, że chronione gatunki są na wskazanym terenie, RDOŚ powinna interweniować. Niestety, zwykle się do tego nie garnie i musi dostać prywatne opinie w tym zakresie, żeby zadziałać.

Ile to kosztuje?

Ekspertyzy dendrologiczne, ornitologiczne i inne są kosztowne, od tysiąca do nawet dziesięciu tysięcy złotych i więcej. Uzbieranie pieniędzy przez obywateli jest trudne i czasochłonne, a czasu zazwyczaj bardzo mało. Najgorzej jest w okresie jesienno-zimowym, bo wtedy trudniej jest takie rzeczy wykazać. Ptasie życie w pewnej mierze zamiera, zwierzęta odlatują. Wtedy ciężko wykazać, że w drzewach bytują.

Drzewa przeciwdziałają powstawaniu wysp ciepła, obniżają temperaturę, zatrzymują wodę. Wygląda na to, że polskie prawo pozwala potęgować negatywne skutki zmian, które niszczą Ziemię.

Prawo praktycznie w ogóle nie chroni drzew terenów zurbanizowanych. Na szczęście wprowadzenie obowiązku zgłaszania wycinek drzew dla osób fizycznych zadziałało psychologicznie i spowodowało w ludziach spowolnienie chęci ich usuwania. Generalna zasada polskiego prawa jest jednak taka, że wyróżnienie drzewa jest normą i odbywa się bez większych rygorów. Najczęściej ochrona jest tylko prawno-administracyjna, czyli

→ zakrzewionych. Chcemy wymóc na projektantach i inwestorach realizację takich projektów, które będą uwzględniały otoczenie przyrodnicze i nie pozwolą w nie nadmiernie ingerować. To powinno się odbywać już na etapie projektowym.

Co konkretnie proponujecie?

Najważniejsze propozycje to powrót do większych stawek za usuwanie drzew, bardziej szczegółowe uregulowania dotyczące nasadzeń zastępczych, ściślejsza ochrona drzew rosnących nad ciekami wodnymi, wprowadzenie szczegółowych analiz ryzyka związanych z usuwaniem drzew motywowanym bezpieczeństwem, jak też przepisów dotyczących ubezpieczeń za szkody wywołane przez drzewa. I zaangażowanie w te procesy już na poziomie ustawy ekspertów ze stosownym wykształceniem. Zaproponujemy też zmianę definicji drzewa, która obecnie praktycznie nie obejmuje jego części korzeniowej. Jej zniszczenie nie jest uznawane za uśmiercenie całego drzewa, mimo że wprost do tego prowadzi. Do połowy roku przygotujemy projekty ustaw, które zaproponujemy poszczególnym ugrupowaniom politycznym do zgłoszenia jako projekty poselskie. Jeśli politycy nie będą tym zainteresowani, podejmiemy inicjatywę obywatelską.

Prawo trzeba zmienić, ale najpierw trzeba chyba zmienić mentalność polityków?

Politycy muszą podjąć wyzwanie wytłumaczenia swoim wyborcom, że ocalenie bioróżnorodności w połączeniu z transformacją energetyczną to dzisiaj czynniki kluczowe dla naszego życia. Jeżeli od polityków najwyższego szczebla, prezydenta,



ARCHIWUM PRYWATNE

ANDRZEJ GĄSIOROWSKI jest adwokatem, prezesem zarządu fundacji FOTA4Climate, aktywistą ekologicznym, prowadzi blog „Dlaczego ludzie wycinają drzewa”.

premiera, parlamentarzystów, nie pójdzie taki przekaz, to bez względu na działania aktywistów i przyrodników nie będzie znaczących zmian w świadomości opinii publicznej, inwestorów, podmiotów gospodarczych. I ta patologiczna rywalizacja między człowiekiem a przyrodą pozostanie. Bez przyjęcia odpowiedzialności politycznej za stan przyrody i dostosowanie całego kraju do zmieniającego się klimatu będziemy działali po omacku.

Trudno nie zauważyć, że dziś kierunek tłumaczenia jest odwrotny. Doszło do tego, że to zwyczajni obywatele, aktywiści i mieszkańcy muszą pilnować polityków i lokalnych władz, by nie zabierali im drzewa, parku, dzikiej łąki czy rzeki. I często są w tej walce bezsilni i przegrani.

To prawda. Przez wiele lat drzew i przyrody bronili aktywiści ekologiczni, których często uważano za szaleńców. Od trzech lat obserwujemy, że coraz częściej to zwykli ludzie odrywają się od swoich zajęć, żeby o coś zawalczyć. Ten trend jest widoczny. Jednak oddolnego działania nie można ubrać w polityczne idee i narracje, które pociągną miliony i doprowadzą do realnej zmiany. Wygląda też niestety na to, że nieliczni polscy politycy, którzy znają adekwatny język, by opowiadać ludziom o konieczności ratowania natury, będą w mniejszości przez kolejne lata. Nawet gdyby dostali się do parlamentu, to nie są w stanie utworzyć samodzielnej i silnej grupy, a przez to trudniej przekazywać im często niewygodne prawdy dla wpływowych grup: górników, rolników czy deweloperów. Politycy raczej schlebią tym środowiskom, obiecują, że do końca świata będziemy spalali węgiel lub budowali bez żadnych ograniczeń.

Może jesteśmy na takim etapie, że tylko wprowadzenie restrykcyjnej ustawy o klimacie – która będzie zawierać zapisy dotyczące drzew, lasów, wód, zagospodarowania przestrzennego – może nam pomóc?

To dobry pomysł. Na dzisiaj takiej ustawy nie ma. We wszystkich aktach, o których rozmawialiśmy, kwestia ochrony klimatu i adaptacji do jego zmian praktycznie nie istnieje.

© Rozmawiała MARTYNA SŁOWIK

Tekst powstał przy wsparciu stypendium dziennikarskiego, które autorka otrzymała od Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 21 marca
„Przygotować się na śmierć”, dyskusja nad książką ks. Andrzeja Szostka „Uczestniczyć w losie Drugiego”, cykl „Wspólne czytanie” / online /

● **POZNAŃ**, wtorek 22 marca
Spotkanie z prof. Bogdanem de Barbaro, „Sztuka obsługi życia” / online /

● **KATOWICE**, środa 23 marca
Spotkanie z Wojciechem Bonowiczem „Patrzeć, słuchać, zapisywać” / hybrydowe /

REZERWUJ
CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

JACEK

Podsiadło:

Środki komunikacji



– DOBRANOC. OBYŚMY JUTRO OBUDZILI SIĘ w świecie nie gorszym niż dzisiejszy.

– Obudziliśmy się w świecie gorszym. Dużo gorszym.

– Zabierzcie, proszę, z Dnipra choć do Lwowa, zapłacimy, jest nas z!!!! I kotek

spokojny. Bardzo proszę!!!!

– Kto będzie jechał z Kijowa na Czerniowce, to przez Bar, w Latyczowie most zburzony, przez Chmielnicki nie da rady.

– Na wjeździe do Lwowa samochody stoją w korkach, na granicy kolumny po 20-30 km.

– Zrobiłam po drodze zdjęcie. Wcześniej na tym plakacie było znane zdanie o wyznaczonym kierunku dla rosyjskiego okrętu wojennego, a teraz jest Franko z super bronią.

– Widziałem we Lwowie plakat z tym słynnym zdaniem... Jak to było?... „Idi na jug”?

– Wyrażenie „иди нахуй” znaczy po prostu „wypierdaj”. Znany wulgaryzm. I „нахуй” należy pisać razem. Zaraz pośle krótkie tego wytłumaczenie od ukraińskich językoznawców.

– Nie wierzę, nie wierzę, że to wszystko się dzieje. Moja koleżanka była w delegacji w Odessie. I mówi, że strasznie. Sama, w obcym mieście, wybuchy i nie mogła wyjechać. Ale udało się w końcu. Tylko ja nawet nie mogę sobie wyobrazić, co musiała czuć.

– U mnie teraz problem z emocjami. Nie wiem, co napisać i w jaki sposób. W nocy ostrzelali wieś blisko nas. Widać było światło, błyski i nawet nasz dom się chwia! Obudziłam się i nie uwierzysz... Zasnęłam od razu po strzałach. Natychmiast zasnęłam. Jak? Sama nie wiem. Leżałam i zastanawiałam się. Jeżeli trafią w nasz dom, czy szybko umrę czy zdązę poczuć ból. I zasnęłam. No jak można było zasnąć???

A teraz patrzę na śnieg. Przyroda jest doskonała.

– Jesteś na granicy? Jadę z celowaną pomocą i potrzebujemy wsparcia.

– Nie, ja dopiero późną nocą będę, i jadę przez Budomierz. Ale powodzenia i serdeczności!

– Jakbyś potrzebował pomocy, to pisz.

– OK. Dzięki. Ja pierwszy raz, więc kto wie, oby nie.

– Uwważaj na siebie. Ślę myśli dobre. Szerokiej Drogi i czuj Miłość.

– Przyjaciele, potrzebna pomoc i maksymalny repost. Stoimy w kolejce autobusów na granicy w Rawie Ruskiej. Obok mnie siedzi babcia, która wsiadła do innego autobusu niż jej rodzina. Marija Wasyliwna Terendij z Krzy-

wego Rogu, ur. 28 sierpnia 1946 r. Innym autobusem jedzie do granicy z Polską jej krewna Olha Olijnyk (ur. ok. 1982 r., również z Krzywego Rogu). Wszystkie dokumenty babci są w innym autobusie, u tej krewnej. Babcia nie ma telefonu, krewni nie mają z nią kontaktu. Może poprzez rozsyłanie tej wiadomości pomożemy im się odnaleźć. 05[xxxxx]979 Julija.

– Błagam! Niech ktoś pomoże moim dzieciom... W Charkowie znaleźli się pod ostrzałem... Samochód im się zepsuł. Nawaliła elektryka. Są teraz w polu. Bardzo wystraszeni.

– Potrzebny elektryk, który zna się na opłu, albo ktoś, kto ich zabierze, proszę... Pilnie potrzebny warsztat, który naprawi ich opłu... Elektrykę. Proszę o pomoc... Siedzieli 2 dni w piwnicy.

– 10 godzin stoję na peronie we Lwowie z dwójką małych dzieci. Dzieci już nie wytrzymują zimna. Ratujcie. HELP.

– Lewobrzeżny Kijów, rejon Darnycki!!! Proszę!! Trzeba wywieźć siostrę z dwójką dzieci w wieku 10 i 6 lat!!!!!! Na dworzec albo do zachodniej granicy Ukrainy. Zapłacę każde pieniądze!! Proszę, może ktoś jedzie albo będzie jechał!!!

– Transport KIJÓW–POLSKA. 20 miejsc. Jeździmy tylko po uprzednim umówieniu i zabieramy przygotowane grupy. Tylko po uiszczeniu pełnej opłaty. Cena 150\$ od osoby. Samochód przyjedzie wyłącznie po uiszczeniu opłaty. Pomożemy też przekroczyć polską granicę mężczyznom. Cena 200\$, również tylko po przedpłacie. Warunki są stałe, osoby nie spełniające ich proszę nie telefonować.

– To jest bardzo ważne dla mnie, wszystko, co piszesz. Wiem, że nie możesz zamknąć nieba nad Ukrainą, i wiem też, że to niebo jest i Twoim niebem. Dawaj znaki, jak jeszcze się tu do nas wybierzesz, choć nikt nie wie, jak długo będzie tu względny spokój.

– Chociaż odczuwamy niepokój, to razem z nim mamy też uśmiech i pragnienie walki! Przywykamy do tej rzeczywistości i już nie czujemy strachu. Dbaj o siebie!

– Dbam o siebie tak, że aż mi wstyd. Dziś po prostu leżę w łóżku.

– Nie ma czego się wstydzić ☺. Nasze zdrowie to też nasza broń.

– Codziennie przypominam sobie te słowa, które ktoś powiedział. Jak dużo obcych ludzi stało się bliskimi. Jak dużo jest bliskich, którzy stali się obcy.

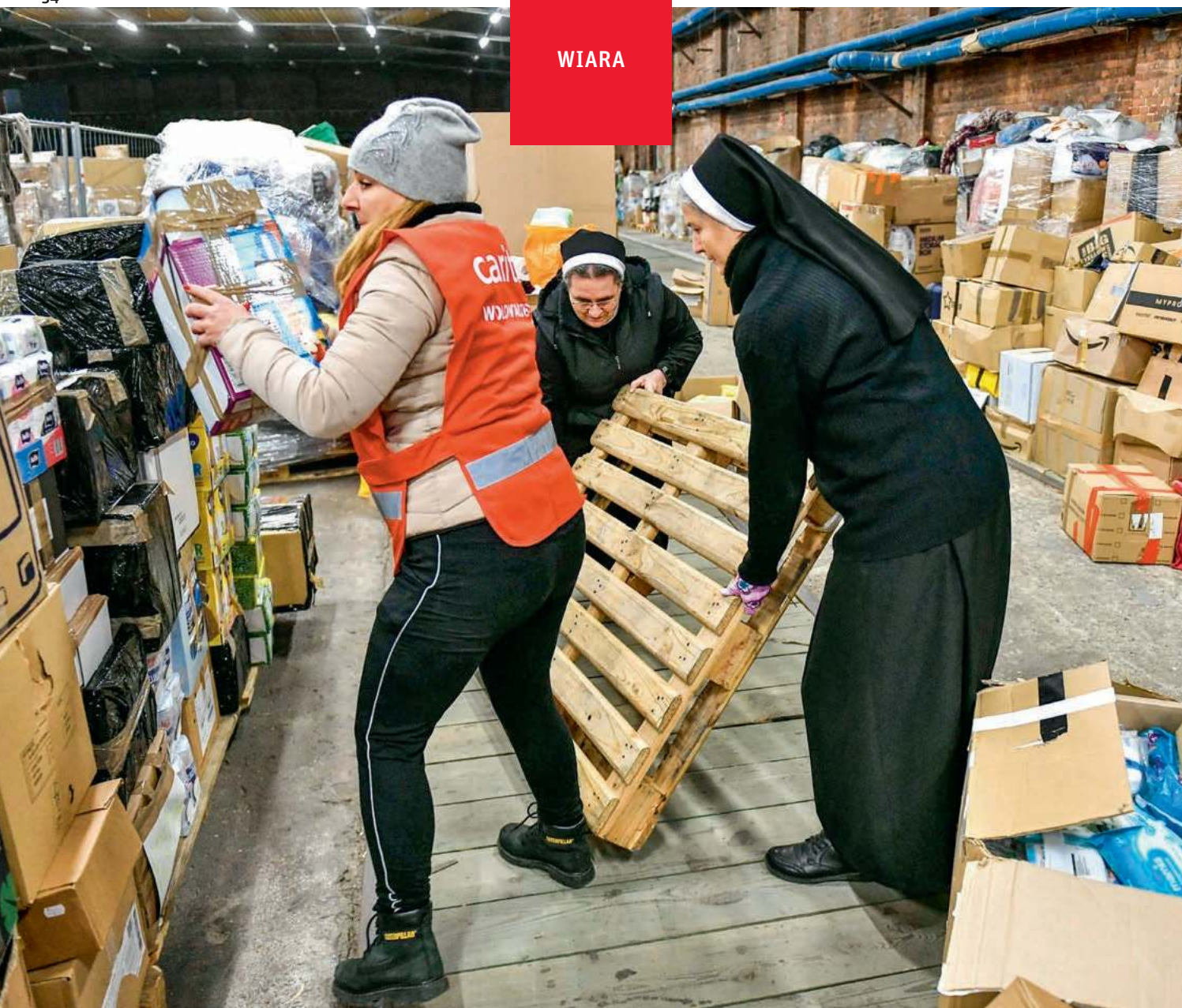
– Od początku wojny mam wrażenie, że ze złych ludzi wychodzi zło, a z dobrych dobro. Wszystko jest bardziej czarno-białe.

– Dobro u nas jest! Bo kasz w sklepie nie ma, ale taka surowa owsianka dla psów jest. Taka żeby karmić psom ugotować. Więc psy i koty nasze są syte.

– Hej. Jeżdżę co dwa dni... Ja już tego nie ogarniam...

– A ja przestałem odczuwać potrzebę ogarnięcia. Skupiłem się na tym, co mam do zrobienia. Na odległości od zderzaka auta przede mną. Zgodnie z oczekiwaniami po dłuższym siedzeniu za kółkiem wysiadł mi kręgosłup, nie wymagam od siebie więcej, niż mogę.

– Ja jutro jadę znowu. Jakby co, to jestem. Pamiętaj. ©



Przygotowanie transportu z pomocą dla Ukraińców w magazynach Caritas archidiecezji wrocławskiej, 8 marca 2022 r.

MARATON POMAGANIA

BP KRZYSZTOF ZADARKO, PRZEWODNICZĄCY RADY EPISKOPATU DS. MIGRACJI:

Chciałbym, żeby proboszczowie nie tylko apelowali
z ambon o pomoc dla uchodźców,
ale też sami dawali przykład.

ARTUR SPORNIAK: Powiedział Ksiądz Biskup niedawno, że „powinniśmy być awangardą w niesieniu miłosierdzia”. Czy Kościół katolicki jest taką awangardą? Na wsi prędzej zorganizowały się Koła Gospodyń Wiejskich niż parafialne koła Caritas.

BP KRZYSZTOF ZADARKO: Robienie teraz rankingów, kto najlepiej pomaga, byłoby sztuczne. Chociaż mam wrażenie, że obecność instytucjonalna Kościoła nie jest w mediach wystarczająco dostrzegana.

Kół Caritasu nie ma we wszystkich parafiach. Ale gdy spotykam się z parafianami na wsi, bardzo często te same kobiety, które należą do Koła Żywego Różańca, należą też do Koła Gospodyń Wiejskich. Tych rzeczywistości nie da się tu oddzielić. I też nie oczekujemy, że ludzie się zorganizują wedle instrukcji, która doraźnie padnie z ambony. Duże wrażenie robi na mnie świadectwo tych, którzy, nie należąc formalnie do żadnych struktur, czują pragnienie pomagania i traktują je teraz jako oczywiste.

Przykład proboszczów nie byłby istotny?

Chciałbym, żeby proboszczowie nie tylko apelowali z ambon o pomoc dla uchodźców, ale też sami dawali przykład. W dzień po ponownej inwazji na Ukrainę episkopat zwołał nadzwyczajne zebranie Rady Stałej. Kładłem nacisk na to, by nie organizować alternatywnych ścieżek pomagania – osobno kościelnych i świeckich – tylko by ściśle współpracować z samorządami. Byłoby fatalnie tworzyć teraz kościelny, osobny front pomagania.

No właśnie. Ostatnio apelował Ksiądz o „przemysłną koordynację”. Ona kuleje?

Bogu dzięki, że jest na poziomie samorządów. Widziałem to na granicy. Gdy uchodźcy pojawili się na przejściu granicznym w Krościenku, pierwszy namiot postawił Caritas. Burmistrzowi Ustrzyk Dolnych dałbym medal, bo wystarał się zaraz o agregat na prąd i nagrzewnicę. Potem przybyli maltańscy z pomocą medyczną, a mieszkańcy spontanicznie ustawili punkty z kanapkami i bigosem. Wszyscy byli wolontariuszami.

Kościół ma olbrzymią infrastrukturę. Czy biskupi nie powinni bardziej mobilizować proboszczów?

Robią to. W ogłoszonym już 25 lutego stanowisku Rada Stała prosi księży o udostępnienie wszystkich możliwych obiektów: „Biskupi apelują o otwarcie dla siostr i braci z Ukrainy naszych domów, hosteli, domów diecezjalnych, parafialnych, rekolekcyjnych i wszelkich miejsc, gdzie może być świadczona pomoc ludziom potrzebującym”. Ten apel powtórzył abp Stanisław Gądecki w telewizyjnym orędziu na Środę Popielcową. Jeżeli ludzie działają, to kolejne komunikaty są niepotrzebne. Nie mnożmy ich!

Natomiast z moich obserwacji wynika, że brakuje wystarczającej koordynacji ze strony rządu. Widzi to każdy, kto pojedzie na granicę. I nic dziwnego, skala kryzysu jest gigantyczna. Nie jest rolą Kościoła, by zapewniać porządek w niesieniu pomocy. W Przemyślu przy drodze do granicy powstało miasteczko uchodźców. Pierwsza rzecz, jaka się musi rzucić w oczy, to informacja. Każdy robi to we własnym zakresie. To jakiś fenomen, że wszystkich połączył jeden i ten sam duch. A zjechali do tego miejsca wolontariusze Caritasu z całej Europy. Ale ten „spontaniczny profesjonalizm” i oddanie serca nie wystarczą. Koordynacja państwowa jest potrzebna na każdym szczeblu i w dłuższej perspektywie. Dlatego dobrze, że rząd uchwalił specustawę o pomocy ukraińskim uchodźcom. Ona wreszcie reguluje jakieś ramy pomagania.

W Polsce nie ma ustawy o polityce migracyjnej państwa, regulującej komu wolno do Polski przyjechać, a komu nie wolno, kto tu może przebywać, na jak długo, na jakich warunkach, a kogo trzeba wyprosić, jak ma wyglądać model integracyjny dla cudzoziemców. To nie są sprawy, które można rozstrzygać *ad hoc*, jak rozstrzygnięto problem uchodźców na granicy białoruskiej. Ktoś uznał, że to są nasi wrogowie, więc budujemy zaporę za półtora miliarda złotych. Możemy pytać: gdzie, kto, na jakiej zasadzie i dlaczego? Tymczasem po dwóch tygodniach mamy w Polsce półtora miliona uchodźców jedynie po spisaniu dokumentów tożsamości. Domyślamy się, że wszyscy są ofiarami wojny, i to wystarczy.

Co dalej będzie robił Kościół?

Pracujemy nad zaleceniami dla parafii, które niebawem powinniśmy ogłosić, bo rodzi się wiele wyzwań. Na przy-

kład: w przeważającej części uchodźcy z Ukrainy są prawosławni. Zdarza się już, że przychodzą do kościoła, a księża mówią: „Możecie przystąpić do komunii”. Zaraz, zaraz! Dla niektórych prawosławnych przyjęcie komunii świętej w kościele rzymsko-katolickim może być zabronione. Podobnie z przystępowaniem do komunii rozwiedzionych, chociaż w swoich wspólnotach wcześniej mogli to czynić. Czy chcemy ich wszystkich w ten sposób przyciągać do naszego Kościoła? Przecież pojawiłyby się oskarżenia, że uprawiamy prozelityzm. Jak zatem ułożyć te relacje, co im wolno, a co nie? Musimy teraz przerebić przyspieszony kurs ekumenizmu, a także dialogu międzyreligijnego, bo wśród ukraińskich uchodźców są nie tylko chrześcijanie. Byliśmy społeczeństwem monoetnicznym i monoreligijnym i to się na naszych oczach zmienia, chyba nie na chwilę.

Rada Prawna i Rada ds. Ekumenizmu Episkopatu opublikowały 8 marca wskazania ws. posług religijnych udzielanych wiernym niekatolickim, w szczególności prawosławnym. Chodzi o to, żeby z jednej strony nie dochodziło do mimowolnego prozelityzmu – przeciągania ludzi do Kościoła katolickiego, a z drugiej do indyferentyzmu – czyli rozmywania granic własnej wiary, a wszystko w imię naprawdę wspólnaomyślnego miłosierdzia i odruchu serca.

A jak wyglądało to wcześniej?

W czasie kryzysu na granicy białoruskiej publicznie mówiłem, że rząd w ogóle nie konsultuje się z Kościołem w sprawie polityki migracyjnej, i nic to nie dało. Były prace nad projektem ustawy o polityce migracyjnej państwa, ale on zniknął. Po wybuchu wojny minister Dworczyk powołał zespół konsultacyjny, w którym znaleźli się przedstawiciele różnych organizacji pomocowych, uczestniczy w nim jedna osoba z Caritas Polska.

Gdy rzeczywistość postawi rząd pod ścianą, może zacznie rozmawiać?

Według przewidywań Wysokiego Komisarza NZ ds. Uchodźców (UNHCR) do Polski trafi co najmniej dwa, może nawet trzy miliony uchodźców. Bez wsparcia organizacji międzynarodowych wyspecjalizowanych w zarządzaniu takimi kryzysami grozi nam ➔

→ katastrofa humanitarna. Wydaje się pilną sprawą relokacja tych ludzi do innych krajów.

Obecnie następuje oddolny proces relokacji – ludzie sami się przemieszczają, najpierw do innych krajów w Europie. Obserwuję to z bliska, bo w seminarium koszalińskim przyjęliśmy około 30 uchodźców, a w domu relokacyjnym – około 20. Niektórzy po kilku dniach jadą dalej, bo znaleźli kontakt na Zachodzie. Mają też pieniądze. Poziom absorpcji dużych miast w tej chwili zaczyna się kończyć. Uchodźcy trafiać będą coraz częściej na wieś, gdzie stoją np. puste szkoły. Proszę sobie wyobrazić życie w takiej popegeerowskiej zaadaptowanej szkole, gdzie do najbliższego miasta jest kilkanaście kilometrów, a we wsi w paru domach mieszkają emeryci. I co dalej? Przecież np. dzieci uchodźców trzeba będzie dowozić do szkoły. Kto się tym będzie zajmować? Gdzie szukać pracy dla tych ludzi? Słyszę natomiast dumę, że w Polsce nie ma obozów dla uchodźców.

Wiemy już, że państwo idzie w kierunku zbiorowych miejsc zamieszkania – przygotowywane są hale sportowe, różne sale, budynki szkolne, może hotele. Dwa tygodnie przed wybuchem wojny rząd zrobił przegląd „wolnych łóżek”, które można by od razu wykorzystać. Jest jakiś potencjał, w tym obiekty kościelne.

Czy zna Ksiądz Biskup dane z tego przeglądu?

Wtedy Caritas zadeklarował jedynie dwa tysiące miejsc. Ale to było wstępne i niekompletne sprawdzenie – nie wszystkie diecezje w nim uczestniczyły. Przypuszczam, że gdy rząd policzył, ile tego jest, zdecydował się adaptować duże obiekty. No więc, jeśli ktoś mówi, że u nas nie ma obozów dla uchodźców, to za chwilę będziemy je mieć właśnie w postaci zbiorowych miejsc zamieszkania. Przecież tak funkcjonują obozy: ludzie są zamknięci na niewielkiej przestrzeni. Na Lampedusie są to namioty albo baraki, u nas będą to hale czy szkoły, czasem daleko od miast, gdzie nie ma pracy. Głównym problemem takich miejsc jest izolacja – oprócz organizacji pozarządowych nikt nie chce przychodzić do tych ludzi. Lokalna społeczność wcale nie musi być chętna. To widać po naszych ośrodkach przejściowych dla cudzoziemców. Jak za-

Do Caritasu
przyjechał człowiek,
który przywiózł przyjetą
cztery dni wcześniej
kobietę z dziećmi, mówiąc:

„Nie wiedziałem,
że to będzie tyle trwało”.
Nie mam prawa go oceniać.

tem ci ludzie mają się integrować w społeczeństwie?

**Ksiądz Mieczysław Puzewicz,
założyciel Centrum Wolontariatu
w Lublinie, już prowadzi warsztaty
integracyjne.**

Ksiądz Puzewicz to ekstraliga, od wielu lat pomaga migrantom i uchodźcom. Z pewnością jest jedną z tych osób, które mogłyby naszkicować odpowiedni, tym razem megaprogram. Mamy w Warszawie Ośrodek Badań nad Migracjami, jest w Polsce kilkudziesięciu ludzi, którzy są gotowi i mogliby to zrobić.

**Czy episkopat sam nie powinien
powołać grona doradców złożonego
z takich ludzi jak ks. Puzewicz
czy s. Małgorzata Chmielewska?**

Już poprosiłem o pomoc ks. Mieczysława, ruszymy w najbliższych dniach. Proszę nie zapominać, że olbrzymią robotę wykonuje Caritas Polska i oddziały Caritas w diecezjach. Dyrektor CP ks. Marcin Izycki na listopadowym zebraniu episkopatu, którego tem były wydarzenia na granicy białoruskiej, przedstawił plany długofalowego programu związanego z integracją obcokrajowców w Polsce. Cieszę się, bo taka propozycja pojawiła się po raz pierwszy. Obecnie Rada Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek opracowuje wstępne propozycje, jak integrować migrantów, które zostaną przedstawione na najbliższym zebraniu episkopatu 14 i 15 marca.

Coś się ruszyło. Słyszę niektóre sarkastyczne komentarze, że wreszcie mamy prawdziwych uchodźców i migrantów. Już nie w telewizji i internecie zo-

baczymy, kim jest uchodźca. Bolesnym, ale błogosławionym doświadczeniem będzie szukanie znaczenia słów Jezusa Chrystusa o „przyjściu przybysza”. Po obecnej, doraźnej, humanitarnej pomocy przychodzi czas na właściwe przyjęcie obcego.

I metropolita krakowski, i biskup tarnowski przyjęli do pałaców biskupich uchodźców. Zamiast listu pasterskiego mamy konkretne działania.

Nie tylko ci dwaj, wielu to robi, o to jestem spokojny. Wszyscy są teraz w jakiś sposób zaangażowani w przyjmowanie uciekinierów z Ukrainy. Jak zawsze, nie powinno chodzić jednak, by robić z siebie transparent.

**Taki „transparent” może ośmielić
proboszczów, którzy się boją.**

Rzeczywiście, obserwuję, że zdarzają się powściągliwi proboszczowie. Są bardzo zadowoleni z aktywności swoich parafian. Wbrew pozorom nie wszyscy mają warunki. Byłoby nieodpowiedzialne, by przyjąć kogoś i pozostawić z obiektywnych powodów bez opieki. Rozumiem, że niektórzy proboszczowie są pełni obaw. To jednak nieliczne przypadki, zdecydowana większość wraz z parafianami jest bardzo zaangażowana w szybką pomoc.

**Dlatego proboszcz z Gniezna zażył sobie babcię z wnukami?
I dlaczego nie mogła być prawosławna?**

Rozmawiałem z prymasem Polakiem i wiem, że ten ksiądz natychmiast się zreflektował i z własnej inicjatywy „za pokutę” pojechał na granicę, przywiózł aż ośmiornicę prawosławnych i przyjął do siebie. Miał dobrą wolę, ale z jednym słowem się zagalopował. Uważam, że trzeba formułować warunki przyjmowania kogoś do siebie, gdy w grę wchodzi dłuższy pobyt. Nie każdego stać na bezwarunkowe przyjęcie i mamy prawo powiedzieć wówczas np., że przyjmę osobę niepalącą. Teraz jesteśmy na froncie wojennym. To pojedyncza sytuacja, a nie jakieś masowe, niepokojące zjawisko. Nagłaśnianie tego jest niepoważne, szkodzi sprawie.

Cały czas zastanawiam się, na czym polega odpowiedzialne przyjęcie drugiego, obcego człowieka.

Specustawa obiecuje 1200 zł za zagwarantowanie uchodźcy mieszkania i wyżywienia.

Myśli pan, że to się da załatwić tylko pieniędzmi? Tu chodzi o coś jeszcze innego: na jak długi czas ułożyć sobie życie z obcymi osobami. Do naszego Caritasu przyjechał człowiek, który przywiozł przyjetą cztery dni wcześniej kobietę z dziećmi, mówiąc: „Nie wiedziałem, że to będzie tak długo trwało”. Nie mam prawa go oceniać.

Co do przyszłości – jest Ksiądz optymistą czy pesymistą?

Na dziś ufam, że damy radę. Mimo wszystko – to znaczy mimo 30 proc. chodzących do kościoła – przekaz z ambony będzie bardzo znaczący. Musimy dobrze przemyśleć, co to znaczy apelować do ludzi, by przyjęli uchodźców. M.in. to: pojawią się problemy, o których nie wiecie, jak będą one za chwilę wyglądały. Mamy apelować, żeby ludzie nie stali w miejscu, żeby nie ulegli wypaleniu i zniechęceniu, bo to nie będzie sprint, tylko maraton? Fajnie się mówi w powietrze takie apele. Jednak jeśli apeluję, muszę równocześnie mieć gotową odpowiedź, co dalej robić, żeby to było odpowiedzialne, mądre i wykonalne.

Pojawiają się trudne pytania, gdy pomoc socjalna dla uchodźców będzie np. wyższa niż dla biednych Polaków. Dlaczego Ukraińcy – ofiary wojny – mogą mieć szybszy i darmowy dostęp do lekarza, a ja muszę czekać miesiącami? Dlaczego oni



WOJCIECH PACEWICZ / PAP

BP KRZYSZTOF ZADARKO (ur. 1960 w Słupsku) jest doktorem teologii, od 2009 r. biskupem pomocniczym koszalińsko-kołobrzeskim. W ramach Konferencji Episkopatu Polski kieruje Radą ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek.

dostaną mieszkania, a ja wciąż czekam na komunalne? Dlaczego pracują za takie stawki, na które ja się nie godzę i tracę pracę? Do tej pory nie było u nas zjawisk migracyjnych, które na całym świecie wywołują takie pytania i pogłębiają grupowe antagonizmy.

Co zatem znajdzie się w zapytaniu wiadomym przez Księdza Biskupa komunikacie Rady?

Będziemy dziękować za to, co jest, i nadal apelować o otwartość. Będziemy również uświadamiać, że odpowiedzialne przyjmowanie obcych („Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie”) oznacza także świadome przygotowanie się na pewne trudności i wyrzeczenia. Ta świadomość i jednoczesna pamięć, że bliźni nadal pozostaje bliźnim, pozwolą wspólnie jakoś to udźwignąć. W tym jest ukryte błogosławieństwo Boże. To jest krzyż, ale do udźwignięcia mocą Ewangelii.

A co z księżmi nastawionymi negatywnie?

Nie wiem, czy tacy są. Jeśli już, to są tacy pełni pytań, na które nie ma łatwej odpowiedzi. Nie powinni się na ambonie posiłkować swoimi prywatnymi opiniami. Niepokoją głosy płynące z niektórych mediów katolickich.

Wystarczy, że duchowny zadzwoni i na antenie powie, że musimy uważać, kogo i ilu wpuszczamy. Pytanie słuszne, ale czy w tej sytuacji? I to już zaczyna wśród ludzi krążyć. Docierają do mnie te cytaty i m.in. mając na myśli takie incydenty, będziemy apelować o roztropność do księży i niegaszenie ducha.

O wiele bardziej jestem poruszony grą polityczną z wykorzystaniem kryzysu uchodźczego przez środowiska nacjonalistyczne. Niektórym nawet wojna nie zapala czerwonej lampki, że sięją od lat niebezpieczne dla Polski wizje.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAC

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



W Europie bez zmian

S. BARBARA CHYROWICZ

Nienawiść jest potężną siłą. Ci, którzy z premedytacją ją wzbudzają, mogą paść jej ofiarą, bo wyzwalają siły, nad którymi mogą już nie zapanować.

NIE MA WOJNY BEZ WROGA. CELOWO piszę „wroga”, a nie „wrogów”, bo w wojnach obronnych, przynajmniej na ich początku, wróg jest jeden. Agresor atakuje i staje się wrogiem dla tych, którzy wcześniej niekoniecznie go za takiego uważali. I tak stają naprzeciw sobie: agresor i ofiara agresji. Dyszą gwałtem, a walka, nawet słuszną, wyzwala w nich moce, których istnienia w sobie wcześniej nawet nie podejrzewali; jasne i ciemne, budujące i złowieszcze.

Wróg to przeciwnik, chociaż niekoniecznie dosłownie staje naprzeciw nas, czasem skrada się skrycie, by razić z zaskoczenia, a innym razem zdradza, udając przyjaciela. Wróg nie żywi względem nas przyjaznych uczuć, lecz wrogie zamiary. Stara się nam zaszkodzić, czyha na nasze potknięcia, cieszy się z naszych niepowodzeń, wyczekuje naszej klęski, wykorzystując każdą okazję, żeby nas zniszczyć. Obawiamy się wrogów. Zdecydowanie lepiej nie mieć wrogów, dlatego paradoksalne wydaje się ich kreowanie.

Kreacja wroga

Wykreowanym wrogom przypisuje się złe intencje, o których ci nawet nie pomyśleli. Oskarża się ich o najbardziej wyrażone zbrodnie, licząc na to, że staną się w oczach innych godni najwyższej pogardy. Taki wykreowany wróg służy

najczęściej obronie interesów „kreatora”. Wykorzystuje go do usprawiedliwiania własnej podłości i zbierania grona popleczników, których inaczej nie zdołałby zgromadzić, a wszystko po to, by zachęcić ich do wspólnej walki w obronie przed fikcyjnym zagrożeniem. I – niestety – zawsze znajdują się tacy, którzy dają się przekonać przez kłamliwą propagandę, że zagrożenie jest realne. Czasem brak im krytycyzmu, by dostrzec, że są pionkami w cynicznej rozgrywce, a czasem zawieszają własne sądy, licząc na profity wynikające z czysto koniunkturalnej kooperacji. A bywa i tak, że nie chcą wiedzieć, ogłaszając wszem wobec, że nie będą się angażować po żadnej ze stron, bo konflikt ich nie dotyczy. A w końcu i tak ich dopada. Niewiele czasu można sobie kupić za bierność.

Przedstawiając wrogie zamiary, „ciemieźony zbawca” przedstawia się jako jedyny sprawiedliwy, uciskany i nękaný przez wroga. Nawet gdy wroga nie ma, ludzie potrafią uwierzyć, że jest... Wróg jednoczy i wyzwala nienawiść. Umiejętnie podsycana nienawiść jest jak trucizna, sączy się w krwiobiegu myśli, ogarnia zmysły i bierze w posiadanie. Czyż nie dlatego mówi się czasem, że nienawiść utrzymuje przy życiu? Tworzenie fikcyjnych wrogów dlatego jest tak dramatyczne i podłe, że wrogość wyzwala w nas to, co najgorsze. Nienawiść jest potężną siłą! Ci, co z premedytacją ją wzbudzają, mogą paść jej ofiarą, bo wyzwalają siły, nad którymi mogą już nie zapanować.

Żądze

Wrogowie nie są tylko fikcyjni, bywają też jak najbardziej realni. Ci, których nazywamy wrogami, niekoniecznie stają się nimi z naszej inicjatywy. Czasem prowokujemy innych własnym zachowaniem, robiąc sobie z nich wrogów,

a czasem stają się nimi bez najmniejszej z naszej strony prowokacji. Wystarczy, że jesteśmy inni, myślimy inaczej, lepiej nam się powodzi, odnosimy sukcesy, posiadamy jakieś dobra, których tamci nie mają (zawiść idzie w parze z wrogością), a mogą to być zarówno dobra natury materialnej, jak i duchowej, także poczucie wolności. Wystarczy, że nie dostrzegając żadnych racji usprawiedliwiających poddaństwo, nie będziemy się chcieli podporządkować przekonany o posiadaniu nad nami władzy większym bądź mniejszym, wybrany bądź samowolnym bossom – staniemy się dla nich wrogami, nawet nie mając wrogich zamiarów.

Przekonani o własnej wyższości „władcy” nie potrafią znieść tych, którzy nie składają im hołdów, nawet ich milczenia nie potrafią znieść. Niepohamowana żądza podporządkowania sobie wszystkich i wszystkiego czyni z dyktatorów niszczącą maszynę, która ostatecznie niszczy ich samych. Ale zanim to nastąpi, giną niewinni.

„Skąd pochodzą wojny i kłótnie między wami? Nie skądinąd, tylko z waszych żądz” (Jk 4, 1). Trudno wskazać coś, co bardziej wyzwala agresję wroga niż sytuacja, w której dostrzega, że gnębieni, pozbawiani czci i wiary, oskarżani i lekceważeni nadal trwają przy swoim. Bo jeżeli trwają, to znaczy, że są wolni! Dyktatorzy wszelkiego autoramentu głoszą szczytne hasła wolności, ale wolnych nienawidzą. Klakierzy i wernopoddańczy słudzy imperiów nie są wolni. Są spętani lękiem, że ich patroni odwrócą od nich łaskawy wzrok i przepadną gdzieś w bezimiennej otchłani. Nędzny ich los, zachowują głowę, ale tracą twarz. Jest w wolności człowieka jakiś rodzaj niepojętej siły, która sprawia, że w nader kruchym ludzkim życiu objawia się moc, która potrafi potrząsnąć światem.

Kogo wysłucha Bóg

Wroga można tolerować, kiedy poprzestaje na demonstrowaniu złych zamiarów, pręży mięśnie i nie ustaje w wyrażaniu coraz to nowych oskarżeń, ale tchórzliwie milknie i wycofuje się, kiedy zorientuje się, że może przegrać. Kiedy wróg rośnie w siłę i sięga po to, co nasze i żadną miarą mu się nie należy, sprzeciwiamy się nie tylko siłą argumentów, ale także argumentami siły. Kiedy sprawie-

RDC SEBASTIAN SMOLIŃSKI
opowie Grzegorzowi
Chłaście o 50 latach
„Ojca chrzestnego”

(tekst na s. 85). Słuchaj w środę 17 marca
o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach
na stronie internetowej radia

– www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM





FELIPE DANA / AP / EAST NEWS

Mieszkańcy Irpienia uciekają ze zbombardowanego miasta, 8 marca 2022 r.

dliwość jest po naszej stronie, uznajemy argumenty siły za usprawiedliwione, walka jest sprawiedliwa, kiedy bronimy siebie i bliskich. Skrajny pacyfizm jest nie do usprawiedliwienia wtedy, kiedy jesteśmy odpowiedzialni za życie bliskich, których nie jesteśmy w stanie ocalić inaczej, jak tylko posługując się siłą. niesprawiedliwość budzi w nas słuszny gniew. Pokojowe nastawienie ustępuje przed wolą walki. Jak nie będziemy się bronić, to wróg nas zniszczy i zabije. Dlatego zabijamy wroga.

Nienawiść do wroga potęguje się w miarę tego, jak ten brutalnie i z premedytacją niszczy nasz poukładany świat, w którym dotąd nie było na nienawiść miejsca. Były pokojowe idee, ewangeliczne przesłanie i wiara w przestrzeganie umów. Niestety, to nie jest dobry świat. „Gdy ja mówię o pokoju, tamci prą do wojny” (Ps 120, 7). Podjęcie walki z agresorem to być albo nie być dla atakowanych – muszą walczyć. Walczą nie po to, żeby zabijać, ale walczą zabijając w obronie tego wszystkiego, co im drogie i bliskie. Likwidowanie wroga staje się warunkiem utrzymania wolności i powstrzymania złowrogich ideologii. Wrogom się grozi i żąda wycofania, a jeśli groźby nie robią na nich wrażenia, to uznaje się, że sami są sobie winni, kiedy spotykają ich tragiczne konsekwencje agresji, że śmiercią włącznie. Wrogom

źle się życzy. Złorzeczeń nie ma końca: obyś szczeł, ziemię gryzł i co tam jeszcze kryje się pod serią umieszczanych w zaścępie liter gwiazdek...

Ale gdzieś za tym „szarym wrogiem”, który – niewykluczone, że bez szczególnego entuzjazmu – ostatecznie wypełnia rozkaz swoich dowódców, kryje się zawsze indywidualna ludzka historia. Po obu stronach barykady kierowane są do tego samego Boga błagalne prośby, by wspomógł i nie opuszczał. Kogo wysłucha Bóg? Myśleliśmy, że w Europie wojen już nie będzie, a w Europie bez zmian...

Uchroń od nienawiści

„Od początku dziejów – czytamy w eposie Johna Steinbecka „Na wschód od Edenu” – uczono ludzi, że zabicie człowieka jest złem, z którym nie wolno się pogodzić. Każdy, kto zabija, musi być zniszczony, bo to wielki grzech, może najgorszy, jaki znamy. I potem bierzemy żołnierza, dajemy mu do ręki broń i mówimy: »Użyj jej dobrze, użyj mądrze«”. Użyj, znaczy: zabij wrogów. Na rozpaczliwe pytanie syna, dlaczego należy to robić, Cyrus, czy raczej Steinbeck, odpowiada, że starał się to pojąć, ale nawet nie zbliżył się do zrozumienia, dlaczego tak się dzieje. Bo jeżeli jedni i drudzy chcą i mogą żyć bez agresji, to dlaczego jedni zabijają drugich?

Pytanie może naiwne, ale w świecie, który tak mocno podkreśla prawa człowieka, z prawem do życia włącznie, agresja jest koszmarnym dramatem, a jej inicjatorzy zasługują na miano szalonych. Jeden nasz los: rodzimy się, żyjemy krócej lub dłużej, odchodzimy... Tyłu już było przed nami, zwycięzców i pokonanych, silnych i słabych, władców i poddanych, stawianych na pomnikach i z nich strącanych, został po nich proch i puste cołoły. I jeszcze pamięć minionych zdarzeń, która niekoniecznie chroni nas od powtarzania wciąż tych samych, koszmarnych błędów.

Śmierć na wojnie jest nieuchronna, nawet jeśli ta wojna podjęta jest w imię słusznego prawa do obrony. Czy można nie nienawidzić tych, których się zabija? Tych, którzy przyszli nieproszeni i niszczą wszystko, co dla nas ważne i święte? Czy zabijać znaczy nienawidzić? Niekoniecznie, ale jeśli nienawiść towarzyszy broniącej słusznej sprawie, to ktoś ją wyzwolił... Ruszyła jak fala, trudno ją powstrzymać. Czy można nie być winnym nienawiści do tych, którzy bez żadnego powodu niszczą i zabijają tych, których kochamy? Któż potrafi bez wahania udzielić na te pytania prostych odpowiedzi?

Wojny się jednak kończą i dla tych, co stają naprzeciw siebie z bronią w rękę, i dla nas, którzy poprzez bezpośredni dostęp do medialnych przekazów jakoś w tej wojnie uczestniczymy. A z tą nienawiścią, co może zrodzić się w nich i w nas, oglądających na ciekłokrystalicznych ekranach okrucieństwo wojny, trudno będzie dalej żyć. Bo nienawiść jest wprawdzie siłą, która jednoczy i pcha do walki, ale równocześnie niszczy tych, co nienawidzą, potwornie niszczy.

Uchroń od zła i nienawiści.

Niechaj się odwet nasz nie ziszc.

Na przebaczenie im przeczyste

Wlej w nas moc, Chryste.

Jan Romocki

„Modlitwa Szarych Szeregów”

*Która jesteś jak nad czarnym lasem
blask – pogody słonecznej kościół,
nagnij pochmurną broń naszą,
gdy zaczniemy walczyć miłością.*

Krzysztof Kamil Baczyński

„Modlitwa do Bogurodzicy”

LYNNE CAMERON / PA / EAST NEWS

MARTA ZDZIEBORSKA

Jak to się stało, że były emerytowany biskup popierający święcenia kobiet dołączył do Kościoła katolickiego, który je wyklucza? Na łamach gazety „Daily Mail” Nazir-Ali tłumaczył, że kierowała nim głównie frustracja związana ze zmianami w Kościele Anglii. „Kościół stał się luźnym zbiorem wspólnot stosujących sprzeczne interpretacje chrześcijaństwa. Nawet jeśli w niektórych sprawach dochodzimy do kompromisu, to i tak nie ma to większego znaczenia: ludzie odchodzą ze wspólnoty i żyją po swojemu” – pisał duchowny, krytykując Kościół także za to, że dużą rolę podczas synodów odgrywają aktywiści opowiadający się za ochroną klimatu, poprawnością kulturową czy tzw. krytyczną teorią rasy (kła-

dzie ona nacisk na dyskusję o wpływie okresu niewolnictwa na utrwalenie systemowego rasizmu w instytucjach).

Zdaniem pochodzącego z Pakistanu duchownego zbyt dużo uwagi poświęca się ostatnio rozliczaniu Kościoła za rolę odegraną w czasach Imperium Brytyjskiego. Były biskup krytykuje nałożone przez episkopat wytyczne, by parafie dokonały przeglądu kościelnych pomników i zabytków pod kątem ich powiązań z okresem niewolnictwa i kolonializmu. „Nie jestem obrońcą Imperium Brytyjskiego (...). Uważam jednak, że terror związany z koniecznością opowiedzenia się po stronie liberalnej ortodoksji zwyczajnie osłabia Kościół” – pisał duchowny, zarzucając także anglikanom „niedostateczną” dbałość o instytucję małżeństwa i obronę chrześcijan przed prześladowaniami.

Poprawnością oświadczeń

Podobny punkt widzenia co Michael Nazir-Ali ma Gavin Ashenden, były biskup i kapelan królowej Elżbiety II, który przeszedł na katolicyzm w grudniu 2019 r. Dwa lata wcześniej zrezygnował z prestiżowej funkcji kapelana po tym, jak sprzeciwił się czytaniu Koranu podczas liturgii w episkopalnej katedrze św. Marii w Glasgow. Duchownemu nie spodobało się, że wybrano fragment, w którym co prawda mowa jest o narodzinach Jezusa, ale jednocześnie neguje się jego boskość. Na łamach magazynu „Premier Christianity” Ashenden pisał potem, że czytanie fragmentów Koranu pozostających w konflikcie z Biblią – nawet jeśli ma na celu budowanie dialogu międzyreligijnego – „jest kolejnym krokiem w stronę zagłady chrześcijaństwa w Wielkiej Brytanii”.

Zdaniem byłego hierarchy Kościoła Anglii dał się ośwładzać „poprawności politycznej”. Już po konwersji na katolicyzm Ashenden na łamach „Daily Mail” zarzucił zwierzchnikowi Kościoła Anglii abp. Justinowi Welby’emu, że nie potępił wprowadzania w brytyjskich szkołach koedukacyjnych toalet. Ashenden burzył się również, że arcybiskup popierał pomysł szkolnych mundurków typu uni-seks, co ma być ukłonem w stronę transseksualnych uczniów.

– Będąc podatnym na progresywne idee atakujące wartości chrześcijańskie, Kościół Anglii popełnia samobójstwo – twierdzi w rozmowie z „Tygodni-

kiem” dr Ashenden, który w Kościele katolickim funkcjonuje obecnie jako osoba świecka. Podczas wywiadu wideo, ubrany w granatową koszulę i turkusową kamizelkę, przekonuje mnie, że bez magisterium i teologicznej integralności Kościół Anglii nie jest w stanie skutecznie przeciwstawić się „atakowi liberalnych wartości”.

– W przeciwieństwie do anglikanów katolicy mają prawdziwy Kościół oparty na obowiązującej całej wspólnotę doktrynie – twierdzi. – Kościół anglikański jest zaś zbiorem różnych punktów widzenia funkcjonujących w jednej strukturze, bo tak jest po prostu wygodniej. Anglikanizm jest pusty w środku: arcybiskupi i biskupi nie mają władzy moralnej nad księżmi, a ci odpowiadają mszę, negując ideę przeistoczenia chleba i wina w ciało i krew Jezusa Chrystusa – uważa Ashenden. Jego zdaniem o narastającej frustracji w Kościele Anglii świadczy fakt, że w ciągu ostatniego roku na katolicyzm przeszli m.in. biskupi z proewangelickiego nurtu w Kościele anglikańskim. To duży przełom, bo do tej pory na konwersję decydowali się głównie hierarchowie z nurtu prokatolickiego. Ashenden szacuje, że już około 10 proc. duchownych katolickich w Wielkiej Brytanii to byli anglikanie.

Zonaty ksiądz

Do odpływu konserwatystów z Kościoła Anglii dochodzi od lat 90. XX w., gdy zezwolono na święcenia kapłańskie kobiet. Grono niezadowolonych zaczęło się poszerzać, w miarę jak wysuwano coraz bardziej liberalne postulaty: wyświęcanie na księży gejów i lesbijek czy udzielanie ślubu parom homoseksualnym. Aby ułatwić konserwatywnym anglikanom konwersję i jednocześnie zachowanie dotychczasowej tradycji liturgicznej, Benedykt XVI utworzył w 2009 r. ordynariaty personalne – struktury przypominające diecezje, ale bez geograficznych granic. Zaledwie rok po ich powołaniu na katolicyzm przeszło pięciu biskupów Kościoła Anglii oraz około stu parafii episkopalnych w Stanach Zjednoczonych.

Należy pamiętać, że konwersja nie gwarantuje otrzymania święceń kapłańskich – do tego potrzebna jest zgoda zwierzchnika ordynariatu i Watykanu oraz nauka w seminarium. Święcenia kapłańskie mogą przyjąć nawet żonaci eksanglikanie, ale ci, którzy są jeszcze sin-

glami, mają obowiązek życia w celibacie. Z grona „świeżych” biskupów-konwertytów księdzem katolickim zostali już Michael Nazir-Ali i Jonathan Goodall, na 2 kwietnia zapowiedziano natomiast święcenia Johna Goddarda, byłego anglikańskiego biskupa Burnley.

Obskocz 12 parafii

Nasiloną w ostatnim roku falę konwersji na katolicyzm krytykuje Richard Washington, diakon z parafii Attleborough with Besthorpe we wschodniej Anglii. Duchowny w rozmowie z „Tygodnikiem” przekonuje, że eksodus biskupów tylko uwydatnia kryzys w Kościele anglikańskim, już i tak zmagającym się z odpływem wiernych w coraz bardziej zsekularyzowanym społeczeństwie (anglikanizm wyznaje jedynie około 5 proc. Brytyjczyków). Duchowny mówi również o problemach finansowych związanych z mniejszymi wpływami z datków wiernych oraz wysokimi kosztami utrzymania zabytkowych kościołów i budynków. Diakon Washington wylicza, że tylko na terenie jego macierzystej diecezji Norwich znajduje się ponad 650 takich obiektów.

O trudnej sytuacji finansowej diecezji w czasie pandemii wspomina raport przygotowany na zamówienie anglikańskiego episkopatu, do którego dotarł brytyjski „Church Times”. Według dokumentu zaprezentowanego przed kolegium biskupów jesienią zeszłego roku 27 spośród 42 anglikańskich diecezji ma więcej wydatków niż wpływów. Autorzy raportu nie wykluczają, że w przyszłości dojdzie do likwidacji części diecezji.

„W związku z wydarzeniami w 2020 i 2021 r. wierzymy, że nadeszła pora na znaczące zmiany dotyczące struktury diecezji, ich liczby oraz sposobu funkcjonowania biskupów. Większość diecezji nie jest w stanie się utrzymać” – alarmują autorzy raportu.

Jak tłumaczy „Tygodnikowi” diakon Washington, już teraz ze względu na problemy finansowe w niektórych diecezjach sukcesywnie likwidowane są etaty, przez co zwyczajnie brakuje rąk do pracy.

– Ja i tak mam szczęście, bo czuwać tylko nad dwiema parafiami – podkreśla. – Ale niektórzy księża mają do odwiedzenia nawet od 5 do 12 parafii. Pracy jest tak dużo, że coraz częściej trzeba polegać na opiece nad kościołami na pomocy osób świeckich. Znam wielu księży cierpiących na wypalenie zawodowe. W takiej

→ sytuacji słowa hierarchów-konwertytów krytykujących nasz Kościół za zbytnią nowoczesność lub skupienie na sprawach płci tylko pogłębiają poczucie, że zostajemy z problemami sami.

Washington nie zgadza się z zarzutem, że Kościół anglikański stał się luźnym zbiorem wspólnot. – Przecież od zawsze cechowała nas różnorodność. Spójrzmy chociażby na powierzchowne różnice: w naszej parafii nosimy szaty liturgiczne i zachowujemy liturgię podobną do tej w Kościele rzymskokatolickim. Są natomiast kościoły, w których duchowni noszą t-shirty i jeansy albo np. odprawiają mszę przypominającą tę w Kościele baptystycznym. I to też jest w porządku – dodaje.

Podkreśla, że istnieją również bardziej fundamentalne różnice, dotyczące cho-

BYŁY BISKUP GAVIN ASHENDEN:

W przeciwieństwie do anglikanów katolicy mają prawdziwy Kościół oparty na obowiązującej całej wspólnotę doktrynie.

ciażby interpretacji Biblii. Podczas gdy jedni czytają ją dosłownie i tym samym potępiają homoseksualizm oraz kapłaństwo kobiet, drudzy stosują metodę historyczno-krytyczną, która pozwala spojrzeć na te kwestie z perspektywy liberalnej. – Siłą Kościoła anglikańskiego jest to,

że możemy nie zgadzać się w pewnych kwestiach, ale dalej jesteśmy razem – mówi diakon, dodając, że doniesienia o konwersji kolejnych biskupów anglikańskich nie spotkały się z dużym zainteresowaniem wśród wiernych w jego parafii.

– Ludzie nie mają czasu, by analizować, co hierarchom podoba się w naszym Kościele, a co nie – przekonuje. – Wiernym zaangażowanym w życie parafii zaprzęta głowę, co przygotować na posiłek dla ubogich albo jak załatwić transport dla starszego sąsiada, który sam nie dojedzie na mszę. To są bieżące problemy. Jeśli biskupi-konwertyci uważają, że istnieją palące wyzwania, jakimi należy się zająć w naszym Kościele, to powinni byli sygnalizować to wcześniej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ATAK NA UKRAINĘ

SERWIS SPECJALNY

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich,
doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie.

Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak,
Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

WOJCIECH

Bonowicz:

Czerwona ziemia



CHŁOPIEC MA SIEDEM I PÓŁ ROKU, KIEDY na jego rodzinne miasto spadają pierwsze bomby. Z okazałej kamienicy, w której mieszka, słychać odgłosy wybuchów – bombardowane jest lotnisko wojskowe oraz okolice dworca kolejowego. Pierwsze straty nie są duże, ale dwa dni później nadlatują kolejne samoloty i zrzucają bomby m.in. na pobliski stadion.

Miasto już od dłuższego czasu przygotowywało się do obrony. W ostatnich dniach przed wybuchem wojny na alejach i skwerach kopano rowy i zamaľowywano okna tramwajów. Chłopiec był jeszcze na wakacjach, kiedy ogłoszono powszechną mobilizację. Widział rozpaczających ludzi, kobiety w pośpiechu pakujące rzeczy swoich mężów i synów. Kilka miesięcy wcześniej, słysząc rozmowy dorosłych, wypalił głupio, że chciałby wreszcie zobaczyć prawdziwą wojnę. Teraz żałuje tamtych słów.

Po nalotach plac, przy którym stoi jego kamienica, opustoszał. Co chwilę rozlega się wycie syren, a wieczorami trzeba siedzieć po ciemku. Jednak rodzina chłopca nie zostanie w mieście długo. Ojciec pracuje w kuratorium – podobnie jak inni urzędnicy musi się ewakuować, zanim wkroczą obce wojska. Trzeciego dnia wojny chłopiec wraz z rodzicami i młodszą siostrą wsiadają na galar, który powiezie ich w dół Wisły. Galarzem można przemieszczać się szybciej niż zatłoczonymi drogami, ale stanowi on też łatwy cel dla pojawiających się coraz liczniej myśliwców. Ewakuowani docierają w okolice Sandomierza, dalszą drogę muszą przebyć na piechotę. Ojciec niesie siostrę w plecaku, chłopiec trzyma za rękę mamę.

Idą, jak wszyscy, na wschód, nie spodziewając się, że wojna nadejdzie również z tamtej strony. Z dziećmi nie da się ucie-

kać zbyt szybko, nie zawsze znajdą się chętni, żeby je podwieźć. Kolumny uchodźców są ostrzeliwane z samolotów. Trzeba wtedy uciekać w pole, kłaść się twarzą do ziemi i zatykać uszy. Czasem wędrujący muszą się zatrzymywać, żeby przepuścić przemieszczające się wojska. Kilkanaście lat później chłopiec opíše je w wierszu:

*I skrzypiały na drogach wozy i rzemienie,
Pył usta zaciśnięte i rany oblepiały,
Pod obcasem czerwono bulgotała ziemia,
Niebo karmione ogniem złym patrzyło ślepiem.*

Docierają do zbombardowanego Janowa Lubelskiego, a potem dalej, do Czarneogostoku, gdzie na kilka dni przyjmuje ich rodzina kierownika miejscowej szkoły. Po dwóch tygodniach od ewakuacji okazuje się, że dalsza wędrówka nie ma sensu. Zawracają więc w okolice Janowa i tam zostają w chłopskiej chacie, czekając na rozwój wypadków. Miasteczko zajęli Niemcy, ale w pobliżu wciąż są polskie oddziały, które nie zamierzają złożyć broni. W końcu ojciec podejmuje decyzję: wracamy do domu. Znow idą w tłumie uciekinierów, tym razem na zachód. Znow trzeba prosić życzliwych ludzi o podwózkę, żeby dzieci mogły trochę odpocząć. Na poboczach dróg leżą jeszcze niepochowane ciała, zwłoki ludzi i zwierząt, rozbite samochody. Wędrujący są zmęczeni i przerażeni, ale dzieci patrzą na wszystko z zaciekawieniem. Na początku października docierają do Krakowa. „Babcu, widziałem prawdziwe pobojowisko”, mówi chłopiec, kiedy starsza pani otwiera im drzwi.

Chłopiec nazywa się Andrzej Bursa. Będzie żył krótko, zostawi po sobie niewiele ponad setkę wierszy, kilka utworów prozą, kilka dramatów. Charakterystycznym motywem jego twórczości będzie wszechobecność przemocy i cierpienia. Będzie opisywał drzewa, które „żywą krwią wzbierają i bolą”, a kochankowie z jego wiersza będą się spotykać w „pejzażu zagrożonym mieczem i piorunem”. W wieku dwudziestu pięciu lat napisze: „przywykłem do twoich okrucieństw / nauczyłem się śmiać z własnego trupa (...) życie moje / mój wrogu”.

Jego pierwsza książka ukaże się już po jego śmierci. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach, Wydział I Cywilny, pod sygn. akt I Ns 93/21 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Skupny, ostatnie stale zamieszkującym w Tychach, zm. w dniu 30 lipca 2019 r. w Tychach.

Wzywa się spadkobierców bądź ich następców prawnych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o nabyciu spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygn. akt I Ns 319/20 toczy się postępowanie z wniosku Bronisławy Maciuszewskiej z udziałem Roberta Bańki o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Bańce, c. Józefa i Stanisławy, zm. 17 października 2011 r. w Nowej Dębie.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa, aby wszyscy zainteresowani w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Pewien mądry człowiek, zresztą nasz czytelnik, powiedział o robieniu pism, w tym – tygodników: „Misja bez pieniędzy to utopia. Pieniądze bez misji – to cynizm”.

Łatwo nam się z tym zgodzić, bo „Tygodnik” wydajemy w poczuciu, że nasza wiarygodność jest zbudowana na niezależności od każdej, również finansowej, presji. Inny nie miałby przecież racji bytu. Innego nie chcielibyśmy wydawać. Uznaliśmy, że sponsorem, któremu możemy bezwzględnie zaufać, jesteście Wy, nasi Czytelnicy. Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysów, dezinformacji, w niełatwych czasach.

A najwspanialsze jest to, że istnieje w świecie wielka wspólnota „Tygodnika Powszechnego”, pismo zaś jest jej dobrem. Planeta, na której jest życie.

Adam Boniecki

Ks. Adam Boniecki

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO





Suwerenni dzięki Wam!

Od 20 lat Fundacja Tygodnika Powszechnego działa na rzecz demokracji, wolności i swobód obywatelskich. Trzy pierwsze cele w statucie naszej organizacji pożytku publicznego to:

- pogłębianie i promowanie demokratycznego modelu życia społecznego
- propagowanie modelu dialogu społecznego i rozwoju podstaw instytucji społeczeństwa obywatelskiego
- propagowanie i pogłębianie idei wolności słowa oraz wolnych i niezależnych środków masowego przekazu

1%

Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji: powszech.net/dar



Przygotowanie posiłków dla żołnierzy i uchodźców na terenie parafii greckokatolickiej w Drohobyczu. 1 marca 2022 r.

ZAPASY SĄ NA KILKA DNI

Już co dziesiąty obywatel Ukrainy to wygnaniec. Obok tych, którzy uciekli za granicę, jest też milion uchodźców wewnętrznych. Wkrótce mogą być problemy z ich zaopatrzeniem.

WOJCIECH PIĘCIAK Z DROHOBYCZA I ZIEMI LWOWSKIEJ

KIEDYŚ, OSIEM LAT TEMU – DZISIAJ WYDAJE się, jakby to była inna epoka – oni także byli wygnańcami. Właściwie to są nimi nadal: gdy w 2014 r. Abdulkahar i Dżamila, małżeństwo Tatarów Krymskich, musieli opuścić wraz z czworgiem dzieci rodzinny dom – uchodząc przed Rosją, która sięgnęła po ich Półwysep –

sądziła, że odchodzą tylko na chwilę. Wierzyli, że wkrótce wrócą, że przecież świat nie pozwoli, aby jeden kraj w Europie tak po prostu ukradł kawałek innego kraju.

Stało się inaczej. Od ośmiu lat Abdulkahar i Dżamila żyją w Drohobyczu, 70-tysięcznym powiatowym mieście na ziemi lwowskiej. Znaleźli tu nowy dom.

Stworzyli – wraz z grupą ok. 120 innych Tatarów Krymskich, którzy również tu trafili – małą wspólnotę (oni mówią: gromadę). Znaleźli pracę. Abdulkahar, czterdziestoparolatek w okularach, jest informatykiem. Abdulrahman, przewodniczący gromady, prowadzi w pobliskim Truskawcu – popularnym karpackim



GRAZYNA MAKARA

kurorcie – mały bar z tatarskimi przysmakami.

Oni, którzy przed aneksją byli tatarskimi aktywistami, a w marcu 2014 r. nosili żywność ukraińskim żołnierzom (pamiętamy te zdjęcia: baz ukraińskich na Krymie, branych głodem), pod władzą Rosji nie mieli czego szukać. Sądziło się, że tu, na drugim końcu kraju, będą bezpieczni.

Słowo klucz: determinacja

Znowu stało się inaczej. Dziś Abdulkahar wspomina, że gdy w czwartek 24 lutego Rosja uderzyła, by zniszczyć teraz całe już niepodległe ukraińskie państwo, przez pierwszy dzień, może dwa, był jakby w psychicznym szoku.

To zresztą doświadczenie powszechne: w bardzo wielu prowadzonych tu rozmowach pojawia się wspomnienie, że dzień pierwszy, a czasem także parę kolejnych,

to był czas osłupienia, niedowierzania, psychicznego paraliżu. – Przez pierwsze dwa dni co chwila płakałem, ja, stary chłop – powie także 54-letni Ołeh, właściciel firmy samochodowej, którego mobilizacja nie obejmuje, bo jedną nogę ma nie-sprawną i porusza się o kuli.

U Ołeha było tak, że po tamtym pierwszym paraliżu nastał czas wewnętrznej mobilizacji: szok, żal, przysięgnięcie i inne negatywne emocje zamieniły się w determinację. Taką cichą, wręcz spokojną. Teraz Ołeh jako kierowca ciężarówki dzień w dzień wozi pomoc – humanitarną dla uchodźców i taką dla armii regularnej oraz formujących się, również w powiecie drohobyckim, oddziałów obrony terytorialnej. „Teroborona”, jak tu mówią, to druga linia obrony, tworzona na wypadek, gdyby Rosja przyszła aż tutaj. – Nie wiem, co będzie – mówi Ołeh. – Ale będę robić swoje do końca. Naszego lub tych ruskich chujów.

Determinacja – to dziś słowo klucz. Determinacja bez egzaltacji, bez patosu. Czasem wręcz fatalistyczna („Myślę, że będzie bardzo źle, ale będę robić swoje”), a czasem stoicka („Dlaczego wracam do Winnicy? Tam mój dom. Że mogą mnie powołać? No cóż, to pójdę i tyle” – to Wasyl, lat 53, kierowca tira, rosyjskojęzyczny). Czasem determinacja roztrzęsiona („Żeby zasnąć, muszę brać środki uspokajające. Byle tylko ich nie zabrakło w aptekach”). Jeszcze innym razem – pod postacią czarnego humoru („Najwyżej zobaczymy się w Walhalli, bracie, jest tam już dużo naszych dobrych ludzi!”). Ale, tak czy inaczej, determinacja: aby trwać do końca. Jakikolwiek by on nie był.

Gość w dom

Podobnie było z Abdulkaharem. On swoje osobiste poczucie sprawczości odzyskał z chwilą, gdy już drugiego dnia inwazji do Drohobycza dotarły pierwsze grupy jego rodaków – Tatarów, którzy mieszkali w obwodach (odpowiednik województw) po sąsiedzku z Krymem, także nad Morzem Czarnym: chersońskiego, odeskiego, mikołajewskiego. Gdy się zaczęło, nie czekali, rzucili się do ucieczki – dla nich kolejnej.

Na koniec przyjechało ich tu około dwustu, a Abdulkahar, Abdulrahman i ich drohobycka gromada zrobili to, co nakazuje im wiara i sumienie. Wszak powiedział prorok Mahomet (niech pokój i błogosławieństwo Allaha będą z Nim): „I wiedz, że

nie ma zwycięstwa bez cierpliwości, nie ma uzyskania czegoś bez utraty czegoś, nie ma ulgi bez wcześniejszej trudności”.

Gromada przyjęła rodaków-wygnañców. Chwilową gościnę dali tym, którzy postanowili jechać dalej – bo z dwustu-osobowej grupy trochę ponad połowa szybko ruszyła w dalszą drogę, autobusami przez Rumunię i Bałkany aż do Turcji (również tam żyje duża społeczność tatarska; ale o tym kiedy indziej, w innej opowieści). – Oni zostali tylko na noc, aby odpocząć, przespać się, uciec od stresu i jechać dalej – mówi Dżamila.

Natomiast osiemdziesięcioro postanowiło zostać w Drohobyczu. W końcu miasto jest bezpieczne, jak cała zachodnia Ukraina. Wprawdzie pierwszego dnia tu i tam spadały rosyjskie rakiety – najbliższej nich na bazę wojskową pod Samborem – ale to było bardziej działanie na postrach: rakiety posłane w różne zakątki Ukrainy miały nie tyle niszczyć, co przerażać – stworzyć wrażenie, że Rosja jest wszechmocna, że sięga wszędzie.

Teraz to pierwsze wrażenie się rozwiało, a najgorszym, co działa na nerwy, jest nocne wycie syren. Przestarzały system alarmu przeciwlotniczego nie rozróżnia: swój czy wróg – i włącza się, gdy leci ukraiński śmigłowiec lub samolot. Właściwie można by zrezygnować z tych całych alarmów – bo wtedy trzeba wstawać, szybko się ubierać, schodzić do piwnicy. Najgorzej znoszą to dzieci.

Wróćmy jednak do tych, których w języku ONZ i OBWE nazywa się uchodźcami wewnętrznymi. Tych tatarska gromada przyjęła w sposób najprostszy, który praktykowany jest dziś nie tylko w miastach i miasteczkach zachodniej Ukrainy, ale również w Polsce – czyli u siebie.

Każda z dwudziestu drohobyckich rodzin tatarskich przyjęła jedną rodzinę wygnañców. U Abdulkahara i Dżamili zamieszkało – w jednym z trzech pokoi ich mieszkania w bloku przy ul. Sambirskiej – małżeństwo z dwójką małych dzieci. Uciekli z Melitopola. Teraz żyją razem: wspólnie gotują, a ich dzieci – Dewletgeriej, Miriam i najmłodsza 9-letnia Salsabil – pomagają w opiece nad dziećmi tamtych (najstarszą córkę, Sofię, Abdulkahar i Dżamila wydali już za mąż, wesele było przed miesiącem – w tamtej, innej epoce).

Dynamika wydarzeń

Nie tylko oni, Tatarzy, tak postąpili. Wiele rodzin z Drohobycza spontanicznie →

→ przyjęło w swoich domach i mieszkaniach wygnańców ze wschodniej i centralnej Ukrainy.

Teraz, gdy jest ich coraz więcej i więcej, gdy na ulicach miasta co krok widzi się auta z numerami rejestracyjnymi z odległych obwodów, gdy na tutejszy dworzec kolejowy codziennie przybywają pociągi ewakuacyjne – miejsc w domach prywatnych już nie starcza. Dla kolejnych przybyszów trzeba uruchamiać prowizoryczne schroniska: w szkołach, świetlicach, we wszelkich możliwych budynkach publicznych.

Codziennie statystyki uchodźców, którzy opuszczają Ukrainę – do 10 marca było to już ok. 2,5 mln, z czego 1,5 mln trafiło do Polski – przesłaniają bowiem (przynajmniej w zachodniej Europie) fakt, że wielu wygnańców ze wschodnich i centralnych regionów kieruje się nie za granicę, lecz do zachodniej części kraju, gdzie jest bezpiecznie. W niektórych miastach mogą stanowić już nawet 20 proc. ludności. Lokalne władze robią, co mogą, ale czy można zrobić wszystko i być wszędzie w obliczu takiej katastrofy?

Swoją dynamiką przewyższa ona nawet to, co działo się podczas II wojny światowej – bo wtedy uciekało się wozem konnym lub pieszo, rzadko pociągiem, jeszcze rzadziej własnym autem. Tymczasem w miniony czwartek, 10 marca, po dwóch tygodniach rosyjskiej inwazji, już co dziesiąty obywatel Ukrainy był wygnańcem – zewnętrznym lub właśnie wewnętrznym. Według ostrożnych szacunków do tego momentu do zachodnich obwodów trafiło już około miliona ludzi.

Kilkanaście tysięcy

Ilu ich jest w 70-tysięcznym Drohobyczu? Dokładnie nie wiadomo.

– Szacuję, że może ich być u nas już kilkanaście tysięcy – mówi Oksana Matczyżyn. Kiedyś, w innej epoce, Oksana szefowała miejskiemu wydziałowi ds. rodzin i młodzieży. Teraz koordynuje rozlokowanie uciekinierów. – Wprawdzie oficjalnie zarejestrowało się u nas tylko dwa i pół tysiąca, ale wielu na razie tego nie robi, bo mają poczucie zawieszenia, nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Niektórzy może pojadą dalej, do Polski. Inni wierzą, że wojna szybko się skończy i tutaj tylko chwilę przeczekać, aby możliwie szybko wrócić do domu. A zarejestrowanie się to już krok w kierunku decyzji, aby tu zostać, choćby tylko na jakiś czas.



Miriam i Salsabil. Drohobycz, 6 marca 2022 r.

Spotkać ich można na każdym kroku; wszędzie stoją też auta na wschodu. Widać ich również na ulicach – z charakterystycznymi wielkimi torbami, sumkami, jak tu się mówi.

– Ja ich poznaję po oczach – mówi znajoma mieszkanka Drohobycza. – Jest w nich coś takiego... Jakaś pustka, jakiś straszliwy smutek.

Pomoc totalna

Dynamika wydarzeń sprawia, że tak jak obrona Ukrainy przybiera dziś charakter tzw. obrony totalnej (to pojęcie z zakresu wojskowości: oznacza, że do walki staje całe społeczeństwo, każdy chętny, także cywile uzbrojeni w to, co akurat mają, choćby tylko butelki z benzyną), tak też pomoc – dla walczących na froncie oraz dla wygnańców – również ma charakter pomocy totalnej. Angażuje się każdy, kto może i jest w stanie.

Tu, w Drohobyczu, oznacza to tyle, że robią to wszyscy, od góry do samego dołu. A na dole – również wszystkie parafie, wszystkich wyznań i obrządków. „Oferujemy pomoc duchową i materialną, jedzenie i nocleg. Jeśli potrzebujesz, zadzwoń pod numery...” – to ogłoszenie opublikowane w internecie i w realu przez księdza Mirka Lecha, proboszcza rzymskokatolickiej parafii św. Bartłomieja.

To także oba tutejsze Caritasy, grecko- i rzymskokatolicki. – Nie mamy możliwości zakwaterowania ludzi, ale pomagamy, dostarczając konkretnym rodzin żywność i leki. Rozdajemy to, co mamy, standardowa paczka zawiera podstawowe produkty: mąkę, makaron, ryż, cukier i olej – mówi brat Wawrzyniec Iwanczuk, przełożony Stacji Pomocy Socjalnej przy ulicy Franki (Stację prowadzi czterech polskich bonifratrów; przed inwazją mieli stale pod opieką ok. 450 osób; to jedyna placówka tego zakonu na Ukrainie).

Dynamika wydarzeń oznacza również, że o ile dziś, pod koniec pierwszej dekady

marca, w sklepach w Drohobyczu nie brakuje żywności, o tyle ci, którzy pracują „na pierwszej linii”, twierdzą, że to wkrótce może się zmienić.

– Za kilka dni mogą skończyć się zapasy żywności. Po prostu nie będziemy mieli co wydawać tym ludziom – mówi ks. Taras Harasymczuk, duchowny grekokatolicki, którego parafia od początku pomaga wygnańcom.

– Hurtownie z produktami spożywczymi pustoszeją. Ludzie wykupują wszystko – twierdzi pracownik socjalny Caritasu, który z racji swej pracy ma stały kontakt w terenie z uchodźcami oraz, z drugiej strony, ma także wiedzę na temat stanu zaopatrzenia.

No i jest jeszcze czynnik ludzki. – Moja żona codziennie po pracy idzie do naszej parafii, gdzie razem z innymi kobietami lepia pierogi, na front i dla uciekinierów – mówi Ołeh, kierowca. – Jest już bardzo zmęczona. Ale co począć, wszyscy jesteśmy zmęczeni. W domu z żoną teraz tylko się mijamy.

Wspomniany pracownik socjalny, który prosił o anonimowość, mówi, że dla niego najgorszy jest widok przerażonych dzieci wygnańców, które nie mogą znaleźć sobie miejsca. Dlatego stara się mieć teraz zawsze przy sobie coś w rodzaju „żelaznego zestawu”: jakieś słodczyce, kredki, papier do rysowania. Coś, co może podarować dziecku, aby je czymś zająć. Aby odwrócić jego uwagę od tego, co widziało. Odstresować. Przynajmniej na chwilę.

Starosta na wielu frontach

Stepan Kulinjak miał dwa lata, gdy w 1991 r. Ukraina stała się niepodległą. Należy do pierwszego pokolenia wyrosłego od początku w wolnym państwie. Z wykształcenia prawnik i finansista, z uprawnień adwokata, od roku jest szefem państwowej administracji na powiat Drohobycz (to odpowiednik polskiego starosty, choć z większymi uprawnieniami).

Dziś to administracja wojenna, a biuro Kulinjaka przy ulicy 22 Stycznia (to rocznica zjednoczenia w 1919 r. dwóch państw ukraińskich, zachodniej ZUNR i wschodniej URL) to teraz najważniejsze miejsce w powiecie, gdy idzie o koordynację tutejszego wysiłku wojennego.

Kulinjak w niczym nie przypomina urzędników postsowieckiego jeszcze sztytu, którzy długo dominowali w ukraińskiej administracji. Widać, że jest pod presją: co chwila ktoś zagląda do gabinetu,

telefony dzwonią nieustannie. Energiczny i bezpośredni, stres rozładowuje uśmiechem. Dla gościa z Polski ma pięć minut – ostatecznie rozmowa potrwa piętnaście.

Również on szacuje, że w samym tylko Drohobyczu może być już kilkanaście tysięcy uchodźców. – A przecież ciągle przybywają nowi – zaznacza. Kolejnych kilkanaście, może nawet już dwadzieścia tysięcy jest w pobliskim 30-tysięcznym Truskawcu. – Tam jest bardzo duża baza noclegowa. Sanatoria, hotele, pensjonaty, wszystkie one są już zapewnione – mówi starosta Kulinjak.

Uchodźcy to dla niego tylko jeden z licznych jego frontów, na których organizuje obronę swojego powiatu. Równie ważne miejsce zajmuje tworzenie wspomnianej już „drugiej linii”. – Na dzień przed inwazją nasz powiatowy batalion obrony terytorialnej liczył tylko dwudziestu ludzi. Nie było zainteresowania, bo mało kto wierzył, że Rosja uderzy na całego. Obecnie liczy pięciuset żołnierzy, już zaprzysiężonych, pod bronią. Ochotników było kilka razy więcej, ale braliśmy tylko ludzi mających doświadczenie służby wojskowej – mówi starosta.

Ostatni bastion

Obrona terytorialna – tu pod postacią Batalionu nr 47 „Drohobycz” – to, jak powiedziano, druga linia obrony totalnej (po armii regularnej). Ona jest już gotowa. Teraz Stepan Kulinjak pracuje nad formowaniem linii trzeciej – tej ostatniej.

W powiecie drohobyckim jest pięć zjednoczonych gromad terytorialnych – to nowa struktura samorządowa, stwo-

rzona kilka lat temu podczas reformy samorządu, niemająca bezpośredniego odpowiednika w Polsce (można by powiedzieć, że jest to zjednoczenie kilku naszych gmin). Teraz każda z gromad formuje własny batalion ochotniczy. – Sądząc po zgłoszeniach, jakie mamy, niektóre będą liczyć po pięciuset, a w niektórych gromadach nawet po tysiąc ludzi – mówi Kulinjak.

Tutejsze gromadzkie bataliony na razie nie dostaną od władz broni (jak ma to już miejsce np. w obwodzie kijowskim). Założenie jest takie, że ich członkowie będą przechodzić szkolenie wojskowe. Będą też patrolować okolicę – znając doskonale i swój teren, i sąsiadów – aby pilnować porządku i zapobiegać ewentualnemu przenikaniu rosyjskich grup dywersyjnych i zwiadowczych. Jak dotychczas żadna się tu nie pokazała, ale doświadczenia z Kijowa czy Odessy pokazują, że lepiej być gotowym. Bataliony gromadzkie ruszą w bój dopiero, gdyby Rosja przyszła do Drohobycza. Wtedy wojsko wyda im karabiny.

Czy dla wszystkich wystarczy? Czy nie będą musieli iść na czołgi z butelkami z benzyną? Na to pytanie Kulinjak nie może odpowiedzieć, tajemnica wojskowa.

Ale nie musi odpowiadać: kilka dni temu parlament (stałe obradujące w Kijowie) przyjął ustawę, która pozwala obywatelom na użycie dla obrony kraju prywatnej broni – myśliwskiej czy sportowej, legalnej czy także tej posiadanej dotąd nielegalnie.

Jeśli będzie bardzo źle

– Niech Bóg obdarzy nas cierpliwością, wytrwałością i spokojnym niebem nad

naszymi głowami – takimi słowami modła się Abdulkahar i Dżamila.

– Pan da siłę swojemu ludowi. Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju – modła się ojciec Harasymczuk i brat Wawrzyńc.

Abdulkahar i Dżamila podjęli decyzję: zostaną w Drohobyczu. Podjęli ją po tym, jak zadzwoniła Marta. Wraz ze swoimi przyjaciółmi z Polski przyjeżdżała do nich w ostatnich latach chyba ze trzydziści razy. Przywoziła dla gromady odżywki dla dzieci, tornistry szkolne, rowerek dla Salsabil. A także uśmiech. Teraz zadzwoniła i powiedziała: jeśli chcecie, przyjeżdżajcie do nas, przyjmujemy was.

Postanowili jednak, że zostaną. Uważają, że tutaj są teraz potrzebni. Że skoro kiedyś im pomagano, teraz oni chcą pomóc tym, którzy przyjeżdżają często z jedną czy dwiema reklamówkami i z dzieckiem na rękę.

Abdulkahar i Dżamila ustalili też między sobą, że jeśli Rosjanie przyjdą aż tutaj, wtedy on zgłosi się do walki (choć nie umie strzelać; w wojsku nigdy nie był, a poza tym z natury jest – poprawka: był – pacyfistą), a ona z dziećmi będzie próbowała się ewakuować.

Na razie, gdy nocą wyją syreny, gdy trzeba zarzucić coś na piżamę i potem siedzieć w ciemnej piwnicy, aż kolejne syreny ogłoszą odbiór alarmu bojowego, mała Salsabil drży. Wtedy Dżamila przytula ją i szepce: – Jak będzie już bardzo źle, pojedziemy do Marty.

Salsabil się uspokaja i zasypia.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Współpraca ALEKSANDRA WOŹNIAK



Rozładunek darów z Polski. Lwów, 6 marca 2022 r.

Pomoc dla walczącej Ukrainy

CZYTELNICY, KTÓRZY CHCIELIBY WESPRZEĆ obywateli Ukrainy – tych, którzy zostali w kraju i organizują jego obronę oraz troszczą się na miejscu o cierpiących – mogą to uczynić pomagając Fundacji, którą utworzyły środowiska polskich i ukraińskich wolontariuszy z Drohobycza i Krakowa (w jej zarządzie jest m.in. Wojciech Pięciak, kierownik działu zagranicznego „TP”, a od 2014 r. także wolontariusz i organizator pomocy dla Ukrainy): Fundacja S.O.S. Ukraina. Adres: ul. Wspólna 2 G, 35-205, Rzeszów. Numery kont (Bank PKO BP):

ZŁOTÓWKI: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408

EURO: 57 1020 4391 0000 6802 0217 8416

DOLARY: 62 1020 4391 0000 6602 0217 8424

FUNTY: 67 1020 4391 0000 6402 0217 8432

Tytuł przelewu: **Czytelnicy „TP” dla Ukrainy.**

Ukraińskie muzea na rosyjskim celowniku

PIOTR KOSIEWSKI

Zdjęcie mężczyzn, którzy wynoszą figurę Chrystusa Ukrzyżowanego z XIV-wiecznej katedry ormiańskiej we Lwowie, aby ją ukryć w schronie, stało się już jednym z symboli agresji Putina na Ukrainę.

WKRÓTCE PO TYM, JAK TRWAJĄCA od ośmiu lat wojna w Donbasie zamieniła się w pełnowymiarową inwazję, ukraińskie Ministerstwo Kultury podało, że zaczęto zabezpieczanie zbiorów muzealnych, a najcenniejsze obiekty będą wkrótce gotowe do ewakuacji.

Szybko udało się zdemontować wystawę stałą w kijowskim Narodowym Muzeum Historii Ukrainy – jednym z najzasobniejszych w kraju i posiadającym obiekty od epoki neolitycznej przez okres grecki, rzymski i scytyjski oraz początki Rusi Kijowskiej aż po współczesność. Zabezpieczono też zbiory odeskigo Muzeum Sztuk Pięknych i kijowskiego Mysteckiego Arsenału (są wśród nich prace czołowych twórców awangardy Ołeksandra Bohomazowa i Kaziemierza Malewicza). Zaczęto zabezpieczać archiwum i biblioteki. Dopiero teraz widać, jak trudnym wyzwaniem w czasie ostrzałów i bombardowań jest ochrona, a tym bardziej ewakuacja obiektów muzealnych i archiwalnych.

Odrębny problem to zabytki. Dotyczy to nie tylko Lwowa, który przetrwał niemal nienaruszony obie wojny światowe i czasy sowieckie. Na liście światowego dziedzictwa UNESCO jest dziś siedem obiektów z Ukrainy, a lista cennych zabytków jest długa. Zachowały się np. historyczne centra Czernihowa i Odessy, a w Kijowie choćby wyjątkowy, pochodzący z wieków XI-XII Sobór Mądrości Bożej, Iawra Peczerska i XVIII-wieczny sobór św. Andrzeja, zaprojektowany przez Bartolomea Rastrellego (autora petersburskiego Pałacu Zimowego). Nie mówiąc o obiektach w mniejszych miejscowościach.

Obrazy pod bombami

Już w pierwszych dniach inwazji zaczęły się pojawiać informacje o zniszczeniach.

Dane są nadal szczątkowe, ale wiadomo, że każdego dnia dochodzi do kolejnych strat.

Spłonęło Muzeum Historii i Krajoznawstwa w podkijowskim Iwankowie z pracami wybitnej XX-wiecznej malarki „naiwnej” Marii Prymaczenko (część z nich, jak się okazało później, szczęśliwie ocalili mieszkańcy). Bomby spadły na plac Wolności w Charkowie, przy którym stoi budynek Derżprom z 1928 r., jedno z najwybitniejszych dzieł sowieckiego konstrukttywizmu. Uszkodzony został tamtejszy XVIII-wieczny sobór Zaśnięcia Matki Bożej i zabytkowe budynki uniwersytetu. Są informacje o zniszczeniach licznych cerkwi w mniejszych miejscowościach. Wreszcie 1 marca Rosjanie zbombardowali Babi Jar w Kijowie – miejsce pamięci o masowych zbrodniach dokonanych tu przez Niemców, zwłaszcza na ludności żydowskiej.

„Wraz z życiem cywilnym i wojskowym, wraz z budynkami mieszkalnymi i infrastrukturą wojska agresora cynicznie niszczą dziedzictwo kulturowe narodu ukraińskiego” – mówiła Ludmyła Denisowa, rzeczniczka praw obywatelskich. Przypominała, że niszczenie materialnego dziedzictwa kulturowego Ukrainy jest naruszeniem przez Rosję konwencji UNESCO o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego z 1954 r. Zaapelowała też do państw członkowskich UNESCO o przyjęcie wszelkich możliwych sankcji wobec Rosji oraz o wprowadzenie zakazu lotów nad Ukrainą.

Ewakuować za granicę?

Minister kultury Ukrainy Ołeksandr Tkaczenko wezwał do pozbawienia Rosji członkostwa w UNESCO. Sprzeciw wobec agresji na Ukrainę wyraziły naj-

ważniejsze instytucje międzynarodowe, a także archiwa, biblioteki, muzea czy galerie. Międzynarodowa Rada Muzeów (ICOM) w swoim oświadczeniu podkreśliła odpowiedzialność społeczności międzynarodowej za ochronę dziedzictwa kulturowego w czasie wojny. Działania armii rosyjskiej potępił CIMAM – Międzynarodowy Komitet Muzeów i Zbiorów Sztuki Nowoczesnej. Obie organizacje zaoferowały wsparcie dla Ukrainy.

Z kolejnymi ofertami występują poszczególne instytucje. Nordiska museet w Sztokholmie otworzyło fundusz na zbiórkę pieniędzy z krajów nordyckich, a Konstmuseum w Malmö zadeklarowało gotowość bezpiecznego przechowywania dzieł sztuki z Ukrainy. W wielu krajach organizowane są zbiórki publiczne, a muzea organizują wysyłkę zapleczenia na Ukrainę. Trwają one także u nas – np. ICOM Polska przygotowuje program szybkich funduszy pomocowych i grantów, który pozwoliłby na wsparcie w dłuższym okresie.

Pojawia się też pytanie o ewakuację za granicę choćby części zbiorów. W wywiadzie dla PAP wiceminister kultury Jarosław Sellin powiedział, że Polska jest na to przygotowana, ale decyzję o takiej relokacji mogą podjąć jedynie władze Ukrainy. I dodał: „Nie powinniśmy wywierać żadnych nacisków w tej sprawie”.

Lepiej być gotowym

Choć front jest daleko, do obrony przygotowuje się też Lwów. Zabezpieczono m.in. rzeźby Neptuna, Diany, Amfitryty i Adonisa na rynku i witraże w katedrze łacińskiej. Przenoszone i zabezpieczane są zbiory Muzeum Narodowego i Lwowskiej Galerii Sztuki. Obiekty są zdejmowane z ekspozycji, pakowane i przenoszone do schronów i magazynów.

Problemem jest liczba zabytkowych budowli – we Lwowie jest 10 proc. wszystkich ukraińskich zabytków – i skala tutejszych zbiorów archiwalnych, bibliotecznych i muzealnych.

Jak zwraca uwagę Taras Wozniak, tylko kierowana przez niego Lwowska Galeria Sztuki to aż 16 osobnych muzeów, w tym otwarte przed rokiem Muzeum Modernizmu. Do tego są one nie tylko we Lwowie, ale także m.in. w Oleksku, Podhorcach i Złoczowie. Wzmocnienie ich ochrony na czas wojny to trudne wyzwanie, tym bardziej że zagrożeniem



Pochodzący z początku XIX wieku pomnik Neptuna we Lwowie zabezpieczono na wypadek ostrzału lub nalotów. 4 marca 2022 r.

są nie tylko działania militarne, ale mogące towarzyszyć im kradzieże i dewastacje – czego ponurym przykładem los muzeów irackich po obaleniu reżimu Saddama Husajna.

W wypowiedzi dla „Tygodnika” Taras Wozniak podkreśla: – Na tym etapie konfliktu sytuacja muzeów nie jest krytyczna. Muzea nie są głównym celem rosyjskich okupantów. Trzeba też zaznaczyć, że instrukcje na wypadek wojny powinna mieć każda instytucja kultury. Zostały one przygotowane na wiele lat przed tą wojną.

I dodaje: – Nie zapominajmy, że wojna na Ukrainie trwa już osiem lat. Mamy instrukcje, jak zachować się w przypadku zagrożenia i postępujemy zgodnie z nimi.

Ukraina prosi o pomoc...

Jak jednak w czasie walk – gdy brakuje czasu i zasobów – zabezpieczać muzea? Takie pytanie zadał Fedir Androszczuk, szef Narodowego Muzeum Historii Ukrainy, w poruszającym liście do Joakima Malmströma, dyrektora generalnego szwedzkiej Narodowej Rady Dziedzictwa. Jak „zmuszać pracowników do pracy w takich okolicznościach. Wielu ucieka wraz z rodzinami. Ale jestem – pisał dalej Androszczuk – bardzo dumny z moich kolegów. Wielu z nich przyszło do muzeum i pomogło w demontażu stałej ekspozycji, pakowaniu przedmiotów

i umieszczeniu ich w piwnicy”. I dodał: „Potem dwóch archeologów i dwóch historyków, moich młodych kolegów, poszło prosto na front”.

Tym bardziej potrzebna jest międzynarodowa pomoc. Lilija Onyszczenko, dyrektorka Zarządu Ochrony Środowiska Historycznego Lwowa, zaapelowała do wszystkich polskich instytucji, które mogą udzielić wsparcia w zabezpieczeniu materialnego dziedzictwa tego miasta. Opublikowano list Ihora Chomyna, głównego inwentaryzatora Lwowskiej Galerii Sztuki, w którym prosi on o pomoc poprzez przekazanie sprzętu i materiałów, których obecnie brakuje, a są niezbędne w zabezpieczeniu zabytków w czas wojny.

...a Polska odpowiada

Powołano już Komitet Pomocy Muzeom Ukrainy, w którym znaleźli się przedstawiciele muzeów z całej Polski, m.in. Zamku Królewskiego w Warszawie, Pałacu w Wilanowie, Łazienek Królewskich, stołecznego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Auschwitz-Birkenau, wrocławskiego Ossolineum, Muzeum Wojska w Białymstoku i Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Komitet ma nieść pomoc w ochronie zabytków i zabezpieczaniu zbiorów, a także dać wsparcie w ich dokumentacji, digitalizacji i inwentaryzacji.

W stałym kontakcie są też polskie i ukraińskie instytucje zajmujące się dziedzictwem. Na miejscu we Lwowie działają przedstawiciele Instytutu Polonika, zajmującego się polskim dziedzictwem poza granicami kraju.

W odpowiedzi na apel Lwowa Fundacja Dziedzictwa Kulturowego zorganizowała w Polsce – we współpracy z miejskimi i wojewódzkimi konserwatorami zabytków – wielką zbiórkę materiałów i sprzętu potrzebnego do zabezpieczenia zbiorów. W kilka dni zebrano 1600 gaśnic i 220 rolek wełny mineralnej. Trudniejsze okazało się zdobycie tkanin niepalnych i koców gaśniczych, ale udało się pozyskać środki prywatne i publiczne na ich zakup.

Wszystkie potrzeby, jak podkreśla prezes Fundacji Michał Laszczkowski, są koordynowane z Zarządem Ochrony Środowiska Historycznego Lwowa, bo oni na miejscu najlepiej wiedzą, jakie są potrzeby. Tylko w ten sposób można efektywnie pomagać – dodaje Laszczkowski. W miniony czwartek, 10 marca, wyruszył pierwszy transport. Fundacja Dziedzictwa Kulturowego przygotowuje też wsparcie dla Krzemieńca i Łucka.

Z każdym dniem coraz więcej instytucji i środowisk deklaruje swoją pomoc, jak bowiem podkreślają inicjatorzy Komitetu Pomocy Muzeom Ukrainy: walka o zachowanie jej dziedzictwa kulturalnego i narodowego jest naszą wspólną sprawą.

Cel: wymazać pamięć

Wobec ludzkich tragedii, jakie rozgrywają się w Kijowie, Mariupolu czy Summach, los archiwów, muzeów, bibliotek i zabytków schodzi na plan dalszy. Jednak, jak w oświadczeniu wydanym po rosyjskiej inwazji podkreślił James Cuno – były dyrektor Art Institute w Chicago, a dziś prezes J. Paul Getty Trust (jednej z najbardziej wpływowych instytucji muzealnych na świecie) – ataki na dziedzictwo kulturowe „zbyt często także są celem wojen, kolejnym sposobem na zniszczenie i podbicie społeczeństwa przez wymazanie jego pamięci”.

Dlatego trzeba o tym głośno mówić i przypominać, że takie działania są pogwałceniem prawa międzynarodowego. Zgodnie z konwencją haską o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego są one uznawane za zbrodnię wojenną.

© PIOTR KOSIEWSKI



ANNETTE RIEDL / DPA / AFP / EAST NEWS

Ambasador Ukrainy w Niemczech Andrej Melnyk pokazuje w parlamencie w Berlinie zdjęcia ofiar wojny. 10 marca 2022 r.

Niemiecka polityka musi się zmienić

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Berlin długo – za długo – stawiał na dialog z Moskwą. Dziś niemieccy politycy, choć nie wszyscy, biją się w piersi. Natomiast zwykli Niemcy zapraszają Ukraińców do swoich domów.

ANDRIJ MELNYK TO OSTATNIO JEDNA z najbardziej rozpoznawalnych osób w Berlinie. Tuż niemieckiej polityki stają w kolejce, by zrobić sobie z nim zdjęcie na tle ukraińskiej flagi i zapewnić w mediach społecznościowych o solidarności z Ukrainą. Od rana do wieczora Melnyk udziela wywiadów i przyjmuje gości w budynku przy Albrechtstraße 26. Tu mieści się ukraińska ambasada.

Ambasadorem jest od 2014 r. W wypowiedziach dla mediów nie zachowuje się jak dyplomata: mówi ostrym językiem, bezpośrednim. Nie zostawia suchej nitki na niemieckich politykach: całej klasie politycznej zarzuca zarożumiałość i opieszałość. Jako przykład podaje nieszczerne pięć tysięcy hełmów, które przed rosyjską inwazją minister obrony Christine Lambrecht przekazała Ukrainie. Nie dość, że

gest przyjęto w Kijowie z irytacją – Ukraina prosiła o znaczną ilość broni defensywnej – to przekazanie hełmów ciągnęło się tygodniami.

Z kolei w ostatnim tygodniu, gdy kanclerz Olaf Scholz odmówił prezydentowi Ukrainy Wołodomyrowi Zełenskiemu wstrzymania importu do Niemiec rosyjskich surowców, Melnyk porównał dialog z kanclerzem do „rozmowy ze ścianą”.

Ten absolutny brak zaufania wobec niemieckich partnerów dominuje w Ukrainie, ale także w Polsce i krajach bałtyckich. Po tym, jak Rosja zaczęła inwazję, Niemcy muszą wysłuchiwać oskarżeń, że swoją ugodową polityką i swoimi pieniędzmi płaconymi za surowce tuczyli Putina i wręcz umożliwili mu przygotowanie się do wojny, w tym modernizację armii.

„Albo Niemcy staną się wiodącym narodem wspierającym Ukrainę i walczącym z rosyjskim złem, albo zaciągną nowy dług historyczny za utracone ludzkie życia i za zniszczone miasta” – stwierdził w artykule dla dziennika „Die Welt” przełożony Melnyka, szef ukraińskiej dyplomacji Dmytro Kułeba.

Przełom Scholza

Tekst ministra Kułeby, w którym domaga się większej pomocy od Niemiec, ukazał się w ubiegłym tygodniu – już po tym, jak kanclerz w niedzielę 27 lutego wygłosił w Bundestagu przemówienie, przez wielu w Niemczech uznane za historyczne.

Ze względu na rosyjską inwazję Scholz zgodził się na dostarczenie Ukrainie broni (ręcznych wyrzutni rakiet przeciwpancernych i przeciwlotniczych) i wsparł unijne sankcje, które uderzają w rosyjską gospodarkę i prowadzą do exodusu zagranicznego kapitału z tego kraju. W przerwanej często oklaskami 30-minutowej mowie socjaldemokrata Scholz zapowiedział też budowę dwóch terminali gazu LNG, by zerwać z uzależnieniem od rosyjskich źródeł energii. Oświadczył również, że w tym roku Bundeswehra otrzyma potężny zastrzyk funduszy – 100 mld euro. Zadeklarował, że Niemcy będą odtąd przeznaczać 2 proc. PKB na obronność, czyli tyle, ile wynika z NATO-wskich zobowiązań.

Te wszystkie decyzje – racjonalne, a w obecnej sytuacji wręcz niezbędne – to jednak dla wielu Niemców rewolucja i zerwanie z dogmatami, które towarzyszą temu społeczeństwu w jego powojennej historii.

– Ludzie spoza Niemiec powinni zrozumieć, że dla tego kraju to są historyczne zmiany – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” poseł Zielonych Robin Wagnier, świeżo upieczony przewodniczący niemiecko-ukraińskiej grupy parlamentarnej. – Nie tylko dla naszej partii, ale dla całego społeczeństwa pacyfizm był pewnym fundamentem. Ale widzę w społeczeństwie duże poparcie dla obecnie podejmowanych kroków.

Podobnie nastroje w kraju ocenia Nils Schmid, poseł SPD, który odpowiada w partii za sprawy zagraniczne. – W ostat-

nich dekadach wszystko kojarzące się z wojskiem starano się usunąć z niemieckiej debaty. W relacjach międzynarodowych liczyła się ekonomia, rola społeczeństwa obywatelskiego i prawa międzynarodowego. Argumentów militarnych właściwie nie można było używać – mówi Schmid w rozmowie z „Tygodnikiem”. Dodaje, że w Niemczech stanowczo za mało mówiło się o roli Bundeswehry i NATO. – To ma oczywiste wytłumaczenie w niemieckiej historii. Teraz czas na nadrobienie straconego czasu i korektę kursu – twierdzi poseł SPD.

Spóźniona samokrytyka

Dziś w wielu miejscach politycznego Berlina słychać głośne bicie się w piersi. Również nasi rozmówcy nie stronią od wyliczania własnych błędów.

– To był błąd Angeli Merkel, ale i całego rządu, że tak długo nazywano Nord Stream 2 projektem tylko komercyjnym. Rząd Scholza już to skorygował – przekonuje Nils Schmid.

Faktycznie: nagle wszyscy w Niemczech jakby doznali oświecenia i zaczęli dostrzegać polityczny wymiar tego projektu. Jednak Schmid, przedstawiciel obozu rządzącego, przestrzega przed koncentrowaniem się tylko na zaniechaniach w sprawie Nord Stream 2.

– Nawet wcześniejsze zastopowanie tego projektu nie zatrzymałoby wojny – uważa. – Widzimy przecież, że Putin ma obsesję na punkcie Ukrainy, i że nie liczy się już ze stratami ekonomicznymi.

Schmid przedstawia nowe credo niemieckiej polityki wobec Kremla: – Rosja stała się agresorem. Normalne stosunki przestały być możliwe. Politycznie musimy doprowadzić do izolacji Rosji. Trzeba dalej wzmacniać NATO – mówi to krótkimi żołnierskimi zdaniem. – To przełom dla całej Europy. I niemiecka polityka musi się zmienić. Dialog z Rosją zostanie osłabiony i trzeba będzie postawić na odstraszenie. Zostawimy tylko niezbędne kanały dyplomatyczne z Moskwą, bo jakiegóż rodzaju dialog będzie zawsze potrzebny.

Berlin blokował i blokował

Do tej pory SPD była główną siłą w niemieckiej polityce, która nawoływała do utrzymywania za wszelką cenę dialogu z Moskwą. Krótko po ataku Rosji na Ukrainę w 2008 r. Niemcy zaczęły promować na arenie unijnej program Partnerstwa

dla Modernizacji, który miał zbliżać Rosję do standardów europejskich, głównie poprzez coraz silniejsze kontakty handlowe. Promotorem tego programu był Frank-Walter Steinmeier z SPD – wtedy szef dyplomacji, dziś prezydent.

Nawet aneksja Krymu i wojna w Donbasie nie zmniejszyły znacząco niemieckiego entuzjazmu do prowadzenia rozmów i biznesów z Kremlem. Berlin zgodził się na przyjęcie wspólnych sankcji na poziomie unijnym, ale równocześnie blokował każde mocniejsze uderzenie w reżim Putina, które systematycznie sugerowały państwa naszego regionu.

Schmid broni tego obstawiania przy dyplomacji, ale zaraz dodaje: – Nie spodziewaliśmy się, że Putin tak bezwzględnie i brutalnie zaatakuje Ukrainę. Ostre i pozbawione złudzeń stanowisko Polski i regionu Europy Środkowo-Wschodniej wobec Rosji okazało się słuszne, niemieckie podchody poniosły druzgocącą porażkę. Wojna, którą Rosja prowadzi przeciw Ukrainie, stawia w nowym świetle politykę Angeli Merkel. Możliwe, że jej dorobek trzeba będzie poddać ponownej ocenie.

Żółwie tempo

Przy wszystkich zmianach w politycznej świadomości, jakie zaszły w ostatnich trzech tygodniach, jedno w niemieckiej polityce pozostaje niezmiennie. Podjęcie każdej decyzji zajmuje mnóstwo czasu. Taka jest tu kultura polityczna, która stawia na ciągłe się konsultacje i snucie długoterminowych planów. Spontaniczne reagowanie na kryzysy nie należy do mocnych stron Berlina. Robin Wagner z Zielonych podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem”, że rząd rozpatruje działania we wszystkich możliwych obszarach: – Dalsze dostawy broni są oczywiście też brane pod uwagę.

Obecnie najmocniej dyskutowanym krokiem za Odrą jest wprowadzenie embarga na rosyjskie surowce. W chwili pisanie tego tekstu zarówno kanclerz Scholz, jak i wicekanclerz oraz minister gospodarki Robert Habeck (z partii Zielonych) byli przeciwni takiemu rozwiązaniu.

– Na pewno niczego nie możemy wykluczać – mówi nam Wagner. – Jednocześnie naszym obowiązkiem jest uwzględnienie, jakie następstwa miałyby takie embarga dla naszej gospodarki i społeczeństwa – dodaje i przekonuje, że raz wprowadzone sankcje i ich skutki zostaną

z nami na lata. – Wpędzimy się w wielkie problemy, jeśli za parę miesięcy nie będziemy w stanie utrzymać własnych postanowień. Trzeba natomiast zakładać, że walka o wolność Ukrainy będzie miała także dla nas wysoką cenę – podkreśla.

Czy Niemcy żołnierze ruszą do walki, jeśli Putin nie zatrzyma się na Ukrainie i trzeba będzie bronić sojuszników z NATO? – Tak, oczywiście – odpowiada bez zastanowienia Schmid. Takiej samej odpowiedzi udziela Wagner: – Niemcy były i są godnym zaufania członkiem NATO. Jesteśmy absolutnie zdecydowani do brania odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy – zapewnia.

Marznąć dla pokoju

Niemiecka polityka zmienia się więc, ale na niemiecki sposób: ociężale i w każdej sprawie kalkulując bilans zysków i strat.

O wiele bardziej stanowczo tragedię osamotnionej militarnie Ukrainy oceniają zwykli Niemcy. – Teraz jesteśmy wstrząśnięci i zrozpaczeni, ale prawda jest taka, że to niemieckie zabiegi o względy Putina i Rosji z pewnością przyczyniły się do tej katastrofy – mówi „Tygodnikowi” Felicitas Langowski. Mieszkanka Norymbergii przed rokiem przeszła na emeryturę, na której postanowiła przypomnieć sobie grę na pianinie. Traf chciał, że jej nauczycielem został Ukrainiec. Po rosyjskiej inwazji skontaktował się z nią i zapytał, czy znajdzie miejsce dla uchodźców z Ukrainy. Felicitas wraz z mężem przyjęły dwie kobiety z trójką dzieci. Ich mężowie zostali w kraju, walczą z rosyjskim wrogiem.

Niemiecka para komunikuje się z nowymi domownikami głównie za pomocą internetowego translatora. Opis nowej codzienności miesza się z politycznymi przemyśleniami. – Jak się przymyka oczy na prawa człowieka ze względu na interesy ekonomiczne, to w końcu dostaje się taki rachunek – uważa Langowski.

16-letnia Anna poprosiła nowych gospodarzy o farby i namalowała idylliczny krajobraz pełen kwiatów. – Oni musieli spakować się w 20 minut. Teraz są w obcym kraju. Jak można malować tak piękny obraz w tak beznadziejnej sytuacji... – nasza rozmówczyni jest wyraźnie wzruszona.

W niemieckim społeczeństwie coraz głośniejszym przebiega się postulat, aby „marznąć dla pokoju”: odciąć się od rosyjskich surowców, że świadomością, że skutki tej decyzji mogą być poważne. ©

Walka z gigantem

MARTA ZDZIEBORSKA

Amazon ma powody do nerwowości – w Stanach Zjednoczonych pracownicy trzech magazynów walczą o utworzenie pierwszego związku zawodowego. A to może być dopiero początek zmian.

REYN MCGUIRE NIE POTRAFI UKRYĆ Rgniewu. Wzburzona opowiada dziennikarzom podczas konferencji prasowej, jak w trakcie 12-godzinnego dnia pracy przysługuje jej zaledwie pół godziny płatnej przerwy. Drugie pół może wykorzystać na własne życzenie, ale wówczas nikt nie zapłaci jej za to ani dolara. Reyn bierze, co dają, bo tylko w czasie wolnym może zadzwonić do swoich dzieci i zjeść w biegu byle jaki posiłek.

Ta Afroamerykanka, zatrudniona jako pakowaczka w magazynie Amazona, ma jeszcze siłę, by funkcjonować w takim trybie. Nie zasypia przy jedzeniu jak niektórzy pracownicy i nie ślania się na nogach w damskiej toalecie. Być może dlatego chce jej się walczyć.

„Głosuj na nie”

Reyn McGuire to pracownica magazynu w 27-tysięcznym Bessemer w stanie Alabama, zaangażowana w starania o utworzenie pierwszego związku zawodowego w amerykańskim Amazonie. Walka w tej sprawie trwa już od wiosny 2021 r., gdy w pierwszym nieudanym referendum prozwiązkowi aktywiści ponieśli sromotną porażkę (71 proc. opowiedziało się przeciwko utworzeniu związku). Powtórka głosowania, którego wynik poznamy już pod koniec marca, jest możliwa, gdyż federalna agencja zajmująca się przestrzeganiem prawa pracy uznała, że Amazon nieuczciwie ingerował w proces wyborczy.

Największe kontrowersje wzbudziło umiejscowienie urny do głosowania tuż przy wejściu do magazynu, pod okiem czujnych kamer, co mogło być odczytywane jako forma nacisku, by pracownicy głosowali przeciwko związkowi. W całym magazynie roїło się również od plakatów z hasłami „Głosuj na nie”, pracownikom rozdawano ulotki, męczono ich esemesami i zmuszano do uczestnictwa w szkoleniach, podczas

których sówicie opłacani konsultanci przekonywali, że utworzenie związku doprowadzi do utraty świadczeń i obniżenia pensji.

Aktywiści z Bessemer alarmują, że i tym razem, przy okazji powtórki referendum, Amazon dopuszcza się nadużyć. Zarzucają koncernowi, że po raz kolejny zmuszani są do uczestnictwa w antyzwiązkowych szkoleniach, mają ograniczony dostęp do hali przed i po skończonej zmianie, a z pokoi socjalnych usuwane są ulotki zachęcające do głosowania za utworzeniem związku. Jak pisze „New York Times”, jeden z pracowników, Isaiah Thomas, otrzymał od kierownictwa list, w którym napisano, że złamał przepisy wewnętrzne firmy, bo podczas przerwy rozmawiał ze współpracownikami na temat utworzenia związku.

Muszę do toalety

Aktywiści z magazynu Amazona, który zatrudnia ponad 6 tys. osób, domagają się lepszych warunków pracy i mniej drobiazgowego kontrolowania ich produktywności.

Jedna z pracownic magazynu, Jennifer Bates opowiada „Tygodnikowi”, że jej praca jest ściśle monitorowana: – Jeśli wychwycą, że akurat nie skanujesz paczek, mogą uznać, że się obijas i zasługujesz na nagane. Zdarzało się, że niektórzy byli z tego powodu zwalniani – twierdzi Bates, dodając, że w strachu przed nieprzyjemnościami ogranicza nawet wizyty w toalecie.

– Boję się, że przez te kilka minut przerwy nie wyrobię dziennej normy. Ograniczyłam nawet picie wody, żeby nie było ryzyka, że muszę nagle iść do toalety – wyznaje 49-letnia Jennifer. Skarży się również na to, że w czteropiętrowym magazynie pracownicy mają zakaz korzystania z wind, przez co każdego dnia muszą kursować z dołu na górę po schodach. Kobieta twierdzi, że przez przemieszczanie

się po hali wielkości czternastu boisk do piłki nożnej bolą ją kolana i puchną nogi.

Doniesienia o trudnych warunkach pracy napływają także od pracowników Amazona na Staten Island w Nowym Jorku. Jak wynika ze śledztwa „New York Timesa”, zatrudnieni tutaj skarżą się na zmiany w grafiku z dnia na dzień i ciągłą ewaluację opartą na tym, jak często robili sobie krótką przerwę od żmudnego skanowania produktów i pakowania paczek. Zgłaszanym problemem jest również kiepski przepływ informacji i utrudniony kontakt z działem kadr, do którego można dodzwonić się jedynie za pośrednictwem infolinii. „New York Times” opisywał przypadek 42-letniego Alberta Castilla, który w wyniku covidu miał bardzo poważne problemy ze zdrowiem i przez długie tygodnie nie pojawiał się w magazynie. Choć jego żona informowała o tym na bieżąco dział kadr, chory mężczyzna dostał po pewnym czasie e-mail z niezwłocznym wezwaniem do pracy.

W związku z nieprawidłowościami w czasie pandemii kierownictwo Amazona zostało w ubiegłym roku pozwane przez prokuratora generalną stanu Nowy Jork Letitię James. Zarzuciła firmie, że gdy w magazynie doszło do fali zakażeń, nie zadbano o wentylację pomieszczeń i zachowanie odpowiedniego dystansu między pracownikami. O tym, że dla Amazona liczy się przede wszystkim zysk, świadczy również tragiczny wypadek z grudnia zeszłego roku, gdy w wyniku uderzenia tornada zginęło sześciu pracowników magazynu w Illinois. Do incydentu zapewne by nie doszło, gdyby kierownictwo zawczasu zarządziło ewakuację.

Aktor pakuje paczkę

Choć warunki pracy dla giganta e-handlu pozostawiają wiele do życzenia, dla wielu magnesem mogą być dość wysokie zarobki. W magazynie na Staten Island średnia płaca wynosi 18 dolarów za godzinę, co sprawia, że w początkach pandemii pracowali tam bezrobotni nowojorscy aktorzy, tancerze i barmani. Dobrze płaci również magazyn w Bessemer w Alabamie, gdzie średnia stawka to 16 dolarów za godzinę, czyli ponad dwa razy więcej, niż wynosi w tym stanie płaca minimalna.

To sprawia, że niektórzy pracownicy podchodzą sceptycznie do postu-



ELIJAH NOUVELAG / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Protest związku zawodowego RWDSU przed magazynem Amazona. Bessemer, Alabama, USA. 7 lutego 2021 r.

latu utworzenia związku zawodowego. Dziennik „Washington Post” opisuje historię 37-letniej Ashlee Payne z Bessemer. Kobieta zamierza głosować na „nie”, bo nie widzi potrzeby reprezentacji swoich interesów, skoro jest zadowolona z oferowanych jej warunków – przy pakowaniu paczek w magazynie Amazona zarabia o 5 dolarów za godzinę więcej niż jako menedżerka w supermarkecie. Praca dla giganta e-handlu jest wciąż uznawana za jedną z najlepszych opcji w mieście, gdzie ponad jedna czwarta mieszkańców żyje poniżej granicy ubóstwa, a średni dochód przeciętnej rodziny wynosi zaledwie 32 tys. dolarów rocznie. I choć wielu rozmówców „New York Timesa” narzeka na zautomatyzowany system pracy i wszechobecny monitoring, to jednak ceni sobie dobre zarobki, dofinansowanie do studiów i zagwarantowane ubezpieczenie zdrowotne. To ostatnie w USA jest na wagę złota. Dziennik „Washington Post” przedstawia przypadek Carli Johnson, która sprzeciwia się utworzeniu związku, bo Amazon pomógł jej w opłaceniu leczenia guza mózgu. Bez polisy zdrowotnej kobieta za same leki płaciłaby 3 tys. dolarów miesięcznie.

Jak pokazało ubiegłoroczne referendum, sprawa utworzenia związku nie spotkała się z dużym zainteresowaniem – udział wzięła zaledwie połowa uprawnionych do głosowania. W tym roku aktywiści postawili na bardziej agresywną kampanię: noszą w pracy koszulki z hasłami poparcia dla związku, odwiedzają pracowników w domach i organizują pogadanki. Dla wielu będzie to dopiero pierwsze głosowanie – w magazynie Amazona występuje duża rotacja pracowników i prawie połowa personelu jest nowa. Jeśli zatrudnieni zgłoszą ostatecznie na „tak”, w Bessemer powstanie lokalna komórka ogólnokrajowego związku zawodowego RWDSU – Retail, Wholesale and Department Store Union.

Wielka rezygnacja

W ostatnich miesiącach burzliwie jest nie tylko w Alabamie. Przeprowadzenie referendum związkowego planują pracownicy dwóch magazynów Amazona na Staten Island – w jednym z nich głosowanie odbędzie się już pod koniec marca. Od gniewu kipi także w Waszyngtonie oraz stanach Nowy Jork i New Jer-

sey, gdzie członkowie nieformalnego związku Amazonians United zażądali od kierownictwa podwyżek, możliwości korzystania z telefonów komórkowych w czasie pracy oraz większej ochrony przed zwolnieniami. Serwis „Business Insider” donosi z kolei o próbach utworzenia związku przez pracowników sklepu spożywczego Amazona w Seattle. Domagają się oni podwyżek, dłuższych przerw w pracy i zapewnienia miejsc do siedzenia kasjerom.

Frustracja pracowników Amazona zbiega się ze „związkową” falą, jaka przetacza się przez Amerykę. W grudniu 2021 r. głośno było o utworzeniu pierwszego związku zawodowego w sieci kawiarnianej Starbucks. W ślady pracowników baru w Buffalo w stanie Nowy Jork chcą teraz iść co najmniej 54 inne placówki tej sieci. Nie wszystkim wyszło to na dobre: m.in. siedmiu pracowników z Tennessee dostało już wypowiedzenia, choć kierownictwo zarzeka się, że chodziło o „poważne naruszenia dotyczące procedur bezpieczeństwa”.

Nerwowo robi się również w popularnej sieci sklepów Target. Na początku lutego do amerykańskich mediów trafił →



Jennifer Bates, pracownica Amazona, działaczka związku zawodowego RWDSU.

→ wewnętrzny mail, w którym kierownictwo instruowało menedżerów, by zawczasu wychwytywali wszelkie prozwiązkowe inicjatywy. W wytycznych dla kadry zarządzającej przedstawiono związki zawodowe jako generujące dodatkowe koszty oraz konflikty między menedżerami i zatrudnionym personelem. Stworzono nawet listę „nietypowych zachowań”, jak dystrybucja prozwiązkowych ulotek na przysklepowym parkingu czy przypadki zaginięcia dokumentów wewnętrznych firmy, np. listy płac albo grafików.

Amerykańskie koncerny muszą zdziżyć się z nową rzeczywistością, w której pracownicy coraz odważniej walczą o swoje prawa. W 2021 r. doszło do dużych protestów w szpitalach należących do grupy Kaiser Permanente, na nowojorskim Uniwersytecie Columbia oraz w fabrykach koncernów takich jak Kellogg's, Nabisco czy John Deere. Pracownicy domagali się podwyżek, płatnego urlopu chorobowego i skrócenia czasu pracy wynoszącego nawet 70 godzin tygodniowo.

Gniew Amerykanów dodatkowo napędza zjawisko nazywane „wielką rezygnacją”. Wypaleni zawodowo, zmęczeni pandemią i niskimi zarobkami amerykańscy pracownicy rzucają etat w rekordowej skali – od kwietnia 2021 r. co miesiąc z pracy rezygnuje średnio ponad 4 mln osób. Amerykanom łatwiej teraz trzasnąć drzwiami, bo w odbudowującej się gospodarce – mimo trwającej cały czas pandemii – stopa bezrobocia wynosi 3,8 proc., a na chętnych czeka niemal 11 mln wakatów. Wszystko to sprawia, że pracodawcy jak nigdy zabijają się o zrekrutowanie nowych ludzi, kusząc ich wyższymi stawkami i bonusami.

Jak wynika z danych amerykańskiego Biura Statystyki Pracy (BLS), w czasie pandemii podwyżki zaoferowała prawie jedna czwarta firm, w tym najwięksi giganci handlu: Walmart, Target i Costco. Można powiedzieć, że zjawisko „wielkiej rezygnacji” zdziało dla przeciętnego Amerykanina więcej niż waszyngtoński politycy, od lat niepotrafiący dogadać się w sprawie podwyższenia federalnej płacy minimalnej.

Zbudujemy lepszą Amerykę

Teraz, gdy rosną nadzieje na utworzenie pierwszego związku zawodowego w amerykańskim Amazonie, aktywiści liczą, że będzie to pierwszy krok do szerszych zmian w zakładach pracy. Podczas gdy jeszcze 50 lat temu jedna trzecia amerykańskiej siły roboczej należała do związków, dziś jest to zaledwie 11 proc. To nie tylko efekt spadku zatrudnienia w przemyśle, ale także pokłosie polityki amerykańskich firm i zmian demograficznych (imigranci pracownicy mniej chętnie się zrzeszają). Jak wynika z badań Economic Policy Institute z 2019 r., 42 proc. pracodawców naruszyło federalne prawo pracy, ingerując w kampanie na rzecz uzwiązkowania. Na dławienie tego rodzaju oddolnych ruchów w ciągu roku firmy wydały około 340 mln dolarów. To sprawia, że amerykańscy działacze od lat apelują, by rząd federalny zaostrzył kary dla przedsiębiorców łamiących prawo pracy. W tej kwestii podczas marcowego orędzia o stanie państwa wypowiedział się Joe Biden, zagrzewając kongresmenów do przegłosowania stosownych przepisów. „Gdy większość pracowników chce stworzyć związek zawodowy, to nie powinno się im tego utrudniać. Gdy inwestujemy w naszych ludzi i razem budujemy gospodarkę, możemy osiągnąć wspólny cel: zbudować lepszą Amerykę” – powiedział prezydent.

Jak na razie na budowaniu skupieni są najbogatsi Amerykanie. Jak wynika z zeszłorocznego zestawienia „Forbesa”, od początku pandemii majątek 400 superbogaczy wzrósł aż o 40 proc. W tym gronie znalazł się założyciel Amazona Jeff Bezos, który ze swoją fortuną wartą ponad 165 mld dolarów jest drugim najbogatszym człowiekiem na świecie. Tylko w 2021 r. jego fortuna wzrosła o 5 mld dolarów.

Takie informacje tylko podkreślają gniew prozwiązkowych działaczy w Bessemer. Podczas lutowego wiecu jeden z aktywistów, Dale Wyatt, grzmiał ze sceny nieopodal magazynu Amazona: „To potworność, że my, pracownicy, generujemy 99 procent zysków, a mamy udział w zaledwie 1 procencie. Przyszedł czas, by klasa pracująca sprzeciwiła się bogaczom, nie tylko w swoim interesie, ale także interesie przyszłych pokoleń”. Pytanie, co zwycięży podczas referendum związkowego: podsyć gniewem idealizm czy strach przed utratą pracy.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Danuta Pędzińska

5 XII 1930 – 13 II 2022

Współzałożycielka i przez 40 lat wolontariuszka
Katolickiego Telefonu Zaufania w Poznaniu

PRZYJACIELE I DAWNI WSPÓŁPRACOWNICY Z TELEFONU



Polska Misja
Medyczna



SOS UKRAINA

**Apelujemy o solidarność
z Ukrainą i wsparcie
pilnej pomocy medycznej!**

pmm.org.pl/chce-pomoc#ukraina

**Pomóż wpłacając na konto:
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444 z dopiskiem „Ukraina”**

dziękujemy, Polska Misja Medyczna

SŁOŃ NA HAJU

Wiele opowieści
przyrodniczych mówi
o zwierzętach
znajdujących się
pod wpływem substancji
psychoaktywnych.
Na ile jednak aktywnie
poszukują ich one
w środowisku?

MARTA ALICJA TRZECIAK

RELACJA CZŁOWIEKA Z SUBSTANCJAMI psychoaktywnymi ma długą historię, dotyczy niemal wszystkich kręgów kulturowych i obejmuje zarówno depresanty (opioidy, etanol), stymulanty (kokaina), jak i psychodeliki czy halucynogeny (kannabinoidy, psylocybina). Dysponujemy dowodami na to, że ludzie spożywają alkohol od co najmniej 12 tys. lat. Równie dawno udomowiliśmy rośliny z rodzaju konopi. Mamy również podstawy, by sądzić, że nawet bardzo wcześnie myśliwi-zbieracze żyli w ścisłej relacji z roślinami i grzybami psychoaktywnymi, ponieważ współcześni rdzenni mieszkańcy Australii, Afryki Południowej czy

Amazonii znają je i z nich korzystają. Skoro więc stosowanie substancji zmieniających percepcję jest tak powszechne i głęboko zakorzenione w historii ludzkości, to czy inne gatunki również odkryły pozaspożywcze działanie roślin, grzybów i toksyn zwierzęcych?

Mrówkowanie

Obserwacje etologiczne potwierdzają, że zwierzęta potrafią korzystać z niektórych substancji aktywnych znajdujących się w ich środowisku. Wydaje się jednak, że najczęściej czynią to w celach leczniczych, a nie po to, by zapewnić sobie rozrywkę. Najbardziej chyba znanym przykładem

korzystania z „apteki przyrody” jest kąpiel mrówkowa, zwana również „mrówkowaniem”. Zwierzę – zwykle ptak – celowo siada na mrowisku i pozwala owadom kąsać swoje ciało. Część zwierząt już w czasie zażywania takiej kąpieli posila się mrówkami wprost z piór. Dlaczego ptaki zachowują się w ten sposób? Najczęściej przyjmowane wyjaśnienie głosi, że kąpiele mrówkowe mają pomóc w pozbyciu się wszy i innych pasożytów skóry oraz piór. Nie ma jednak pewności, czy wszystkie ptaki kierują się tą właśnie motywacją.

Część mieszkańców mrowisk, w których kąpiele odbywają ptaki, nie wydziela bowiem kwasu mrówkowego,





GREG DU TOIT / FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGES

Ślonie gustują w owocach z drzewa marula, używanych do produkcji alkoholu, ale wolą świeże owoce od sfermentowanych. Botswana, 2017 r.

lecz oleiste substancje zawierające iry-doidy czy ketony. Możliwe więc, że kąpiele mrówkowe mogą służyć dwóm innym celom: doznaniu ulgi oraz przygotowaniu pokarmu. Jak podaje w swojej publikacji z 2016 r. Paul Hendricks – ornitolog z Uniwersytetu Montana, przyjemność czerpana przez ptaki w czasie kąpiele mrówkowych ma wynikać z lekko drażniącego oddziaływania na skórę substancji wydzielanych przez mrówki i nie musi mieć związku z pasożytami. Autor argumentuje, iż ptaki najczęściej siadają na mrowiskach w czasie pierzenia, kiedy – jak się uważa – ich skóra jest swędząca, dlatego uczucie szczypania czy pieczenia

może być dla nich kojące. Inna koncepcja, tzw. hipoteza przygotowania posiłku, głosi, że ptaki pozwalają mrówkom wejść na swoje ciała, ponieważ wtedy owady zużywają swoją broń chemiczną na skórze intruzów, a przez to stają się łatwiejsze do spożycia i mniej podrażniają układ pokarmowy. Mamy dowody na to, że w ten sposób działają modrosójki błękitne.

Powyższy przykład pokazuje, że nawet najsilniej ugruntowane w wiedzy powszechnej zachowania zwierząt mogą mieć inne funkcje, niż przyjęło się sądzić. To ilustruje, jak mylne może być przekonanie o motywach działań zwierząt dążących do rzekomego uzyskania efektu

psychoaktywnego. Dobrym przykładem jest zachowanie jaguarów, które stały się obiektem wielu anegdotycznych historii dotyczących stosowania halucynogenów w świecie przyrody. Przekonanie to ugruntowało się po 2008 r., kiedy to ukazała się seria filmów BBC „Peculiar Potions” („Osobliwe mikstury”), z których jeden przedstawiał kilkuminutowe nagranie jaguara spożywającego liście pnączy z gatunku *Banisteriopsis caapi*. Po zjedzeniu rośliny kot ma rzekomo doświadczać halucynacji – tak jak faktycznie doświadczały ich ludzie spożywający tradycyjny wywar psychoaktywny o nazwie ayahuasca, w którym pnącze owo jest →

→ jednym ze składników. Nie sposób jednak sprawdzić, czy kot rzeczywiście doznaje halucynacji (głównym składnikiem halucynogennym ayahuaski jest inna roślina), a nawet jeśli się tak dzieje, to czy efekt psychoaktywny był rzeczywiście tym skutkiem, do którego dążyło zwierzę. Owszem, kot, którego uchwyciono na nagraniach, zachowuje się przez chwilę nietypowo (kładzie się na ziemi), ale nie ma pewności, czy robi to, ponieważ jest młodym osobnikiem, chcącym się bawić, czy źle się czuje i dlatego spożył roślinę o działaniu silnie wymiotnym. Być może ma mu ona pomóc w uwolnieniu się od paśmowców układu pokarmowego?

Poniżej siedmiu procent

Wśród zwierząt ponoć znajdujących się „pod wpływem” wymienia się także słonie, które mają się „upijać” sfermentowanymi owocami, oraz koty rzekomo doświadczające halucynacji pod wpływem kocimiętki. Ani jedna, ani druga historia nie ma ugruntowania w literaturze naukowej. Jak podaje Steve Morris w pracy opublikowanej w 2006 r. w „Physiological and Biochemical Zoology”, anegdoty o pijanych słoniach prawdopodobnie biorą swój początek w XIX-wiecznych historiach przyrodników, którzy relacjonowali opowieści rdzennej ludności Zulu podającej, iż słonie dążą do spożywania sfermentowanych owoców z drzewa marula (*Sclerocarya birrea*). Owoce te są chętnie wykorzystywane przez ludzi do wytwarzania win, piw oraz likierów, ze względu na wysoką zawartość cukru. Ale kojarzenie maruli z alkoholami jest typowo antropogeniczne: w sezonie, w którym *S. birrea* wydaje owoce, słonie obalają drzewa i łamią ich gałęzie, by dostać się do świeżych owoców, mimo że te sfermentowane znajdują się wtedy tuż u ich stóp, na ziemi.

Co więcej, ci sami uczeni zebrali dane dotyczące zawartości etanolu w sfermentowanych owocach i oszacowali ilość maruli, jaką musiałyby spożyć słonie, by uzyskać jakikolwiek efekt. Owoce te fermentują zwykle do trzyprocentowej zawartości alkoholu – nie osiągają nawet poziomu przeciętnego piwa. Aby poczuć jakikolwiek efekt etanolu zawartego w sfermentowanych owocach, słonie musiałyby zjeść cztery razy więcej maruli, niż wynosi ich maksymalne, dobowe spożycie.

W omawianej publikacji przedstawiono również inny tok myślenia: maksymalna zawartość alkoholu w pokar-

mie, jaką jest w stanie zaakceptować słonie, wynosi 7 proc. Zwierzę nie będzie chciało spożyć pożywienia zawierającego więcej alkoholu, ponieważ uznaje go za toksyczne. Badacze wyszli więc z założenia, że nawet gdyby owoce maruli zdołały przefermentować do 7 proc. zawartości alkoholu, słonie i tak nie zdołałyby spożyć odpowiedniej ilości, by uzyskać efekt rauszu. Co więcej, owoce, które, leżąc na ziemi, przefermentowałyby do tego poziomu, uległyby najpewniej także procesom gnilnym i pleśniowym. A jako takie byłyby niechętnie spożywane.

Zapach miłości

Również przeświadczenie o rzekomym psychoaktywnym efekcie kocimiętki na koty upada pod naporem naukowej skrupulatności. Przekonanie o tym, iż kotowate doświadczają pod wpływem tej rośliny halucynacji czy zmienionej percepcji, pojawiło się w latach 60. Nie potwierdzają go jednak współczesne prace, takie jak artykuł opublikowany w 2017 r. na łamach „Behavioural Processes” przez Luz Teresę Espín-Iturbe. Dziś uważa się raczej, że składowe zapachu kocimiętki mogą się kojarzyć kotom z feromonami płciowymi i wywołują u nich reakcję podobną do zachowań godowych. To by wyjaśniało dlaczego – jak dowiedli autorzy wspomnianego artykułu – działanie tej rośliny uzależnione jest m.in. od wieku kota, jego płci czy od tego, czy posiada on aktywne gonady, czy też zostały one usunięte na wczesnym etapie rozwoju zwierzęcia.

W kontekście rozważań nad celowym przyjmowaniem substancji psychoaktywnych warto również zwrócić uwagę na inny aspekt. Wprawdzie większość kotów reaguje intensywnie na kocimiętkę, ale nie wydaje się, aby świadomie i intencjonalnie dążyły do uzyskania tego efektu. Wykazano np., że na terenach, na których rośnie kocimiętka, nie stwierdza się większego zagęszczenia kotów czy ich wzmożonej migracji. To sugeruje, iż kot, który przypadkowo napotka tę roślinę, daje się oszukać na jakiś czas, ale zdawszy sobie sprawę z pomyłki, pozostawia kocimiętkę i nie dąży w przyszłości do jej odnalezienia oraz poddania się jej wpływom.

Opisane powyżej przypadki dotyczyły zwierząt, które – wbrew obiegowej opinii – nie zażywały psychoaktywnych substancji. Nie oznacza to jednak, że w świecie przyrody nie można znaleźć „imprezowiczów”.

Wysoka tolerancja

Laur za największą wytrzymałość na alkohol wśród kręgowców należy się ogonopiórom uszatym, niewielkim ssakom z rzędu wiewióreczników, żyjących w południowo-wschodniej Azji. W 2008 r. w czasopiśmie „PNAS” niemiecki zoolog Frank Wiens stwierdził, że ogonopióry są jedynymi znanymi kręgowcami, które codziennie spożywają napój alkoholowy, a co więcej – traktują go jako podstawę swojej diety. Te nieduże, nocne ssaki każdej doby wypijają nektar eugejony (palmy z rodziny arekowatych), który zawiera około 3,8 proc. alkoholu, co czyni go odpowiednikiem słabego piwa czy raczej – ze względu na wysoką zawartość cukru – słabej sangrii.

Średnio raz na trzy dni ogonopióry osiągają zawartość etanolu w ustroju wynoszącą 1,4 g tej substancji na kilogram masy ciała. Taka ilość przekracza limit zatrucia u człowieka, a przeciętna kobieta musiałaby wypić dziewięć piw w ciągu 12 godzin, by osiągnąć analogiczny poziom alkoholu w ciele. Jak to się więc dzieje, że ogonopióry są w stanie normalnie funkcjonować pomimo codziennego (!) spożycia etanolu w takich ilościach?

Zwierzęta te nie wykazują objawów intoksykacji alkoholowej – nie mają problemów z równowagą, koordynacją, przemieszczaniem się po gałęziach itp. Wygląda więc na to, że alkohol nie „uderza do głowy” ogonopiórów; nie oznacza to jednak, iż nie krąży w ich ustroju. Na podstawie analizy składu sierści tych małych ssaków naukowcy wykazali, że zawartość glukuronidu etylu (związku będącego wskaźnikiem długotrwałego spożycia etanolu) wynosi 1 ng na mg masy włosa, co stanowi 60-krotność poziomu uznawanego u ludzi za objaw nadmiernej, długotrwałej intoksykacji. Na razie nie wiadomo jeszcze, co sprawia, że ogonopióry są w stanie wytrzymać taką zawartość alkoholu w ciele i funkcjonować normalnie; przypuszcza się jednak, że zwierzęta te metabolizują szkodliwą substancję z zastosowaniem innych szlaków biochemicznych niż większość ssaków. To przystosowanie jest tym ciekawsze, że ogonopióry mogą być najbliższymi żyjącymi krewnymi naczelnymi. Są też bardzo podobne anatomicznie do wspólnego przodka, którego dzielimy z tymi wiewiórecznikami. Być może przodek ten również mógł żywić się pokarmem zawierającym alkohol, co by tłumaczyło, dla-

czego ogonopióry są tak wytrzymałe na działanie etanolu, a naczelnie wykazują relatywnie silną tendencję do spożycia tej substancji.

Ukoić układ nagrody

Ogonopióry nie są jedynymi zwierzętami, dla których etanol jest normalnym, prawidłowym składnikiem diety. Najbardziej znanymi regularnymi konsumentami alkoholu są muszki owocowe, które na co dzień żywią się owocami zawierającymi do 4 proc. alkoholu. Nie oznacza to jednak, że są one – jak ogonopióry – całkowicie obojętne na jego działanie. Jeśli zawartość tej substancji w spożywanych przez muszkę owocach przekroczy wskazany poziom, w jej organizmie dochodzi do uruchomienia szlaków stresu oksydacyjnego oraz do intoksykacji.

Tym ciekawsze wydają się wyniki badań, które w 2012 r. opublikowano w „Science”. Wynika z nich bowiem, że w pewnych sytuacjach samce muszek owocowych celowo zwracają się ku konsumpcji alkoholu, by „osłodzić” sobie smak porażki. Autorzy omawianej analizy porównywali preferencje spożycia pokarmu zawierającego etanol u samców, które kopulowały z samicami, oraz u tych, którym się to nie udało. Wykazali, że odrzuceni konkurenci wybierali pożywienie zawierające alkohol, natomiast muszki będące po kopulacji preferowały jedzenie bez zawartości tej substancji. Naukowcy doszli do wniosku, iż samce, które nie współżyły, poprzez alkohol dążyły do ukojenia niezaspokojonego układu nagrody. Potwierdzili swoje przypuszczenia eksperymentalnie: wykazali, że owadzi partnerzy będący po kopulacji cechowali się wyższym poziomem neuropeptydu F w mózgu niż ich niewspółżyjący rywale (stężenie tego białka wzrasta, gdy dochodzi do pobudzenia układu nagrody). Następnie uczeni podali neuropeptyd F tym owadom, które nie osiągnęły celu rozrodczego. Okazało się, że uzyskawszy wyższe stężenie tego białka w mózgu, samce przestały dążyć do spożycia alkoholu.

Pijane łosie

Można przytoczyć wiele anegdotycznych opowieści, które sugerują, że zwierzęta od czasu do czasu celowo przyjmują substancje psychoaktywne, ale większość tych historii nie wytrzymuje naukowej weryfikacji. W 1995 r. na łamach „Life and Ma-

Samce muszek owocowych celowo zwracają się ku konsumpcji alkoholu, by „osłodzić”

sobie smak seksualnego niepowodzenia.

rine Sciences” opublikowano analizę zachowania delfinów będących rzekomo pod halucynogennym wpływem toksyn wydzielanych przez rybę rozdymkę. Według świadków zdarzenia morskie ssaki miały ocierać się o toksyczne kolce ryby dla uzyskania psychodelicznego efektu, a następnie zachowywać się w nietypowy sposób. Jednak w późniejszych analizach pobrzmiwa sceptycyzm względem takiej interpretacji. Tym bardziej że substancje znajdujące się w rybich kolkach – z tetrodoksyną na czele – nawet w najmniejszych dawkach doprowadzają do paraliżu mięśni, wyczerpania, nudności, a w końcu do problemów z oddychaniem i śmierci. Nie wydaje się zatem, by delfiny mogły czerpać przyjemność z kontaktu z toksyną i ocierać się o kolce celowo.

W 2009 r. BBC donosiło o walabiach, które miały doprowadzić do szkód w uprawach maku po spożyciu makówek zawierających opioidy. Naukowcy nie potwierdzili, by zachowania takie były elementem celowego zachowania tych torbaczy. Sama obserwacja zwierząt będących „pod wpływem” nie pozwala też jednoznacznie ocenić, czy są one zadowolone z uzyskanego efektu czy nie. Dotyczy to również częstych jesienią doniesień o zwierzętach, które, zachęczone obfitym opadem owoców w sadach i przydomowych ogrodach, pożywiają się sfermentowanymi jabłkami czy dyniami. Wygląda jednak na to, że robią to nie z wyboru, lecz z konieczności, chcąc zapewnić sobie jak najwięcej pożywienia przed zimą, w czasie której może go brakować. Jeśli zawarty w spożytych owocach alkohol przekroczy tolerancję zwierząt, zachowują się one w sposób nieskoordynowany, mają problemy z poruszaniem się czy nawet z ucieczką z ludzkiego siedliska na swoje naturalne tereny. Najgłośniejszy taki przypadek wydarzył się w 2011 r., w Szwecji, gdy łos zaklinał się wśród gałęzi niskiego drzewa po spożyciu

dużej ilości sfermentowanych jabłek (jego wybryki nagłośniło m.in. CNN).

Przypadek czy intencja?

Pytanie brzmi: czy zwierzęta, które stają się bohaterami takich historii, rzeczywiście dążą do efektu zmiany percepcji czy raczej traktują go jako efekt uboczny (często nieprzyjemny) spożycia pokarmu, którego – z racji sezonu – jest pod dostatkiem? Wydaje się, że ta druga możliwość jest bardziej prawdopodobna w odniesieniu do większości zwierząt, które co roku stają się bohaterami podobnych „zabawnych” historii. Opowieści te bywają tak popularne, że np. w Australii drzewo z gatunku *Schotia brachypetala* określa się mianem „drzewa pijanych papug”, ponieważ jego owoce co sezon doprowadzają do intoksykacji ogromnych ilości tych ptaków. Liczne publikacje dowodzą, że zatrucie się substancjami zawartymi w owocach dających obfite, sezonowe plony przy niedostatku innych źródeł pożywienia kończy się dla wielu ptaków tragicznie. Często spadają one z drzew, nie potrafią powrócić w bezpieczne miejsce, uciec od drapieżników, nie mają kontroli nad swoim ciałem i giną wskutek kolizji z obiektami, których nie potrafiły ominąć. Co więcej, z badań opublikowanych w 2017 r. w „African Zoology” wynika, że nawet ptaki wyłącznie owocowe (a zatem takie, które powinny być przyzwyczajone do tego, że pokarm ten czasami ulega fermentacji) nie wykazują preferencji ku zawartości etanolu i nie dążą do jego spożycia.

Wygląda więc na to, że większość kręgowców spożywa substancje psychoaktywne tylko przy okazji: gdy stanowią one składnik ich normalnej diety (owocowe papugi) lub gdy mają wyleczyć jakąś dolegliwość (jaguary jedzące wymiotne pnącze). Są jednak i takie zwierzęta, które nauczyły się czerpać korzyści z aktywnych składników: czy to znajdując w nich pocieszenie (owocówki), czy neutralizując ich szkodliwość i wykorzystując pokarm niedostępny dla innych (ogonopióry). Jakie miejsce zajmują tu naczelnie? Być może najpierw nauczyły się tolerować szkodliwe substancje w pewnych ilościach, a potem zaczęły wykorzystywać ich właściwości do celów pozaspożywczych. Jeśli tak, to droga, która zaczęła się od kręgowca pijącego sfermentowany nektar, doprowadziła do zaskakującego finału.

© MARTA TRZECIAK

Rozłam na niebie

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Z powodu nowej inwazji na Ukrainę może się załamać współpraca naukowa Zachodu z Rosją.

MOGĄ LATAĆ NA MIOTŁACH – TAK szef agencji kosmicznej Roskosmos Dmitrij Rogozin skwitował decyzję o wstrzymaniu dostaw rosyjskich silników rakietowych do USA. Rosjanie odcinają się od trwającej od dziesięcioleci współpracy w kosmosie z zachodnimi partnerami. Ale dla globalnej nauki konsekwencje wojny wytoczonej Ukrainie będą o wiele szersze.

Rosyjskie silniki RD-180 napędzały amerykańskie rakiety od początku XXI w. Opracowane jeszcze w Związku Sowieckim, stanowiły podstawę rakiet Atlas, które wyniosły w kosmos łazik Perseverance czy wiele amerykańskich satelitów wojskowych.

Tyle że Amerykanie nie są zdani na Rosjan, bo mają własne rakiety i pojazdy kosmiczne. A Roskosmos żyje z zachodnich przelewów. NASA płaciła 90 mln dol. za każdego Amerykanina lecącego Sojuzem na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS), a rosyjskie rakiety wynosiły setki komercyjnych satelitów. Gdy Rogozin zamieścił na Twitterze nagranie, na którym technicy zaklejają flagi partnerów na przygotowanej już do startu rakiecie, były dowódca ISS Scott Kelly zwrócił się do niego po rosyjsku: „Dimon, bez tych flag i walut, które przynoszą, wasz program kosmiczny nie będzie nic wart. Może znajdziesz pracę w McDonaldzie, jeśli jeszcze jakieś będą w Rosji”. W odpowiedzi Rogozin odpisał dyplomatycznie: „Odwal się, głąbie, albo śmierć ISS będzie na twoich rękach”. Po czym zablokował astronautę.

TO WŁAŚNIE ISS ma być kartą przetargową Rosji. „Jeśli zablokujecie współpracę z nami, kto ocali ISS przed niekontrolowanym wpadnięciem w atmosferę



Rosyjski statek zaopatrzeniowy Progress 77 w drodze z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej

o upadkiem na terytorium USA lub Europy?”, tweetował Rogozin. „Chciecie ryzykować tym, że 500-tonowa stacja spadnie na Chiny?”.

Bezpieczeństwo ISS w dużym stopniu zależy od Rosjan, bo to rosyjskie statki dostarczają Progress co jakiś czas „szturchają” stację w górę, odsuwając ją od gęstszych warstw atmosfery. Bez takiej korekty stacja prędzej czy później spłonie w atmosferze. Zarówno SpaceX Elona Muska, jak i produkujący kosmiczne „ciągarówki” Cygnus Northrop Grumman zapowiedziały jednak, że ich pojazdy będą w stanie zabezpieczyć stację. Nie ma informacji o tym, by napięcia wpłynęły na nastroje wśród załogi stacji (obsadzonej w tych dniach przez czterech Amerykanów, dwóch Rosjan i Niemca). Szef NASA Bill Nelson zapewnia, że agencja „podtrzymuje robocze relacje ze wszystkimi partnerami, by zapewnić bezpieczeństwo i ciągłość działania ISS”.

Inny wspólny projekt niemal na pewno zostanie jednak przerwany. Europejski łazik Rosalind Franklin miał szukać na Marsie śladów życia. We wrześniu miał polecieć w kosmos na rosyjskiej rakiecie, Rosja budowała także jego spadochrony i systemy lądowania. Europejska Agencja Kosmiczna zawiesiła jednak współpracę z Rosją, start opóźni się więc o co najmniej 26 miesięcy. A może dłużej, jeśli rosyjskie systemy trzeba będzie zastąpić.

Zagrożone są też inne międzynarodowe projekty, takie jak położony w Szwajcarii CERN czy budowany we Francji prototyp fuzyjnej elektrowni ITER.

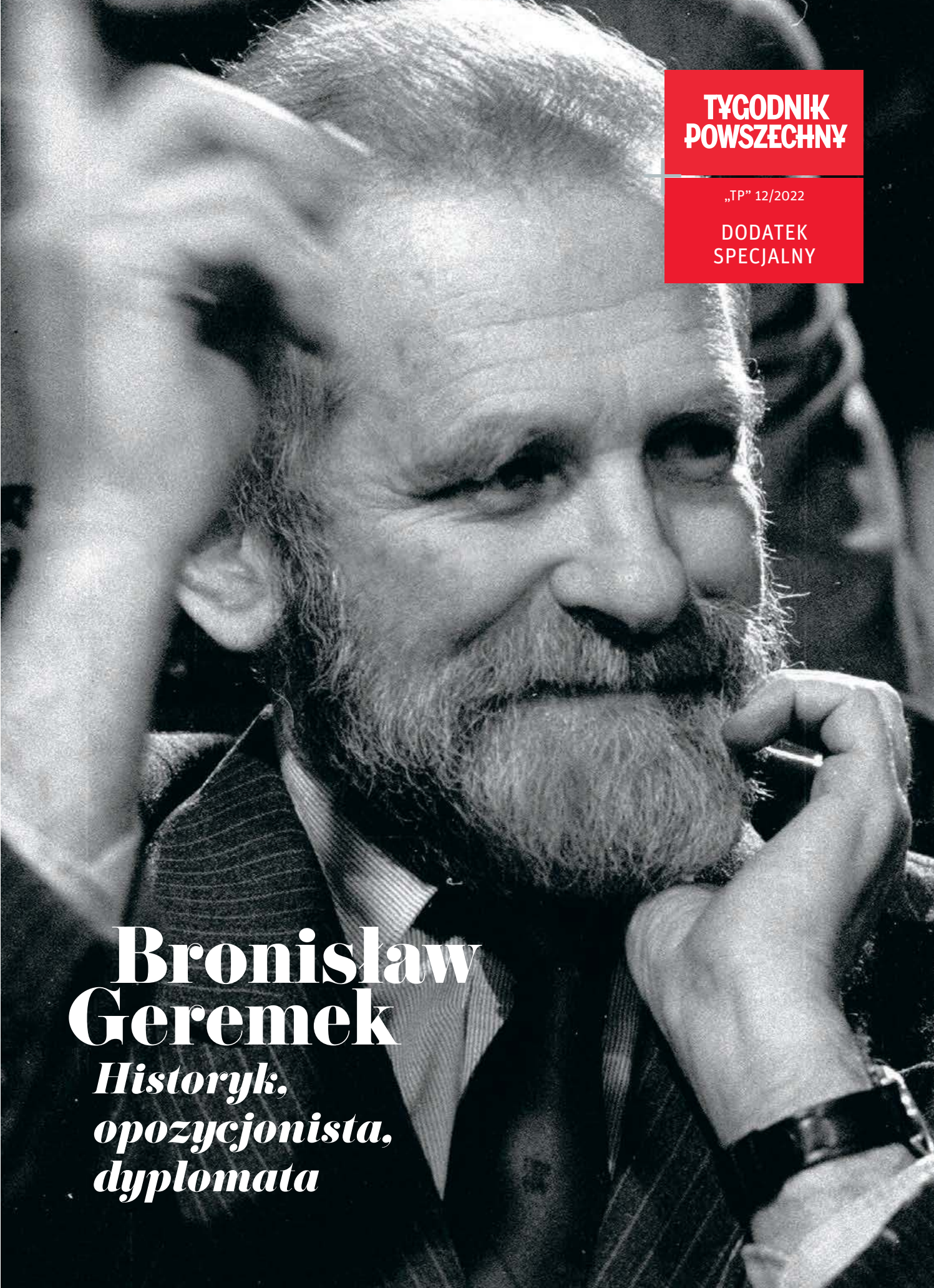
ROSJA W CERN jest jedynie obserwatorem i nie płaci składek, ale przy eksperymentach pracuje tu ponad tysiąc Rosjan, co

stanowi 9 proc. naukowej kadry ośrodka. Ukraina, która jako członek stowarzyszony płaci składki, lecz nie zasiada w radzie, apelowała o zawieszenie tej współpracy. 8 marca rada CERN zdecydowała o zawieszeniu Rosji i wprowadziła moratorium na jakiegokolwiek przyszłe wspólne projekty.

Większy problem będzie miała rada wartego 60 mld euro programu ITER, w ramach którego bada się możliwość uzyskiwania energii z kontrolowanej fuzji jądrowej. Rosja jest jednym z kluczowych udziałowców, dostarcza istotne elementy instalacji i wnosi ponad 9 proc. budżetu organizacji. Podpisany przez 130 członków apel Rady Młodych Naukowców Ukrainy wzywa jednak Komisję Europejską do zawieszenia wszelkich relacji z rosyjskimi instytucjami także przy tym projekcie. Na razie decyzji brak. Rzecznik Komisji Europejskiej (Unia jest największym udziałowcem programu) stwierdził jedynie, że „nic nie jest wykluczone”. Sankcje mogłyby objąć także flagowy unijsny program badawczy Horyzont Europa czy program wymiany Erasmus+.

Rosja straciła też prestiżową, organizowaną co cztery lata konferencję Międzynarodowej Unii Matematycznej, która miała odbyć się w lipcu w Petersburgu. Kongres, w ramach którego przyznawany jest Medal Fieldsa – najważniejsze matematyczne wyróżnienie – odbędzie się online. Co najmniej jeden naukowy periodyk, „Journal of Molecular Structure”, ogłosił, że nie będzie przyjmować prac naukowców zatrudnionych w rosyjskich instytucjach.

Z Rosji dobiegają jednak głosy sprzeciwu. Ponad 5 tysięcy badaczy, w tym 85 członków Rosyjskiej Akademii Nauk, podpisało się pod listem otwartym potępiającym wojnę i „geopolityczne ambicje” Putina. A podczas ostatniej sesji zatwierdzającej najnowszy raport Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) szef moskiewskiej delegacji Oleg Anisimow przeprosił ukraińskich kolegów za wojnę. „Chciałbym podziękować Ukrainie i przedstawić przeprosiny w imieniu wszystkich Rosjan, którzy nie byli w stanie zapobiec temu konfliktowi – stwierdził. – Nikt, kto wie, co się dzieje, nie znajduje żadnego uzasadnienia dla ataku”. ©

A black and white close-up portrait of Bronisław Geremek. He is an older man with a full, grey beard and mustache. He is looking slightly to the right with a thoughtful expression. His right hand is raised, with his fingers resting near his temple. He is wearing a dark, pinstriped suit jacket over a light-colored shirt and a dark tie. The background is blurred, showing other people in a crowd.

**TYCODNIK
POWSZECHNY**

„TP” 12/2022

**DODATEK
SPECJALNY**

Bronisław Geremek

*Historyk,
opozycjonista,
dyplomata*

Bronisław Geremek. Historyk, opozycjonista, dyplomata

DLA MOJEGO POKOLENIA, rówieśników III RP, Bronisław Geremek to już postać historyczna, podobnie zresztą jak pozostali współtwórcy polskiej demokracji. Nie śledziliśmy na żywo sporów, pyskówek i zdrad będących ich udziałem, nie rozważaliśmy dziesiątków wariantów i scenariuszy na politycznej szachownicy. Nie opłakiwaliśmy porażek i nie celebrowaliśmy zwycięstw, jak choćby wtedy, gdy Polska wstąpiła do NATO, a potem do Unii Europejskiej i stała się pełnoprawnym krajem świata zachodniego.

SPEŁNIŁO SIĘ MARZENIE wielu pokoleń, a dla nas to wszystko było oczywiste i naturalne, wydarzyło się jakby samo, ponad naszymi głowami. Historia jednak lubi zataczać kręgi. Dziś boleśnie i z całą mocą widać, że w tamtych procesach nie było nic oczywistego ani samoczynnego. Stali bowiem za nimi konkretni ludzie – politycy, którzy swoje wizje potrafili konsekwentnie wcielać w życie. Jednym z nich był bez wątpienia Bronisław Geremek – historyk, opozycjonista i dyplomata. Człowiek, bez którego byłibyśmy dziś w zupełnie innym, zdecydowanie trudniejszym miejscu na geopolitycznej mapie Europy.

© MICHAŁ SOWIŃSKI

Człowiek za kulisami

ANDRZEJ BRZIECKI

Na krótko przed śmiercią Bronisław Geremek mówił, że jednocząca się Europa ma przyszłość, bo wciąż kojarzona jest przede wszystkim z pokojem. Miał rację. Dziś pokój znów jest w cenie.

Stefan Kisielewski mówił o nim: „mamy mało takich ludzi”. I dodawał, że to jego kandydat na premiera. Kisiel oczywiście miał rację, bo takich ludzi jak Bronisław Geremek w Polsce nigdy nie było za dużo. Z pewnością byłby też wspaniałym premierem. Niestety, w tej akurat kwestii Kisiel się pomylił – Geremek nigdy nie stanął na czele rządu, choć w 1990 r. wydawało się to całkiem realne.

Być może najbliższej tej funkcji był w 1989 r., kiedy jego kandydatura pojawiła się obok Tadeusza Mazowieckiego i Jacka Kuronia. Lech Wałęsa postawił jednak na Mazowieckiego. Wówczas Geremek, jako szef OKP, przedstawiał go w Sejmie słowami: „do podjęcia tej trudnej roli staje najlepszy”.

Celowo przywołuję ten epizod na wstępie, bo te słowa wydają się szczytem politycznej kariery Geremka, choć był dopiero u progu politycznej działalności w warunkach demokracji. Oto on, strąteg i mózg Solidarności, architekt Okrągłego Stołu, zostaje ustawiony w drugim szeregu. Mało tego – przed wyborami 4 czerwca 1989 r. Mazowiecki odmówił kandydowania, kwestionując układ listy wyborczej. Między nim i Geremkiem doszło do ostrego starcia – Geremek zarzucił wtedy przyjacielowi pychę i niszczenie sukcesu opozycji. Poprowadził Solidarność do zwycięstwa, a teraz Mazowiecki miał spić śmietankę.

Geremek jednak zdobywa się na to, by nazwać Mazowieckiego „najlepszym”. Nie wszczyna wojny, a później wspiera rząd z całych sił. Ileż kosztowały go te słowa? Jeśli w polityce w ogóle możliwa jest przyjaźń, to łączyła ona właśnie obu doradców Wałęsy. A była prawdziwa, bo nieprosta, z okresami wzajemnej fascynacji i poważnych kryzysów – ale zawsze naznaczona lojalnością.

O Geremku powiedziano wiele złego. Słynny wierszyk o dylemacie, który „znają

nawet młodzi: schody, na nich Profesor – wchodzi on czy schodzi?” – miał dowcipnie ukazywać jego polityczny spryt. Można się zgodzić, że Profesor był makiaweliczny, przebiegły i wyniosły, ale nie można mu odmówić lojalności. Wobec wartości, przyjaciół i Polski.

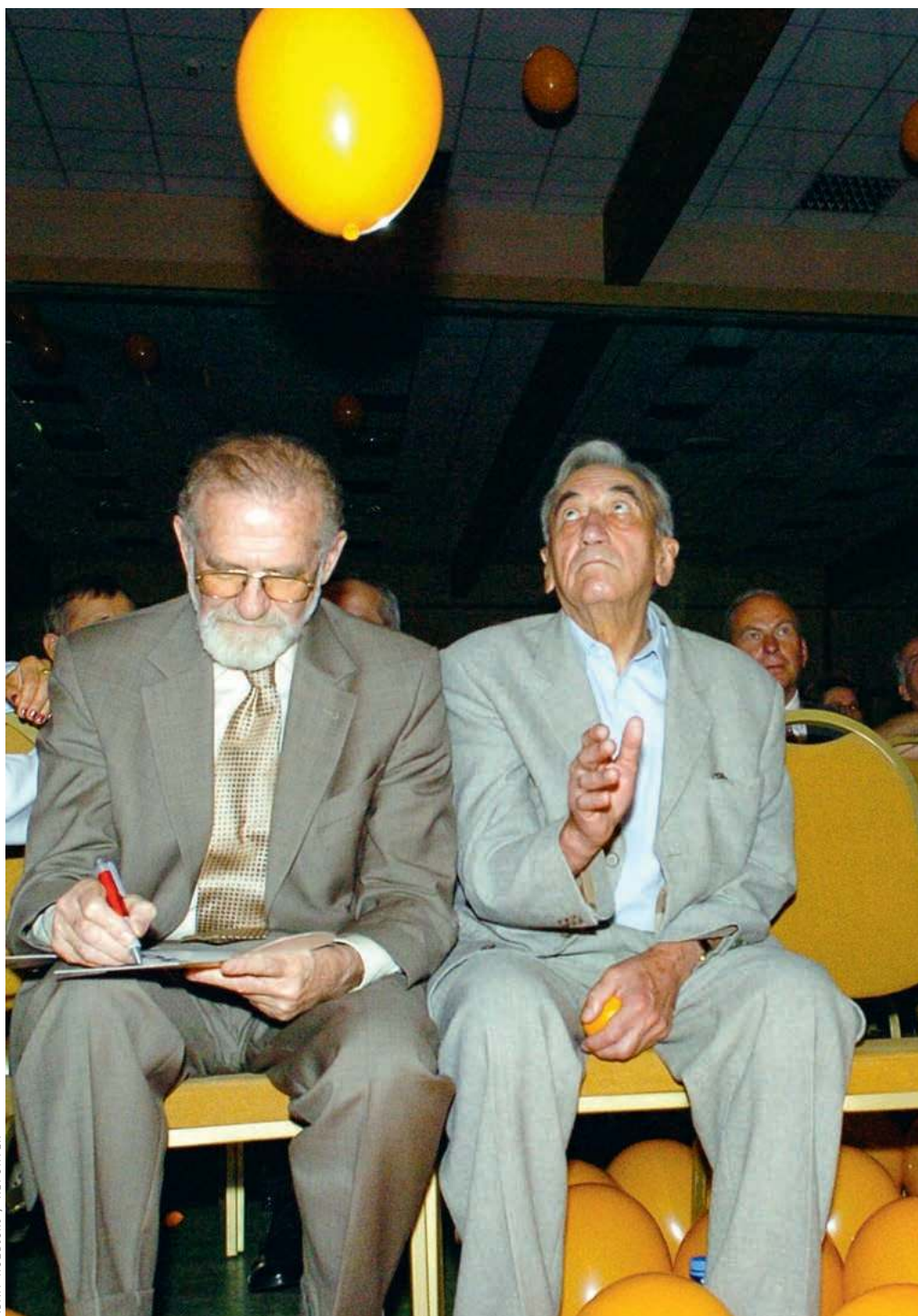
Czarna legenda

Należał jeszcze do tej XX-wiecznej kategorii polityków, którzy wywodzili się ze szkoły Churchilla czy de Gaulle’a – nie chodzi o poglądy i konkretne decyzje, ale o pewien styl. Gdy cytował Arystotelesa, Hegla, Pasteura, gdy odwoływał się do jakiegoś epizodu dziejów Europy, gdy mówił, że uformowali go Stefan Żeromski i Joseph Conrad, było pewne, że równie dobrze mógłby wziąć udział w seminarium na temat tych postaci. I pewnie by wołał. Albo gawędzić ze swym mistrzem i przyjacielem Jakiem Le Goffem.

Był XX-wiecznym politykiem, także w tym sensie, że był politykiem gabinetowym. Ledwo nadawał się na wiece wyborcze, nie sposób go sobie wyobrazić tweetującego. To oczywista słabość. Być może też tak o sobie myślał. Miał za sobą już wykłady na Sorbonie, kilka prac o średniowieczu. Biurko i książki – to był jego świat.

Gdy 22 sierpnia 1980 r. jechał wraz z Mazowieckim do stoczniovców na Wybrzeże, wcale nie zamierzał spędzić tam zbyt dużo czasu. Wziął nawet maszynopis swej książki, by przy okazji nanosić korektę. Dotarli do Gdańska pod wieczór, gubiąc po drodze ogon. Jednak obaj panowie chcieli tylko wręczyć list 64 intelektualistów, wzywający obie strony do umiaru. I wrócić. Tyle że Wałęsa jak już zobaczył list, zapytał: „a konkretnie to jak możecie pomóc?”. Tak narodził się pomysł komisji ekspertów. Wtedy też Geremek z Mazowieckim przeszli na „ty”, wtedy też zafascynowali się Wałęsą.

Był to dziwny triumwirat. Wałęsa – oczywiście najważniejszy – chłopek-



ADAM ROZBICKI / REPORTER

Bronisław Geremek
i Tadeusz Mazowiecki
podczas konwencji
parlamentarnej Partii
Demokratycznej
Demokracy.pl.
20 sierpnia 2005 r.

-roztropek, niepozbowiony sprytu, pewnej dozy wielkości, ale i wielu słabości. Mazowiecki – mrukliwy publicysta katolicki, który uważał, że Roman Dmowski także miał coś do powiedzenia. I wreszcie Geremek – z pochodzenia Żyd i były działacz PZPR. Być może tylko w Polsce taka trójka mogła się zawiązać. Od tej pory, aż do roku 1989, Geremek z Mazowieckim towarzyszyć będą Wałęsie na dobre i na złe. Obaj zresztą będą rywali-

zować o wpływ na przywódcę Solidarności. Mazowiecki potem mówił, że lepiej im się współpracowało, gdy mieli zupełnie różne role – gdy ich kompetencje się nakładały, dochodziło do spięć.

Wtedy też zrodzi się czarna legenda doradców, którzy obsiedli związek i prowadzą go w ślepą uliczkę. SB dbała, by taka legenda miała się dobrze. Doradcy, wzywając do rozważy i umiaru, zawierając kompromisy, szli w poprzek nastrojów

w Solidarności – było to najbardziej widoczne podczas kryzysu bydgoskiego. Być może jednak zdołali uchronić Polskę przed wcześniejszą konfrontacją. A każdy miesiąc karnawału Solidarności był kapitałem na przyszłość.

Po 13 grudnia 1981 r. Geremek był jednym z najdłużej internowanych. Wyszedł pod koniec 1982 r. Dziś, gdy wiemy, że w 1989 r. komunizm upadł, wydaje się, że Geremek, trwając przy Wałęsie, ⇨

→ po prostu postawił na dobrego konia. Nie zawsze było to jednak oczywiste. W latach 80. wielu Polaków zwątpiło w Lecha i Solidarność. Jeśli jednak w polityce istnieje pojęcie lojalności, to Geremek właśnie dawał jej przykład.

Płacił za to sporą cenę. Jeszcze w stanie wojennym reżymowa prasa opublikowała fałszywy wywiad z nim, w którym miał twierdzić, że nienawidzi Polaków, a Solidarność jest tylko po to, by umożliwić Żydom powrót do fabryk. W maju 1983 r. został znów aresztowany. Później jeszcze, ale wciąż w epoce PRL, Jerzy Urban oskarżył go o działalność na rzecz CIA – Geremek wytoczył mu proces. I wygrał!

Lojalność w polityce?

W 1990 r., gdy Wałęsa nie wskazał go na premiera, a potem wszczął „wojnę na górze”, ze starych inteligenckich przyjaciół już tylko Geremek utrzymywał z nim kontakt. Zjawił się 3 czerwca 1990 r. w Gdańsku na imieninach u Lecha, ale gdy 24 czerwca zebrał się Komitet Obywatelski i Wałęsa zrugął m.in. Jerzego Turowicza, Geremek pytał: „Czy ten dzisiejszy Lech Wałęsa to ten sam, którego znałem od lat?”.

Później Wałęsa poszedł jeszcze dalej. Gdy walczył z Mazowieckim o prezydenturę, wypalił, że nie rozumie, dlaczego Żydzi w polskim rządzie i w parlamencie ukrywają swe pochodzenie. Geremek nie zareagował. Przez lojalność. Jednak Wałęsa zdawał się wtedy zagrożeniem dla wizji Polski, którą Geremek podzielał, dlatego w kampanii popierał Mazowieckiego. Lojalność wobec Wałęsy musiała przegrać z lojalnością wobec wartości i Polski.

A nie była to dlań łatwa ziemia. Bronisław Geremek (to jego przybrane nazwisko) pochodził z rodziny żydowskiej. W czasie okupacji trafił do getta, skąd udało mu się wydostać. „Świat palił się na moich oczach” – opowiadał Jackowi Żakowskiemu. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy w ogóle mówił o swoim dzieciństwie. Zawsze podkreślał, że tamten okres zamknięty jest na klucz, że nie lubi się uzewnętrzniać. Co widział? Co przeżył? Mówił tylko o najstraszniejszych warunkach, o piekle, o rozpadającym się świecie.

Przeżył. Holokaust był dziełem Niemców. Fałszywy wywiad z czasów stanu wojennego był dziełem SB. Mógł więc

■ Był politykiem
gabinetowym.
Z trudem znosił wiece
wyborcze, nie sposób
go sobie wyobrazić
tweetującego.
Biurko i książki
– to był jego świat.

■ Sterując Polską
na Zachód, chciał
prowadzić aktywną
politykę względem
Wschodu. Jeszcze jako lider
OKP nawiązywał relacje
z elitami wybijających się
na niepodległość republik
radzieckich.

twierdzić, że to, co złe, nie ma nic wspólnego z Polską. Twierdził, że jego żydowskość odżywa tylko wtedy, gdy zetknie się z antysemityzmem. Więc jak się czuł, gdy Wałęsa, udając niewiniątko, dociekał, dlaczego niektórzy politycy ukrywają żydowskie korzenie? Jak się czuł, gdy już w wolnej Polsce prawicowe i klerykalne środowiska podchwyciły esbecką fałszywkę z czasów stanu wojennego i zaczęły ją kolportować? Jak się czuł, gdy na jego plakatach wyborczych malowano gwiazdę Dawida?

A jednak właśnie takiej Polsce służył.

Jesteśmy krajem zachodnim

No więc nie było mu dane zostać premierem. Warto zatem docenić klasę, z jaką sprawował inne funkcje państwowe. Był w tym lojalny nie tylko wobec kraju, ale także wobec polityków, z którymi związał się od czasu „wojny na górze”. Największy wpływ na sprawę państwa miał, gdy w latach 1997–2000 szefował polskiej dyplomacji. Był to okres, gdy staraliśmy się o wejście do NATO i Unii Europejskiej.

Właśnie NATO uważał wtedy Geremek za podstawowy cel. Zdominował negocjacje członkowskie – ze strony państw aspirujących był głównym rozgrywającym. Dlatego chwilą również jego osobistego triumfu była ceremonia podpisania w imieniu Polski traktatu Sojuszu w Bibliotece Harry’ego Trumana 12 marca 1999 r. Łzy spływały mu po policzkach. Parę lat później mówił w rozmowie z „TP”: „Miałem tę szansę, że w polityce, w którą się angażowałem, chodziło o sprawy ważne, wychodzące poza rutynę sprawowania władzy i grę polityczną”. Bo członkostwo w NATO oznaczało związanie Polski z Zachodem. I bezpieczeństwo.

W maju 2000 r. przekonywał w Sejmie: „Nie do końca być może zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy krajem zachodnim i że tak jesteśmy już postrzegani przez świat zewnętrzny”. W tamtym czasie elity sąsiedniej Ukrainy uważały, że uda im się lawirować między Wschodem i Zachodem. Dziś widać, że była to droga donikąd.

Geremek dążył do ocieplenia stosunków z Rosją, ale nie był wobec Kremla uległy. Wiosną 2000 r. wydalili dziewięciu rosyjskich dyplomatów. Apelowal wówczas do ludzi na Kremlu: „Dość tych pieniędzy, którymi namawia się do zdrady narodowej, dość skrzynek kontaktowych. To nie jest w interesie ani Polski, ani Rosji. Trzeba wreszcie skończyć z tym typem działalności szpiegowskiej z powieści Johna le Carré. Do parku jurańskiego z tym!”.

Sterując Polską na Zachód, chciał prowadzić aktywną politykę względem Wschodu. Jeszcze jako lider OKP nawiązywał relacje z elitami wybijających się na niepodległość republik radzieckich. W marcu 1990 r. zapewniał w Wilnie Litwinów, że Polska nie ma roszczeń wobec ich kraju. W tym samym czasie w książce „Rok 1989” opisywał, jak pewien radziecki dyplomata bezskutecznie ostrzegał go przed angażowaniem się po stronie Ukraińców. „Uważałem, że warunkiem przełamania antagonizmu polsko-ukraińskiego jest nasze jednoznaczne poparcie dla ukraińskich aspiracji”.

Po nominacji na szefa MSZ natychmiast odwiedził Wilno i Kijów, pokazując, jaką wagę przykładają do wschodniego sąsiedztwa. Starał się prowadzić dialog z Białorusią. W 2004 r. jako deputowany Parlamentu Europejskiego witał w Kijowie zwycięstwo Pomarańczowej Rewolucji.

Nie był mięksizmem

Powtórzmy: był politykiem gabinetowym. Poufne rozmowy, głębokie fotele, szklaneczka whisky, fajka. Był staroświecki, ale nie był niedzisiejszy. Jako historyka interesowała go przyszłość Polski, a nie rozpamiętywanie przeszłości.

Dla zagranicznych korespondentów i dyplomatów był cennym kontaktem – zawsze gotów swobodnie, rzeczowo i bez tłumacza rozmawiać o Polsce. Przyjaźnił się z luminarzami europejskiego życia intelektualnego. Nie był jednak bezrefleksyjnym okcydentalistą. Potrafił na przykład przypomnieć Niemcom, że w czasach II wojny światowej to Polska stała po dobrej stronie. Popierał interwencję w Iraku, ale obawiał się, że Polska dała się wmanewrować w antagonizowanie „nowej Europy” przeciwko „starej”. Nie podobało mu się przedkładanie dwustronnego sojuszu z Ameryką nad umacnianie NATO.

Także na arenie wewnętrznej nie był „mięksizmem”. Jako szef MSZ wdał się w poważny konflikt z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim w kwestii podziału kompetencji i odpowiedzialności za politykę zagraniczną. Geremek postawił wtedy na swoim, ale nie zrobił sobie z prezydenta wroga i gdy składał urząd po wyjściu Unii Wolności z rządu, Kwaśniewski przyjmował dymisję Geremka z żalem.

Jako lider Unii Wolności się nie sprawdził. W 2000 r. pokonał Donalda Tuska w wyborach na szefa tej partii, ale rok później nie zdołał wprowadzić Unii Wolności do parlamentu. Miał wtedy 69 lat – może już nie miał siły? Zapewne jego międzynarodowa renoma okazała się tu problemem. W jego kalendarzu zaproszenia z Paryża czy Berlina na odczyty i konferencje musiały brać górę nad spotkaniami z wyborcami w, dajmy na to, Skierniewicach. Zgodził się przewodniczyć partii z poczucia obowiązku i po namowach. Starał się, wsiadł w au-

tobus, by ruszyć w Polskę, ale było po prostu późno.

A taki Leszek Miller, były skierniewicki sekretarz PZPR, który nie znał, jak Geremek, czterech języków (nie licząc łaciny), ale umiał rozmawiać z aktywnym na zasadzie „wicie-rozumiecie”, od dawna jeździł po kraju. Dlatego jego partia dostała prawie dwudziestokrotnie lepszy wynik wyborczy niż UW i to ona w 2001 r. stworzyła rząd, który wprowadził Polskę do Unii Europejskiej.

Być może Geremek nie umiał odczytywać nastrojów społecznych, a już na pewno nie umiał im schlebiać. Gdy w 1990 r. Polacy odrzucili w wyborach prezydenckich Mazowieckiego, wygarnął im, że nie dorośli do demokracji. Gdy dekadę później na gruzach Unii Wolności powstawała Platforma, polityków, którzy ją tworzyli, nazywał brzydtko „zbiegami”.

Był solistą. Dlatego nie wyszło mu dyrygowanie orkiestrą, jaką była partia.

Stare dobre najtisy

Dziś, gdy pociski spadają na ukraińskie miasta, gdy w polityce nie ma żadnych idei, aż łaża w oku się kręci, gdy wspomnimy lata 90. poprzedniego wieku. Czas nadziei na to, że przynależność do świata euroatlantyckiego będzie gwarancją szczęścia i bezpieczeństwa. To był świat, w który wierzył i który budował Geremek. Unię Europejską widział jako projekt polityczny, a nie tylko gospodarczy. Szedł w tym dalej niż wielu polskich polityków.

U progu wolnej Polski mówił: „Historia pokazała, że wizja drogi na skróty prowadzi narody w ślepy zaułek. Wiadomo to od dawna. Zawsze jednak znajdują się ludzie, którzy dla własnych politycznych ambicji gotowi są przekonywać, że mają jakiś cudowny eliksir, dzięki któremu życie stanie się łatwe. Gdy społeczeństwo im uwierzy, na demokrację nie ma miejsca”.

Geremek, wraz z Mazowieckim, utożsamiali najlepsze i najgorsze cechy III RP.

Gdy już się zużyli, ich formacja pogardliwie zwana była „etos, patos i paraliż”. Przyszedł czas młodszych, którzy potrafili odpowiedzieć na nowe wyzwania. Niestety, przeważnie obierali drogę na skróty.

Teraz, po 20 latach szaleństw prawicy, populizmu i narodowych egoizmów, wiadać, jak bardzo te wyświechtane słowa o Europie, demokracji, dialogu, rozwadze i wspólnocie były ważne i prawdziwe. Jak to ekspercko-inteligenckie niuansowanie i dzielenie włosa na czworo pozwalało uniknąć wielu błędów.

Teraz na własne oczy przekonujemy się, że nie ma drogi na skróty. Ale i Geremek kiedyś w nią wierzył. Jako młody człowiek wstąpił do partii komunistycznej. Wydawało mu się to dobrą odpowiedzią na niesprawiedliwość świata. Nie jemu jednemu.

Tkwiał w tym błędnym przekonaniu dość długo – także dlatego, że sporo czasu spędzał we Francji i stamtąd nie dostrzegał wielu rzeczy. Jednak w marcu 1968 r. SB zaliczała go do elementów rewizjonistyczno-syjonistycznych i kosmopolitycznych. Wystąpił z PZPR w sierpniu 1968 r., gdy Moskwa wysłała czołgi przeciwko liberalizującej się Czechosłowacji.

I właśnie jako były partyjny uważał, że ma obowiązek działać na rzecz przełamania totalitarnej beznadziei – stąd jego późniejsze zaangażowanie w Towarzystwo Kursów Naukowych. I stąd w sierpniu 1980 r. decyzja, by z Mazowieckim pojechać do stoczni.

Należał do tych polityków europejskich, którzy doświadczyli totalitaryzmów i wojen. Jedni byli tylko ich ofiarami, inni, w taki czy inny sposób, dali się w nie uwikłać. Być może to sprawiło, że wszyscy byli jednak ostrożniejsi.

Na krótko przed śmiercią Bronisław Geremek mówił, że jednocząca się Europa ma przyszłość, bo wciąż kojarzona jest przede wszystkim z pokojem. Miał rację. Dziś pokój znów jest w cenie.

© ANDRZEJ BRZIEJECKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 12/2022

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frotów

FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Zuzanna Kardyś |

NA OKŁADCE: Bronisław Geremek, początek lat 90. FOT.: TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

PARTNERZY

WSPÓŁWYDAWCA

DOFINANSOWANO Z FUNDUSZU
POPIERANIA TWÓRCZOŚCI



renew europe.



za'ks
sprzyjamy wyobraźni

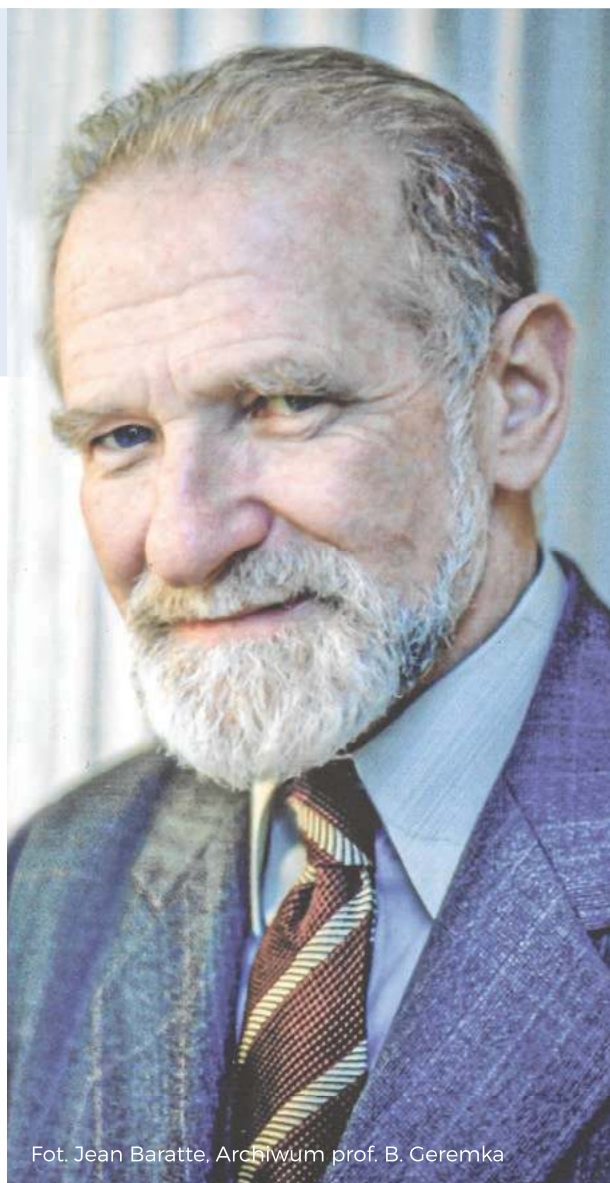
Program stypendialny im. prof. Bronisława Geremka

Z okazji 90. rocznicy urodzin prof. Bronisława Geremka, Grupa Renew Europe we współpracy z Fundacją im. Bronisława Geremka uruchomiła program stypendialny, aby uhonorować wybitnego historyka, myśliciela, lidera demokratycznej opozycji w Polsce i architekta akcesji Polski do UE i NATO.

„Dzieło Profesora Geremka nauczyło nas, że nawet z najtrudniejszych doświadczeń możemy wyciągnąć motywację do budowy Zjednoczonej Europy, szanującej człowieka, demokrację i rządy prawa”

Róża Thun

europosłanka Renew Europe i Polska2050



Fot. Jean Baratte. Archiwum prof. B. Geremka

Zasady programu:

- 5-miesięczne płatne staże w Parlamencie Europejskim w Renew Europe (Odnówić Europę)
- dla młodych ludzi w wieku 18 do 30 lat
- otwarty dla obywateli Polski, Czech, Słowacji i Węgier
- dla młodych ludzi, którzy udokumentują swoje proeuropejskie nastawienie oraz zrozumienie dla wspólnych europejskich wartości, jak prawa człowieka i rządy prawa
- poszukiwani kandydaci z udowodnionym zaangażowaniem obywatelskim lub politycznym
- zachęcamy mieszkańców spoza dużych ośrodków miejskich

**PIERWSZE STAŻE
JUŻ WE WRZEŚNIU 2022 R. !**

**renew
europe.**

G Fundacja
Geremka

Szczegóły wkrótce na
www.geremek.pl

Historyczne pasje

TOMASZ WIŚLICZ

Naukowcem był takim jak politykiem – europejskiego formatu. Jego badania i interpretacje, choć korespondowały z najważniejszymi prądami intelektualnymi drugiej połowy XX wieku, były niezwykle oryginalne.

Historia – powiedziałem sobie – oto świat współczesny, świat, który mnie otacza. Aby spróbować coś z niego zrozumieć – człowieka, kraj, grupę społeczną – cofam się trochę w przeszłość. I przyglądam się, próbuję pojąć to, co wokół mnie”. Tak w wywiadzie-rzecz, który przeprowadził z nim Philippe Sainteny w 1990 r., Bronisław Geremek opisywał powody, dla których wybrał historię jako pole swojej aktywności naukowej.

Aby zrozumieć Geremka jako polityka, nie można zapomnieć, że był również – a może przede wszystkim – zawodowym historykiem. A jak pisze Hanna Zaremska we wstępie do pośmiertnego wydania jego pism „O średniowieczu” (2012) – nigdy historykiem być nie przestał. I nawet wtedy, gdy na dwadzieścia lat porzucił pracę mediewisty na rzecz polityki, snuł plany powrotu do nauki. Jednak pisząc o otaczającej go rzeczywistości politycznej czy prowadząc wykłady w Kolegium Europejskim, korzystał z wiedzy o przeszłości, a przede wszystkim z narzędzi właściwych badaczowi minionych epok.

Historykiem był takim jak politykiem – europejskiego formatu. Jego teksty ukazywały się w wielu europejskich językach, nierzadko wcześniej niż po polsku, gdyż peerelowska cenzura opóźniała druk. Jednocześnie był pełnoprawnym członkiem francuskiej szkoły „Annales”, a była to szkoła wyznaczająca standardy tego, co nowoczesne i przenikliwe w światowej historiografii drugiej połowy XX wieku. Uznanie w środowisku naukowym osiągnął jednak przede wszystkim dzięki własnym koncepcjom badawczym i interpretacyjnym, które, choć korespondowały z najważniejszymi prądami intelektualnymi jego czasów, były niezwykle oryginalne.

Droga Geremka do Paryża wiodła przez Warszawę, a dokładniej przez seminarium historyczne Mariana Małowista w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie napisał pracę magisterską, obronioną w 1956 r. Profesor Małowist był promotorem historii gospodarczej o silnie marksistowskim zabarwieniu, zgodnie z duchem epoki i oczekiwaniami ówczesnych decydentów. Zarazem jednak wystrzegął się bezrefleksyjnej ortodoksji i pozostawał otwarty na wpływy, a także mody zachodnioeuropejskiej historiografii. Geremek wspominał później, już po upadku żelaznej kurtyny, że zawdzięczał Małowistowi zarówno inspirację marksizmem jako metodą interpretacji historycznej, jak i uchronienie „od tego skostniałego marksizmu, skażonego zakłamaniami i duchem śmierci, rozpowszechnianego w dyskursie oficjalnym”. Seminarium Małowista było niezwykle twórczą szkołą warsztatu historycznego, wydając, oprócz Geremka, takich badaczy jak Maria Bogucka, Antoni Mączak, Henryk Samsonowicz, Andrzej Wyrobisz i Benedykt Zientara. Kiedy zatem Bronisław Geremek zaraz po magisterium otrzymał stypendium w Paryżu, znalazł się tam jako historyk gospodarki posługujący się kategoriami marksistowskimi.

Szkoła „Annales”

Paryskie środowisko historyków, skupione wokół pisma „Annales. Économies, Sociétés, Civilisations”, również chętnie uprawiało historię gospodarczą i nie kryło inspiracji teorią marksistowską. Dlatego też z wielkim zainteresowaniem przyglądało się temu, jak stosowali marksizm historycy z Europy Wschodniej. Geremek trafił właśnie na symboliczną zmianę w środowisku „Annales”, gdy po śmierci Luciena Febvre’a, jednego z jej założycieli (obok Marca Blocha, rozstrzelanego przez Gestapo w 1944 r.), re-

dakcję pisma i nieformalne przywództwo przejął Fernand Braudel.

Z jego nazwiskiem łączy się największe tryumfy grupy. Zyskała ona ogromny prestiż instytucjonalny w ramach francuskiej nauki, jak również uznanie międzynarodowe dzięki promowaniu niezwykle ambitnej wizji uprawiania historiografii totalnej, łączącej dzieje społeczeństwa i gospodarki z wykorzystaniem metod wypracowanych przez ekonomię, socjologię, antropologię oraz geografę. Tak rozumiana historia miała być badana w perspektywie globalnej, a przynajmniej ponadnarodowej, z wykorzystaniem różnych ram czasowych, spośród których największą popularność zdobyły emblematyczne dla szkoły „długie trwanie”, obejmujące zjawiska liczone w stuleciach. Szkoła „Annales” proponowała również odejście od historii opisującej wydarzenia w porządku chronologicznym na rzecz historii analizującej procesy społeczno-gospodarcze.

Geremek świetnie odnalazł się w środowisku, które w ten właśnie sposób rozumiało zadania historyka. Podczas paryskich pobytów badawczych nie tylko zadzierzgnął więzy przyjaźni z francuskimi historykami, lecz także sam brał udział w dyskusjach wokół kształtującego się w tym okresie paradygmatu „nowej historii”, jak zaczęto nazywać annalistyczną wizję historiografii. Wybór przez Geremka pierwszego wielkiego tematu, jak sam później przyznał, podyktowany był do pewnego stopnia „ideologiczną i polityczną predylekcją młodego marksisty”, a zaowocował pracą doktorską zatytułowaną „Najemna siła robocza w rzemiośle Paryża XIII-XV wieku. Studium o średniowiecznym rynku siły roboczej”, wydaną w postaci książkowej w 1962 r. (a we Francji w 1968). Opisywał w niej właściwie niedostrzegane wcześniej w mediewistyce niższe warstwy społeczne →

→ pracowników najemnych, które wyłamywały się z korporacyjnej struktury społecznej średniowiecznego miasta, a komercjalizacja ich pracy stanowiła niejako forpocztę narodzin kapitalizmu.

Kolejna jego monografia, która stała się podstawą habilitacji, odchodzi już wyraźnie od historii gospodarczej na rzecz społecznej, co widać już w tytule – „Ludzie marginesu w średniowiecznym Paryżu: XIV-XV wiek” (1971, wydanie francuskie 1976). Bohaterami tej książki są przestępcy, włóczędzy, żebracy i prostytutki w średniowiecznym mieście, czyli innymi słowy ludzie wyrzuceni poza strukturę społeczeństwa stanowego. Można w niej zauważyć wyraźnie kształtujący się już, charakterystyczny dla Geremka sposób analizy historycznej, łączący perspektywę grup społecznych, dane ekonomiczne, topograficzne i ilościowe z wnikliwym opisem doświadczenia historycznego pojedynczych, konkretnych ludzi. Jego zdaniem, aby uchwycić miejsce i rolę danej grupy w procesie historycznym, należy poznać szereg losów jej poszczególnych członków.

Materiał zebrany na potrzeby pracy o paryskim marginesie społecznym Geremek wykorzystał również dla napisania popularyzatorskiej pracy „Życie codzienne w Paryżu Franciszka Villona” (1972), wydanej w słynnej serii wydawnictwa PIW, wyznaczającej wysokie wzorce poziomu opracowań tego typu.

W kolejnych książkach Geremek opuszczył średniowieczny Paryż, ale pozostał przy tematyce ludzi wyrzuconych poza nawias społeczeństwa. Jednocześnie coraz bardziej zagłębiał się w analizy ich roli dla przemian społecznych we wczesnej nowożytności, z uwzględnieniem perspektywy nadchodzących przemian. Jako pierwsza z tak zakreślonego pola badań ukazała się książka „Niepotrzebni światu: rzeźmieszczy i nędzarze w Europie nowożytnej” (1980), napisana dla paryskiej serii „Collection Archives” wydawnictwa Gallimard. Zgodnie z założeniami serii, publikacja ma pozwolić czytelnikowi na zakosztowanie rzeczywistości źródeł historycznych, niejako sensualne dotknięcie przeszłości, a zarazem wniknięcie na chwilę w skórę historyka, który na podstawie takich materiałów konstruuje swoje interpretacje i zamienia je w tekst naukowy. Jest to zatem autorski wybór przekazów źródłowych, opatrzonych bogatymi komentarzami wydawcy, pozwa-



■ Ewolucja naukowa Geremka przebiegała od historiografii gospodarczej w duchu marksistowskim do wielowymiarowej i silnie podbudowanej teoretycznie historii kulturowej.

lającymi zrozumieć tekst historyczny i osadzić go w kontekście wiedzy o przeszłości.

Nędza i miłosierdzie

„Pełnowymiarowym” opracowaniem problemu żebractwa w Europie u progu czasów nowożytnych jest natomiast książka „Litość i szubienica. Dzieje nędzy i miłosierdzia”, która najpierw wyszła w przekładzie włoskim (1986), a dopiero później we francuskim (1987), niemiec-

kim (1989) i w oryginalnej wersji polskiej (1989). Książka powstała już w połowie lat 70. jako jeden z tomów serii „Wielkie problemy dziejów człowieka” wydawnictwa Czytelnik, jednak z powodu cenzorskiego zapisu na nazwisko autora przeleżała kilkanaście lat jako maszynopis.

„Litość i szubienica” jest chyba najszerszej zakrojoną książką Geremka, zarówno pod względem geograficznym i chronologicznym, jak i interpretacyjnym. Opisuje ona wyobrażenia i praktyki związane z życiem w nędzy, żebractwem, ale też miłosierdziem i modelami opieki społecznej w kilku krajach zachodniej Europy od średniowiecza po wiek XX. Autor pokazuje tu ewolucję od chrześcijańskiego miłosierdzia wobec żebraków do traktowania biedy jako choroby społecznej; od jałmużny motywowanej troską o zbawienie duszy darczyńcy, po policyjną kontrolę i reedukację poprzez pracę. Doszukuje się przyczyn ekonomicznych tego zwrotu, przedstawia przemiany struktur społecznych i mentalności. Zgodnie z duchem historiografii totalnej do wymiaru ekonomicznego i społecznego dodaje wymiar kulturowy.



Po lewej: Bronisław Geremek w swoim mieszkaniu, Warszawa 1989 r.
Powyżej: Olga Krzyżanowska, Bronisław Geremek i Zofia Kuratowska. Sejm, Warszawa 1989 r.

Temat wraca w kolejnej jego książce: „Świat »opery żebraczej«. Obraz włóczęgów i nędzarzy w literaturach europejskich XV-XVII wieku”, która również z powodów cenzorskich ukazała się najpierw w tłumaczeniu włoskim (1988), a dopiero potem po polsku (1989) i w innych językach. Geremek opisuje w niej tych samych ludzi, co w „Litości i szubienicy”: wędrownych żebraków ze społecznego marginesu późnego średniowiecza i wczesnej nowożytności, tym razem jednak podstawą źródłową uczynił literaturę piękną, pokazując, w jaki sposób wyobrażano sobie wtedy owych wyrzutków, szczególnie na tle tego, co wiemy z analizy innych, mniej subiektywnych źródeł.

Ludzie z marginesu

Później Geremek planował powrót do tematu ludzi marginesu społecznego w ujęciu geograficznym i merytorycznym, jednak w znacznie szerszej perspektywie. Rozprawę zatytułował roboczo „Margines społeczny i ekskluzja w przedprzemysłowej Europie”. Praca ta, rozpoczęta pod koniec lat 70., nigdy nie została ukończona. Przez kolejne lata Geremek opubli-

kował kilkanaście artykułów, które w założeniu miały być przyczynkami do całości opracowania, być może nawet jego poszczególnymi rozdziałami. Wszystkie zostały zebrane i ułożone zgodnie z autorskim planem we wspomnianym wcześniej zbiorze pod redakcją Hanny Zaremskiej.

Publikacja ta zawiera również przedrukowane, a czasem po raz pierwszy tłumaczone na język polski drobniejsze teksty autora. Oprócz niedokończonego studium o marginesie społecznym można znaleźć tam prace na temat historiografii oraz ludzi zajmujących się nią (jej bohaterami są między innymi wielkie persony szkoły „Annales”: Marc Bloch, Lucien Febvre, Fernand Braudel i Jacques Le Goff), a także obszerny zbiór prac poświęconych historii kultury.

Ten ostatni przedmiot badań, choć nigdy nie przyjął formy monografii, najlepiej oddaje ewolucję Geremka jako badacza: od historiografii gospodarczej w duchu marksistowskim do wielowymiarowej i silnie podbudowanej teoretycznie historii kulturowej. Wśród publikacji na ten temat trzeba koniecznie wspomnieć o dwóch książkach zbiorowych, powsta-

łych pod redakcją Geremka. Pierwsza to „Kultura elitarna a kultura masowa w Polsce późnego średniowiecza” (1978), pionierska w Polsce próba pogłębionej analizy średniowiecznej kultury ludowej na tle innych zjawisk kulturowych. Druga zaś nosi tytuł „Kultura Polski średniowiecznej XIV-XV w.” (1997) – w zamierzeniu stanowi drugi tom wielkiej syntezy przygotowywanej przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk z inicjatywy jego pierwszego dyrektora, Tadeusza Manteuffla.

Prace Bronisława Geremka nad historią kultury średniowiecznej wciąż mogą stanowić inspirację dla badaczy, wciąż bowiem nie są wystarczająco obecne w polu naukowym. Szczególnie że dziś widać stopniowy powrót zainteresowania ujęciami modelowymi w historii, a także historią społeczno-gospodarczą (tematem w znacznej mierze zarzuconym przez polskich badaczy na przełomie tysiącleci). Można się spodziewać, że jego książki poświęcone marginesowi społecznemu i ubóstwu doczekają się nowych odczytań. Wszak historia – jak twierdził Geremek – służy temu, by zrozumieć świat, który nas otacza.

© TOMASZ WIŚLICZ



UCHWAŁA SENATU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

z dnia 26 listopada 2021 r.

w sprawie ustanowienia roku 2022 Rokiem Bronisława Geremka

W roku 2022 przypada 90. rocznica urodzin Bronisława Geremka, jednego z najważniejszych polskich polityków, cenionego historyka, współodpowiedzialnego za odbudowę niepodległości Polski oraz wprowadzenie Rzeczypospolitej Polskiej do NATO i Unii Europejskiej.

Urodził się 6 marca 1932 roku w Warszawie. Holocaust zabrał mu niemal całą rodzinę. Zapewne to tragiczne doświadczenie było prądem jego szczególnej wierności ideałom praw człowieka.

Bronisław Geremek cieszył się w świecie najwyższym prestiżem. Mogąc robić karierę w każdym miejscu na globie, pozostał wierny Ojczyźnie. Był polskim patriotą poczuwającym się do odpowiedzialności za losy kraju. Był człowiekiem odpornym na represje, prześladowania i przemoc. Mimo szykan i prześladowania nigdy nie brał pod uwagę wyjazdu z Polski. Mówił: „Jeśli nie podoba mi się polityka mego kraju, muszę ją zmienić”.

Bronisław Geremek był historykiem-mediewistą, profesorem nauk humanistycznych. Po ukończeniu studiów historycznych na Uniwersytecie Warszawskim odbył studia podyplomowe w École Pratique des Hautes Études w Paryżu. Od tego czasu związał się naukowo z Francją, której historia stała się przedmiotem jego dysertacji doktorskiej, rozprawy habilitacyjnej oraz kolejnych badań i książek.

Pracował w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, ale też wykładał na Uniwersytecie Paryskim i kierował tamtejszym Centrum Kultury Polskiej. Uhonorowany został ponad dwudziestoma tytułami doktora honoris causa, między innymi przez Uniwersytet Boloński, Uniwersytet w Utrechcie, Columbia University, Uniwersytet Jagielloński i Europejski Uniwersytet Viadrina. Był profesorem wizytującym w Collège de France, członkiem Academia Europaea, Pen Clubu, Société Européenne de Culture oraz Stowarzyszenia Naukowego Collegium Invisible.

Wszelako to nie dla zasług na polu naukowym został zapamiętany w Polsce i na świecie; szczególnie w Unii Europejskiej i USA. Był człowiekiem honoru i zasad moralnych. Członek PZPR w latach 1950–1968, z której wystąpił w proteście wobec inwazji Układu Warszawskiego (z udziałem Ludowego Wojska Polskiego) na Czechosłowację. Od tamtego czasu współtworzył opozycję demokratyczną w PRL; działał jawnie i w podziemiu, z otwartą przyłbicą, bez przemocy.

W grudniu 1975 roku był współautorem „Listu Siedmiu” do władz komunistycznych o konieczności reformy ustrojowej, a w 1977 roku – współtwórcą listu w obronie represjonowanych działaczy Komitetu Obrony Robotników. Rok później został członkiem rady programowej i wykładowcą Towarzystwa Kursów Naukowych, niezależnego stowarzyszenia edukacyjnego, które za cel stawiało sobie przełamanie monopolu państwa w nauczaniu.

Bez wahania wsparł protest sierpniowy w 1980 roku zgłaszając akces do Komisji Ekspertów przy Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym w Gdańsku. Był sygnatariuszem apelu 64 naukowców, literatów i publicystów do władz komunistycznych o podjęcie dialogu ze strajkującymi robotnikami. Rok później, podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” przewodniczył Komisji Programowej; był głównym autorem programu Samorządna Rzeczpospolita.

W stanie wojennym był przez rok internowany. Po odzyskaniu wolności nadal doradzał podziemnej „Solidarności”, blisko współpracując z Lechem Wałęsą. 17 maja 1983 roku został aresztowany, a w lipcu zwolniony na mocy amnestii. Odegrał kluczową rolę w sukcesie historycznego fenomenu, jakim był Okrągły Stół. Pokojowe przekazanie władzy w 1989 roku obywatelom było niejako zwieńczeniem jego niewzruszonej i bezkompromisowej drogi do demokratycznej Ojczyzny.

Bronisław Geremek był posłem na Sejm X, I, II i III kadencji (1989–2001) oraz deputowanym do Parlamentu Europejskiego VI kadencji (2004–2008). Przewodniczył Komisji Spraw Zagranicznych, kierował też Komisją Konstytucyjną (1989–1991) i Komisją Prawa Europejskiego (2000–2001).

Czas kierowania polską dyplomacją w latach 1997–2000 jeszcze za jego życia przeszedł do historii. To Bronisław Geremek 12 marca 1999 roku, w imieniu rządu Rzeczypospolitej Polskiej przekazał na ręce sekretarz stanu USA Madeleine Albright (z którą związany był wspólnotą losów i przyjaźnią) akt przystąpienia Polski do Traktatu Północnoatlantyckiego ostatecznie przesądzający o przynależności Polski do świata Zachodu oraz o losach Europy Środkowej.

W 2000 roku stworzył nową strategię polityki polskiej wobec Federacji Rosyjskiej. Polegała ona na jednoczesnym wspieraniu demokratycznych dążeń krajów postkomunistycznych oraz pokojowym rozwiązywaniu kwestii spornych na linii Warszawa – Moskwa.

Był oficerem francuskiej Legii Honorowej. Został nagrodzony Orderem Wolności, wyróżnieniem Instytutu Franklina i Eleonory Roosevelt. W 1998 roku wyróżniono go międzynarodową Nagrodą Karola Wielkiego. Wśród wielu innych przyznano mu dwa najważniejsze odznaczenia niemieckie: Order Zasługi RFN w klasie Wielkiego Oficera oraz najwyższe odznaczenie cywilne: Pour le Mérite. Otrzymał litewski Krzyż Komandorski Orderu Wielkiego Księcia Giedymina, Order Zasługi Republiki Włoskiej I klasy, estoński Order Krzyża Ziemi Maryjnej I klasy oraz chilijski Krzyż Wielki Orderu Zasługi. Został uhonorowany także najwyższym polskim odznaczeniem państwowym Orderem Orła Białego.

Jego życie było niezwykłym świadectwem służby Ojczyźnie. Senat Rzeczypospolitej Polskiej, ustanawiając rok 2022 Rokiem Bronisława Geremka, oddaje Mu szczególnie hołd, wyraża szacunek oraz wielkie uznanie dla Jego dokonań świadczących o umiłowaniu Ojczyzny i rodaków. Dobrze służył Polsce.

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Rzeczypospolitej Polskiej „Monitor Polski”.

MARSZAŁEK SENATU

Tomasz GRODZKI



Bronisław Geremek podczas inauguracji obrad Sejmu, 4 lipca 1989 r.

WOJCIECH DRUSZCZ / AFP / EAST NEWS

Droga do Okrągłego Stołu

BRONISŁAW GEREMEK:

Dla działaczy związkowych niemieckich, francuskich czy włoskich możliwość dotknięcia palcem ruchu konspiracyjnego była przeżyciem. Przewodniczący Rady Ekonomicznej UE takiego konspiracyjnego spotkania nie zapomni do końca życia. To było przeżycie romantyczne.

ANDRZEJ FRISZKE: Zamknęli Pana w maju i wypuścili w lipcu, podobnie jak Bieleckiego.

BRONISŁAW GEREMEK: W grudniu 1982, po wyjściu z internowania, postanowiliśmy zrobić raport „5 lat po Sierpniu”. Był to efekt spotkań grona doradców, które odbywały się na Pradze, gdzie lokal załatwił Andrzej Wielowieyski. Potem pojawiła się idea czegoś, co nie miałoby formuły doradczej, lecz przedstawicielską. Wynikało to także z rozmów, które miałem ze Sławkiem Bieleckim w więzieniu na Rakowieckiej.

Po wyjściu Sławka mieliśmy spotkanie na Mokotowskiej, w prywatnym mieszkaniu. To było w momencie, kiedy władza robiła wielką akcję rozmów – tysiąc, dwa tysiące wezwań... Bielecki powiada: „Skoro pan mówi, że trzeba robić przedstawicielskie struktury, to mamy przed-

stawicielską strukturę – właśnie tych wezwanych”. Potem mówiliśmy o tym z Adamem Michnikiem, po jego wyjściu z więzienia latem 1984.

Tak więc pojawiła się koncepcja, którą przedstawiłem Wałęsie: powołanie ciała, które by miało charakter nie tylko doradczy, ekspercki, ale także przedstawicielski. I robiłem to z Wałęsą i Andrzejem Celińskim, który był sekretarzem. Od samego początku zatem było zamierzenie, aby to była instytucja związana z Lechem. Dlatego później w Komitecie Obywatelskim nie wybieraliśmy przewodniczącego i prowadziliśmy wszystkie spotkania z Wałęsą.

Chcieliśmy, by ta rada zabierała głos: by pojawił się głos suwerennego społeczeństwa. To była konsekwencja naszej koncepcji społeczeństwa obywatelskiego, budowania społeczeństwa poza władzą.

W maju 1983 roku aresztowano Pana za wywiad dla włoskiego pisma „Il Tempo”. W notatce SB Pana przestępstwo tak opisano: „Lansuje tezę, że władza państwowa – z uwagi na brak wiarygodności w społeczeństwie – nie jest zdolna do skutecznego rozwiązania kryzysu. Podsuwa koncepcję ugody społecznej, która opierać się [ma] na reaktywowaniu struktur b. NSZZ »Solidarność«, powszechnej amnestii, potraktowaniu działaczy Solidarności jako partnera do rozmów. W treści wywiadu można dopatrywać się elementów szkolenia naczelnych organów PRL i rozpowszechniania wiadomości w celu wywołania niepokojów społecznych oraz lansowania, na użytek zachodniego czytelnika, fałszywego obrazu sytuacji w Polsce”.

Zadzwonił do mnie dyrektor departamentu MSW, Pietruszka: „Proszę pana, mamy pewną sprawę do pana. Czy pan jest w domu?”. „Nie, wychodzę za kwadrans”. „Gdyby pan zechciał poczekać”. Po 15 minutach podjechały wozy i mnie zabrali.

Uważali, że jest Pan kluczową osobą w środowisku doradców. Głównym ich celem było odsunięcie Pana od Wałęsy.

W ich intencje trudno mi wchodzić. Kiedy pani prokurator Jackowska ze mną rozmawiała – bo decyzję wsadzenia mnie podejmowała pani Bardonowa – powiedziała mi, że to jest związane z moimi zagranicznymi powiązaniami. Nie mówiła o sprawach wewnętrznych. Natomiast przy jednym z przesłuchań oficer śledczy powiedział: „Mamy dowody, że przygotowywał pan działania, które miały wywrócić porządek publiczny w naszym kraju”. Ale bez szczegółów...

Jak opowiadał mi Ryszard Bugaj, redagowaliście i wysyłaliście do Wałęsy różne notatki, informacje, odbywaliście z nim spotkania. Bugaj wymienia Pana, Wielowieyskiego, Celińskiego, Mazowieckiego i siebie jako grupę, która potem będzie komitetem redakcyjnym raportu „5 lat po Sierpniu”.

Robiłem to z Tadeuszem Mazowieckim, a sekretarzem był Celiński. Innych →

→ zapraszaliśmy, wśród nich Ryszarda Bugaja.

Jak Pan korespondował z ukrywającym się Bujakiem?

Byli specjaliści łącznicy, dzięki którym miałem stałą możliwość kontaktu. Pamiętam spotkanie ze Zbyszkim na ul. Kubusia Puchatka. Miałem wszystkie instrukcje, wchodzę do mieszkania, otwiera mi pani, która coś mówi o cieście. Mówię: „Przepraszam, że tak...”. Na co ona: „Z wami nie można konspirować, jak wy hasła zapominacie”. Bo zdaje się miałem coś powiedzieć, nim wejść do środka.

A jeśli chciał Pan dotrzeć bezpośrednio?

Miałem kilka kontaktów. Na Żoliborzu Stanisław Rusinek z „Mazowsza”. Poza tym różni chłopcy brodaci. A jak mnie zawożono? Dwa samochody zmieniałem po drodze, potem na Solcu klatka przejściowa, po drugiej stronie czekał trzeci samochód.

A przesyłanie korespondencji?

Cały czas miałem kontakt z Tymczasową Komisją Koordynacyjną, głównie z Bujakiem i ze Stawiszyńskim, ale zasadnicze było poczucie związku z Lechem. Lech wiedział o wszystkich moich kontaktach z TTK. Nie było tak, że on temu patronował, miał napięte stosunki z TTK, ale o moich kontaktach z nimi wiedział. Z naszego grona tylko ja miałem kontakt z siecią TTK. Poza tym mieliśmy inny sposób działania, który zakładał jawność. Raport też robiliśmy jawnie, chodziło tylko o to, by go nie przechwycili, nim znajdzie się tam, gdzie powinien.

Był to chyba jedyny dokument polityczny ze środowiska opozycyjnego, który wywołał rezonans w kierownictwie partii, stał się przedmiotem obrad Sekretariatu KC jako poważne zagrożenie. Czy mieliście jakikolwiek ślad, że to zostało zauważone?

Żadnych. Nie mieliśmy bowiem żadnych kontaktów. Jeśli były jakiegokolwiek, to przez Kościół.

A na przykład przez takich ludzi jak Wiatr?

Nie. To był mur całkowity. Żadnych kontaktów, żadnych rozmów. Jak mnie

Była presja, by „S” nabrała charakteru chrześcijańskiego. Zapytałem o to Prymasa. Powiedział: „Wielkość Solidarności polega na tym, że to nie jest wyznaniowy związek, ale potężny ruch, z którym całe społeczeństwo może się utożsamić”.

widzieli, to przechodzili na drugą stronę ulicy.

Chciałbym Panu pokazać dokument z przetomu 1984/1985.

Nasyłali na mnie do pracowni historii kultury średniowiecznej obserwatorów, ale poza tym nasyłali kontrole NIK-u. Kiedyś przyszedł kontroler, sprawdzał listę obecności; chodziło o to, czy jeżdżąc do Gdańska, jednocześnie nie podpisuję się na liście obecności w Instytucie. Potem mówi: „Zakończyłem kontrolę, może byśmy na kawę poszli? Chciałem panu powiedzieć o systemie naszym, bo pan mało zna nasz system gospodarki. Nigdy do planu nie wpisuje się tego, czego się jeszcze nie zrobiło. Tu pan dał plan i ja powinienem napisać, że nie został wypełniony. Ja panu daję dobre rady. Proszę wpisać do planu tylko to, co już zostało zrobione”. Przecież on przyszedł z poleceniem, żeby stwierdzić, że nie wykonuję obowiązków. A raport poszedł, że obowiązki wykonałem... I mieli kłopoty.

Oni Pana naprawdę nienawidzili, bo nie mogli Pana zniszczyć [okazując dokument].

Rzecz, o której tu piszą: w 1984 roku w Gdańsku miałem referat „Polska między Wschodem i Zachodem”, na który przyszedł konsul generalny ZSRR. Mówiłem głównie o średniowieczu.

Konsul spowodował jakieś interwencje na szczeblu KC. I oni się wtedy już porządnie wzięli za to, by Pana wyrzucić z PAN-u.

No bo inspektor NIK-u to nie konsul.

Sekretarz KC pisze, by Pana wyrzucić z pracy w PAN, decyzję podjął sam Jaruzelski. Próbują Pana ubrać w kontakty z międzynarodowym terroryzmem.

Naprawdę? (śmiech)

To było też związane z Pana wyjazdem naukowym do Berlina Zachodniego.

Stypendium Wissenschaftskolleg. Zostałem zaproszony i wtedy ukazał się w „Trybunie Ludu” artykuł ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych, którego potem wysyłałem – na prośbę Mazowieckiego – na ambasadora do Sofii.

Generała Pożogi.

Tak. Kiedy przekazałem, że przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu wyraża zgodę, zadzwonił, by podziękować: „Ja pana zawsze tak szanowałem”. Mówię, że czytałem artykuł w „Trybunie”. „Ja tego artykułu nie napisałem, dali tylko mój podpis”. A tam było napisane, że głównych organizatorów antypaństwowej działalności zapraszają ośrodki dywersyjne, żeby im zapłacić za działalność. I pojawiła się jakaś niewiarygodna suma rocznego stypendium. Wissenschaftskolleg miał raz noblistę jako gościa. Zasadą jest, że dają tam takie same warunki, jakie się ma w swoim kraju: więc noblista otrzymał wysokie stypendium.

Koniec 1985 i początek 1986 roku to czas, gdy TTK przygotowuje podziemny zjazd „S”, kryptonim „Grobla”. Czy Pan jest jakoś konsultowany? Jak Pan to oceniał?

Przekonywałem do tego Lecha Wałęsę, który uważał, że to są działania prowokacyjne. Mówiłem mu, że struktura podziemna ma inny sposób działania: jeżeli taka struktura odchodzi od akcji indywidualnej, radykalnej i próbuje czegoś o szerszym charakterze, to bardzo dobrze. Ale obawiałem się, że to może doprowadzić do załamania struktury podziemnej. Cała siła jest po stronie systemu. Znaczenie ma trwanie struktur, ukrywający się Bujak, podziemna prasa, a nie zgromadzenie.

Według opowieści Stawiszyńskiego na to spotkanie miał być przywieziony Wałęsa. Przygotowano szereg

dokumentów. Mam tu jeden, który znalazłem w papierach Andrzeja Wielowieyskiego.

[Czyta] Chodziło o to, że w reakcji Zbyszka na nasz raport było trochę irytacji. Że coś takiego powstało, i to powstało poza TKK. Nie zawiadamiałem, co szykujemy, choć Zbyszkowi chyba kiedyś powiedziałem. Ale poza tym dla nich to było nadmiernie teoretyczne, wyważone, no i nieplanowane. Zbyszek pisał mi wtedy, że to jest takie intelektualne, co robimy, a tu musi być plan akcji. Miałem kilka takich dokumentów „Grobli” – dwa, trzy. Coś Zbyszkowi odpisałem, ale tych dokumentów nie puściłem w obieg.

To spotkanie, o którym Pan wspominał, nie było związane z przygotowywaniem „Grobli”? Ona miała się odbyć wkrótce.

Miało na celu omówienie sposobu mobilizacji międzynarodowej opinii publicznej. Zbyszek uważał, że zwłaszcza Niemcy głoszą pozytywny wizerunek podziemnej Solidarności. Mówiłem mu, że Wałęsa tak, natomiast co do podziemnej „S” mogą mieć strach i obawy. I przesadzałem, dlatego że przeciwnie: dla wszystkich działaczy związkowych niemieckich, francuskich czy włoskich możliwość dotknięcia palcem ruchu konspiracyjnego była przeżyciem. Do tej pory spotykam ludzi, których tam kierowałem. Przewodniczący Rady Ekonomicznej UE takiego konspiracyjnego spotkania pod Warszawą nie zapomni do końca życia. To było dla niego przeżycie romantyczne.

Po aresztowaniu Bujaka w 1986 roku Pan jest na widelcu, bo w czasie rewizji u niego znaleziono Pana rękopis. Przestluchują Pana 20 razy, chcą wsadzić.

Tak. To było chyba po wizycie Willy’ego Brandta. Brandt był w Warszawie, zaprosiłem go z Wałęsą, napisaliśmy list, przyjechał pośrednik, niemiecki dyplomata, w końcu Brandt odmówił: uznał, że spotka się tylko z przedstawicielami KIK-u. Pamiętam, że miały miejsce rozmowy, abym wszedł do delegacji KIK-u, ale się nie zgodziłem.

Rozmawiał oczywiście z Jaruzelskim. A ja miałem zaproszenie na uniwersytet w Utrechcie, o czym Brandt wiedział, i uzyskał od Jaruzelskiego przyrzeczenie,

że będę mógł pojechać. Nagle dostaję wiadomość, że mam paszport. A następnego dnia rano przychodzi oficer UB z wezwaniem. I tak mnie wzywają codziennie od ósmej rano do piątej.

Skarżyli się potem Kuroniowi: „Pan jest wspaniały człowiek. Przy Geremku trzech oficerów musi być i każdy bierze valium po rozmowach. Bo odmowa zeznań to jeszcze, ale on jak sęp się rzuca: »czy pan zapisał, że niezgodnie z przepisami«...”

Porozmawiajmy o relacjach Wałęsa – Episkopat i „S” – Episkopat.

W 1981 roku miałem rozmowę sam na sam z Wyszyńskim. Była przecież presja, by „S” nabrała charakteru chrześcijańskiego związku zawodowego. W pewnym momencie zapytałem o to Prymasa. Powiedział: „Wielkość Solidarności polega na tym, że to nie jest wyznaniowy związek, ale potężny ruch, z którym całe społeczeństwo może się utożsamiać”.

W 1983 czy 1984 roku odbyło się spotkanie w Sekretariacie Episkopatu u abp. Dąbrowskiego. Był Olszewski, Chrzastowski, Wałęsa, może Mazowiecki. Dąbrowski mówił, że musi przedstawić stanowisko Episkopatu: chodzi przecież nie o to, by był związek zawodowy, ale o przybliżenie niepodległości Polski. To powinniśmy wspierać. A zatem, jeżeli by była propozycja, aby nie „S”, ale chrześcijańskie związki zawodowe, to jaka by była panów opinia. No i tutaj miało miejsce wspaniałe przemówienie Lecha, w duchu stanowiska Prymasa: „Jestem chrześcijaninem, ale nie chcę chrześcijańskiego związku zawodowego, bo bym potem dzielił, pytał się, czy ty jesteś chrześcijanin, czy nie”.

Poglądy wyrażone w czasie tej rozmowy były różne, ale stanowisko Lecha krystalicznie jasne. Potem arcybiskup powiedział: „W tej sprawie Kościół nigdy nie podejmie decyzji, nie powie stronie rządowej, że akceptuje. Tu się społeczeństwo musi wypowiedzieć. Jeżeli ktoś reprezentuje społeczeństwo, to właśnie Solidarność”.

Władze w gruncie rzeczy miały cały czas tę nadzieję. Zdaje się, że Rakowski w jednej z rozmów w Sekretariacie Episkopatu powiedział: „Musicie zrozumieć, że my nie możemy mieć zaufania do tego anarchicznego ruchu. Nie po to wprowadziliśmy stan wojenny. Natomiast Ko-

ściół jest instytucją poważną: jeżeli poprzez chrześcijańskie związki, to wiemy, z kim rozmawiać”.

Przejdźmy do genezy oświadczenia sześćdziesięciu trzech w maju 1987 roku. Czy nie miała to być alternatywa dla Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa? Tam Rada przy Jaruzelskim, tu grono przy Wałęsie.

Rada Konsultacyjna to dla nas było bagno. Z przykrością przyjęliśmy, że pewni ludzie tam poszli. Natomiast ani przez moment nie traktowaliśmy tego serio. Jeszcze raz Front Jedności Narodu...

Październik 1986 – powstaje Tymczasowa Rada Solidarności. Jakiś ubek cytuje Pana opinię jako jednej z osób, która wymyśliła koncepcję Rady jako próby wybicia się na jawność.

[Czyta] Rzeczywiście, to był mój pomysł.

Chciałbym zapytać o okoliczności. Musiały być jakieś rozmowy z Wałęsą, Lisem, Frasyniukiem, Bujakiem.

We wszystkich tych sprawach miałem kontakt z Bujakiem. Natomiast TKK działała jako struktura podziemna. I funkcjonowała sztorcem do Wałęsy. Oni mieli przekonanie, które wytworzyła konspiracja – manichejski podział świata.

© Rozmawiał ANDRZEJ FRISZKE

Rozmowę z Bronisławem Geremkiem przeprowadziłem w 2005 r., w trakcie badań, które zaowocowały książką „Solidarność podziemna 1981-1989” (ISP PAN 2006). W czasie rozmowy odwoływałem się do treści różnych dokumentów wytworzonych przez SB, znalezionych przeze mnie w archiwum IPN. Ich sens streszczałem w pytaniach, Profesor oglądał i komentował dokumenty. Relacja pierwotnie nie była przeznaczona do druku, nie mówiliśmy więc o sprawach dla nas oczywistych, nie streszczaliśmy znanych nam tekstów, w tym raportu „Polska 5 lat po Sierpniu”.

Rozmowa została po raz pierwszy opublikowana w „TP” nr 30/2008.

HANNA

Krall:

Pora w ich życiu



I Rozmowy, strzępy rozmów sprzed czterdziestu lat – o wojnie sprzed osiemdziesięciu.

Z J.S., profesorem, historykiem idei.

Przypomniały mi się, nie wiem dlaczego.

Może dlatego, że mówiliśmy o zakłamywaniu wojen.

...Od wielkiego kłamstwa zaczęła się pamięć o wojnie.

Było społeczeństwo – z jego sentymentami, wspomnieniami, nadziejami, doświadczeniem i obrazem wojny, i była oficjalna propaganda – z „zapłutym karłem reakcji”.

...Zapłuty karzeł zniknął potem, ale już nigdy oficjalny obraz nie zbiegł się z obrazem społecznym.

...Nigdy nie mówiono o wojnie na serio. Mówiono, że wszyscy byli dobrzy, jednakowo dzielnie walczyli z wrogiem i jednakowo cierpieli. A wojna była nie tylko sprawą między Niemcami i Polakami. Była sprawą między samymi Polakami (i mówiąc szczerze to profesora J.S. interesuje w wojnie najbardziej).

...Sierpień był okazją dla rewindykacji intelektualnych, ale żadne przemyslenia nie dokonały się.

...Czas po Sierpniu nie był czasem przemysleń. Był to czas ekspresji. Sprzyjał raczej utrwalaniu schematów i podziałów niż poszukiwaniu nowego porządku.

...Każda ze stron chciała dobra narodowe sobie zawłaszczyć. Chciała przedstawić siebie jako dziedzicę najcenniejszych wartości. Druga wojna światowa jest nam najbliższa, więc walka o prawa do niej jest żywsza niż walka – powiedzmy – o Tadeusza Kościuszkę.

...Dla wielu ludzi wojna była najważniejszą porą w ich życiu.

...Wielu ludziom nie zdarzyło się nic równie prawdziwego i ważnego ani przedtem, ani potem. Była to jedyna w ich życiu pora, kiedy uzyskali swoją najwyższą miarę. Nie był to heroizm batalistyczny. Był to heroizm decyzji moralnych, które człowiekowi w normalnym życiu z rzadka się zdarzają.

...Z tej jedynej w życiu pory pozostaje świadomość, że istnieją rzeczy na serio.

...Robi się w codziennym życiu to i owo, nie mając przekonania, że to jest ważne. Przeżywa się życie na niby – w celach, które są pozorne. Od czasu do czasu życie staje się na serio – kiedy wiemy, że coś ważnego zależy od nas samych.

To była jedna z wielu polskich wojen. Bo była jeszcze wojna w Rzeszy i wojna na Śląsku, wojna na wsi i wojna za Bugiem, i były to całkiem inne kręgi doświadczeń. Tak się złożyło, że tamte wojny się nie liczą. Pozostał jeden wariant, który narzucono całej Polsce. Bez trudu zresztą, bo do tego heroicznego wariantu najmilej się przyznać... Do ludzi, którzy wiedzieli, jak żyć. Którzy żyli wielkimi sprawami, a temu, z czego żyć, wiele uwagi nie poświęcali.

II Moja osobista wojna skończyła się w Milanówku, w miejscu o nazwie Polesie.

Skończyła się dzięki Armii Czerwonej.

Armia przyszła do mnie późnym wieczorem.

Nie przyszła. Wczołgała się.

Leżeliśmy na podłodze, na siennikach. Ludzie z powstania warszawskiego – kobiety, dzieci, gruźlik, który starał się nie kasłać... Stare kobiety tylko, bo młode schowały się do piwnicy. Wiadomo było – będą rabować, zegarki zwłaszcza, i będą gwałcić, więc kobiety schowały się razem ze wszystkimi zegarkami.

Nie mieli siły ani na gwałt, ani na rabunek. Uwalili się na podłogę, ale każdy przykłąkł najpierw. I przeżegnał się – po prawosławnemu, po parę razy.

Jak stare kobiety zobaczyły, że klęczą, że się żegnają, zerwały się z sienników. Rzuciły się do piecyka, do garnka z kawą, tą okupacyjną, z cykorii. Nalały do kubków i podały żołnierzom. Żołnierze nie mieli siły pić, więc kobiety unosiły im głowy i wlewały kawę do ust.

Przy moim sienniku leżał na podłodze młody żołnierz. Miałam dziewięć lat, mógł mieć dwa albo trzy razy więcej.

Czułam smród jego munduru.

Nie spałam. Wiedziałam – rano pójde do szkoły. Najlepiej na ósmą. Do szkoły, pierwszy raz! Bardzo byłam w tym Milanówku szczęśliwa.

Przed świtem żołnierze obudzili się.

Bez słowa przyszli do nas i bez słowa sobie poszli.

Pewnie na zachód.

Może na południe.

Dziesięć dni później wyzwolili Oświęcim. Ci albo inni, wszystko jedno.

III Jest wojna.

U nas – na razie w telewizorach i na ekranach telefonów komórkowych.

Jest żołnierz rosyjski wzięty do niewoli.

Żołnierz ma torbę.

Na ekranach widać jej zawartość – kredki, zeszyt, kątomierz, latarkę i osiem książek.

To podręczniki. Tytuły są czytelne, książki uczą *strzelby i uprawiania ogniom artylerii* – kierowania strzałami i ogniem.

Dwa podręczniki są przeznaczone dla sierżanta artylerii i wojsk rakietowych.

Na górze okładki widnieje napis – Ministerstwo Obrony SSSR.

SSSR nie istnieje od trzydziestu lat, żołnierz uczył się z bardzo starych podręczników.

Dlaczego nosił je w torbie i zabrał na front?

Do egzaminów się uczył?

Miał kierować ogniem artylerii i chciał dowiedzieć się, jak się to robi?

IV Żołnierz wzięty do niewoli mógłby być wnukiem któregoś z tamtych, z sienników w Milanówku. Ewentualnie – prawnukiem.

Na przykład tego, który leżał koło mojego siennika.

Dlaczego nie miałby być jego prawnukiem? Przecież to całkiem możliwe.

V Matka rosyjskiego żołnierza przyjedzie po niego i zabierze do domu (proponują ukraińskie władze).

Żołnierz odzyska wolność.

Wojna się skończy.

Żołnierz będzie wojnę pamiętał do końca życia. Złagana wojna będzie najważniejszą porą w jego życiu.

Dla wielu pokoleń po obu stronach frontu będzie to pora najważniejsza. Będzie wojną, która unieważni wszystkie wojny poprzednie.

Nawet tę z Oświęcimiem.

©

J.S. – Jerzy Szacki (1929-2016).

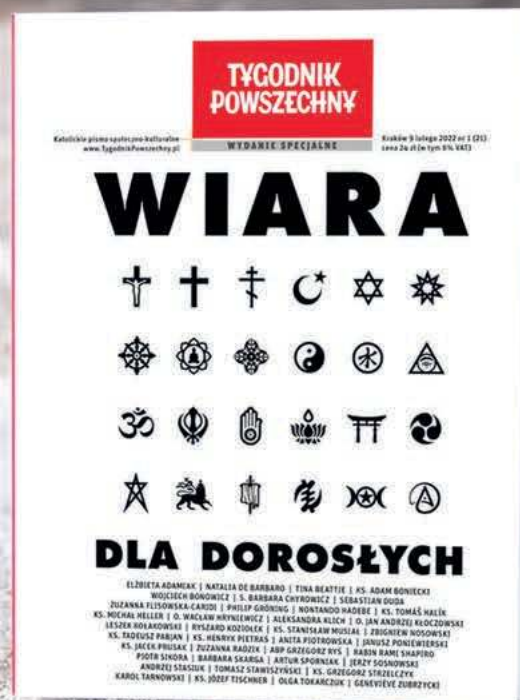
Fragmenty naszej rozmowy przytoczyłam dość dowolnie i nieco chaotycznie.

Ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” pt. „Rzeczy najważniejsze” 12 września 1982 roku.

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.

Olga Tokarczuk

w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim
„Tropem herezji”



Czytaj więcej

w najnowszym wydaniu specjalnym
„Tygodnika Powszechnego”

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych”
dostępne w najlepszych miejscach z prasą.

Sprawdź na
TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

WSZYSTKO POLITYKĄ JEST

BARTOSZ FISZ WAGLEWSKI, MUZYK:

Pamiętam, że przerażała mnie brutalność wojny w Jugosławii. Do moich dzieci dopiero dociera, że coś takiego jak wojna może zdarzyć się w świecie, w którym przed chwilą tańczyłeś na Tik-Toku.

BARTEK DOBROCH: Nasze spotkanie z okazji wydania Twojej nowej płyty „Ballady i protesty” przekładał covid, a – mówiąc tytułami Twoich piosenek – oczekiwanie na „dobre wieści” przerwały „nie za miłe wiadomości”.

FISZ: Po prostu – złe. Ich skala jest zaskakująca. Gubiąc się od dawna w naszych polskich „wojnach” czy tłumacząc świat moim dzieciom, staram się uporać ze skrajnościami, pod którymi sam nigdy nie potrafiłbym się podpisać. I to nie na politycznej scenie, ale też w agresywnym języku, którym posługujemy się w internecie. W jego lawinie przepadają głosy rozsądku. Zastanawiałem się, czy jesteśmy się w stanie dogadać w prawdziwie kryzysowych sytuacjach. W pandemii nie zdaliśmy tego egzaminu. Żyjemy w świecie ostrych, nieprzemyślanych słów wypowiedzianych przez ludzi zupełnie niekompetentnych – one nas zdominowały. Od płyty „Mamut”, na której śpiewałem z Kasią Nosowską utwór „Wojna”, nie opuszcza mnie przekonanie, że to nie może się dobrze skończyć.

To było w 2014 roku. W refrenie: „Jeśli serce masz, to nie bój się”, słysząc jednak nadzieję.

Bo ja ją cały czas mam, przecież jestem ojcem. Ale co robić, kiedy każdy autorytet, czy to lekarz, politolog czy specjalista od wojskowości, jest zakrzykiwany? Kiedyś szarpaliśmy się po szkole za mundurki, umawialiśmy się na solówki, dziś układamy się w internecie, gdzie nie widzimy nawet swoich twarzy. Wszystkie

koszmary świata tam się przeniosły. Docieranie do prawdy jest tak trudne, że czasami wydaje się wręcz niemożliwe. Rozmawiam na ten temat z dziećmi. Czas pandemii był dla nich, szczególnie tych dojrzewających, bardzo ciężki, depresyjny.

A czy młodzież nie poradziła sobie z tym jednak lepiej niż my, bo i tak nie zna świata bez internetu?

Nie uważam internetu za czyste zło, bo mamy tam choćby wspaniałe akcje pomocowe. Ale ma wbudowany mechanizm do tworzenia utopijnego świata, który wyrzuca całe grupy osób, które nam nie pasują. Dużo mówię na nową płytę o dysonansach, z powodu których cierpię. Wydawało się, że żyjemy w świecie niemal jak z marzeń, bez zagrożenia. Tymczasem przerażają mnie kolejki u psychiatrów, psychologów, bardzo duża liczba dzieciaków z próbami samobójczymi. Młodzież dziś eksperymentuje inaczej, niż my to robiliśmy – zapuszczając czy utleniając włosy, żeby wyglądać jak Kurt Cobain albo Beastie Boys. Uzależnieni od internetu, mediów społecznościowych, w czasie covidu sami diagnozują sobie depresję czy poglądy polityczne. A w internecie mało jest środka, bo on nie przynosi łatwych lajków. Rozumiem tę potrzebę wyrazistości, mam jednak wrażenie, że i ona jest efekciarska, nieprawdziwa. Nie ma edukacji seksualnej, więc dzieciaki odnajdują coachów, trendsetterów, którzy nie tyle nie mają wiedzy, co moralnego kręgosłupa, by opowiadać o tych rzeczach. I robią krzywdę. Gdy rozmawiam o tym, co się

dzieje w szkole, o depresji, dzieci są już poinformowane, niestety często z szemranych stron. Uczę się ich świata, nie jest to łatwe.

Wasza piosenka uświadomiła mi, że mając niespełna 40 lat, też już jestem boomerem.

Zwrot „OK boomer!” usłyszałem od syna. Ma on jednak długą historię. Amerykanie używali tego słowa, gdy my mówiliśmy na ojców „wapniaki”. Przypomniała go niedawno nowozelandzka posłanka po wystąpieniu człowieka poczuającego młodych ludzi. Sam bardzo nie lubię mentorskiego tonu. Ale mamy swoje racje, obawy, zwłaszcza wychowując dzieci i bojąc się utraty kontaktu. Gdy ja chodziłem z odwróconymi krzyżami i pentagramem na szyi, ojciec powiedział, że to już jest przesada. Zdjąłem więc pentagram, choć nadal słuchałem norweskiego black metalu, siedząc w swoim pokoju. Przepaść międzypokoleniowa wyrażała się też na szukaniu nowego wyrazu w hip-hopie, podśmiewaniu się z długich włosów i skórzanych spodni w muzyce rockandrollowej. Mieliliśmy jednak poczucie, że starsze pokolenie ma jakąś wiedzę o świecie. A teraz dostrzegam utratę szacunku do wiedzy ludzi, którzy trochę więcej przeżyli, i do ich wykształcenia. Boję się, że sami zaczniemy się obawiać przekazywania naszych doświadczeń dziecku. Zastanawiam się, jak moje dzieci poradzą sobie z prawdą o tym świecie. Chociaż nasze pokolenie też utknęło w bieżącej politycznej i utopii, które dzisiaj pękają z hukiem. Jeżeli po aneksji



Krymu politycy nadal uważali dyktatora za partnera biznesowego, to oznacza, że daliśmy ciała. Byliśmy ślepi na tę erozję, na ten długofalowy plan, żeby nas wszystkich zatopić w chaosie.

Nasze pokolenie wojnę знаło głównie z amerykańskich filmów o Wietnamie, a potem z widzianych w mediach krwawych starć w Jugosławii.

„Pamiętam te nazwy: Sarajewo. Vukovar. Aleja Snajperów”

– pisze Piotr Stankiewicz w książce „Pamiętam”, w której każde zdanie zaczyna się tym słowem.

Pamiętam, że przerażała mnie brutalność tej wojny. Ale gdybyś mnie zapytał, czego się bałem w zeszłym roku przed Wigilią, to miałbym problem z odpowiedzią. Podobnie jak moje dzieci zapytane, czego słuchały trzy miesiące temu.

BARTOSZ FISZ WAGLEWSKI

jest muzykiem, kompozytorem, wokalistą, autorem tekstów, producentem muzycznym, założycielem i członkiem grup Tworzywo Sztuczne, Bassisters Orchestra, Kim Nowak, w których działał i działa z bratem, Piotrem Emade. Razem tworzą muzykę także z ojcem Wojciechem Waglewskim. Ich ostatnią rodzinną płytą są wydane w 2020 r. „Duchy ludzi i zwierząt”. Z kolei pod koniec ubiegłego roku ukazały się „Ballady i protesty” grupy Fisz Emade Tworzywo.

Do nich dopiero dociera, że coś takiego jak wojna może zdarzyć się w świecie, w którym przed chwilą tańczyłeś na Tik-Toku do utworu Trvisa Scotta.

W latach 80. ludzie tańczyli na dyskotekach do hitów takich jak „Enola Gay”, „I Won’t Let The Sun Go Down On Me” czy „Dancing With Tears In My Eyes”, które w treści artykułowały lęki przed atomową zagładą.

Każdy ma skłonności do idealizowania swojego pokolenia. Wtedy na pęczki było także złych polityków. Cieszę się, że dzisiejsi młodzi rozmawiają na bardzo trudne tematy, są tak świadomi ekologicznie, ale martwię się, jak sobie poradzą z tym jadem atawizmów, które cały czas w człowieku buzuje, z hipokryzją, żądzą władzy i wojny.



→ **Pisałeś „Wojnę”, gdy toczyła się ona w Donbasie i w Syrii. Czy to te wojny rezonują w tej piosence?**

Tak. I to, co działo się w Polsce. Pisałem o ludziach, którzy tęsknią do wojen.

Czy gdy patrzysz teraz na obrazy z polskich granic, dworców, refren innej piosenki, „szukam ludzi/ dobrej woli dobrych ludzi”, przynosi spełnienie odnalezienia?

To wybudza mnie z pesymizmu, który miałem po sytuacjach covidowych, gdy znajomi lekarze dostawali maile z pogrozkami. Kiedy pisałem płytę „Ballady i protesty”, nie dawało mi spokoju to, że w momencie, gdy mamy problemy globalne, otwieramy tyle frontów walki. Ale nie cieszę się przecież tym, że musiał nastąpić aż tak dramatyczny w skutkach test naszej jedności, gotowości. Większość z nas zdaje egzamin, gorzej z politykami.

20 lat temu rapowałeś „nie chcemy żadnej polityki”, a przez trzy ostatnie płyty przewija się motyw, że „wszystko polityką jest”. Skąd zmiana?

Gdy zaczynałem, miałem 23 lata i w głowie totalną niechęć do polityki, mimo że dużo się o niej mówiło w moim domu. Nie miałem miejsca, żeby się polityce przyglądać, wokół mnie działały się dużo ciekawsze rzeczy. Robiłem swoją rewolucję, wyrzucając gitary elektryczne i wychodząc z DJ-em na scenę.

Choć też myślałem, że to my zmienimy świat. I zmieniliśmy go w niezłe bagno. Wprawdzie większość polityków jest ze starszego pokolenia, ale nie brakuje młodych pistolecików, którzy świetnie orientują się w instagramach i skrótowych informacjach twitterowych.

Prawie nie ma też tematu apolitycznego, może pogoda.

Też nim nie jest! Jak ktoś widzi śnieg, to mówi: „O, i co, lewaki, z tym waszym globalnym ociepleniem?”. Korzenie takiego języka są w rewolucji internetowej. Tam nie ma „dzień dobry”, „proszę pana”, „przepraszam” i „do widzenia”, czego mnie uczono. Jest bardzo bezpośrednia komunikacja, przypominająca bitki w klatce. Mądrzy ludzie, choć próbują, nie przebijają się przez tę całą papkę, tę niesamowitą ilość śmieci. One istnieją nie tylko dlatego, żeby nas wszystkich

Krew mnie zalewa, gdy słyszę, że artysta nie powinien się angażować w sprawy polityczne, społeczne.

Tak może mówić osoba słuchająca muzyki w radiu, w którym wypełnia ona lukę między reklamami.

przygniść, wprowadzić w stan otępienia, tylko dlatego, że jest zapotrzebowanie na rzeczy, które kiedyś nie mieściły się w głowie. Świat oszalał. Potrzebujemy jakiegoś wstrząsu, żeby nie zgłupieć, żeby mądrość nie była *passé*. Bo mądrość, empatia, miłość to takie rzeczy, w które wierzę. Chciałbym tylko, żeby tym kubłem zimnej wody nie była wojna.

Może tytuł twojej piosenki „Mój kraj znika” brzmiałby dziś „Mój świat znika”? Czy nie za bardzo skupialiśmy się na lokalnych problemach?

Teraz na koncertach śpiewam „Mój świat znika”. Ale wtedy trudno mi było nie być skupionym na tym, co lokalne, gdy widziałem ludzi łamanych, wyrzuczanych z radia, w którym też prowadziłem audycję. Widziałem, jak polityka dotyka takich ludzi jak Bartek Gil, który słuchał od lat zespołu Fugazi, jeździł po świecie zafascynowany Bliskim Wschodem, dostarczał mi, eurocentrykowi, dużo wiedzy. Takie osoby zostały nagle wplecione w jakąś zemstę, intrygę czy po prostu ludzką głupotę. Nastąpił koniec, choć dla mojego pokolenia hip-hopowców radiowa Trójka też była przez pewien czas boomerska. Mieliliśmy swoją Radiostację i widzieliśmy z kolei, jak szybko pożera ją komercja. Podobnie było w wytwórniach płytowych. Przychodzili panowie w garniturach, dla których sztuka, kultura, chęć zarażania czymś prawdziwym i wartościowym nie miały żadnej wartości.

To o takich jak oni są „Dresiarze w garniturach”?

Jesteśmy pokoleniem, które pamięta dresiarstwo. Mieszkaliśmy na jednym osiedlu, często mieliśmy z nimi porozumienie, graliśmy razem w piłkę, znaliśmy ich sytuację w domu. W momencie, gdy

zaczęli chodzić grupami, upokarzali słabszych. To upokarzanie było o wiele groźniejsze niż to, że ktoś komuś dał z bańki. Choć ja zawsze, zwłaszcza w klasie licealnej, byłem chudy jak wiór, jak szpileczka z wielką głową. Dresiarstwo w tym momencie to już nie strój, ale pewna mentalność oparta na wyższości i upokarzaniu. Świat oligarchów ma z tym bardzo dużo wspólnego, mówi podobnym językiem wywyższających się głupoli.

Podobne też są ich aspiracje, oczekiwania życiowe.

I ta etyka nowych biznesmenów, wychowanych na równaniach ekonomicznych, w których istotny jest zysk, a to, że ktoś ucierpi, to wypadek nieunikniony. Moja babcia była naciągana na różne fundusze przez banki, które wiedzą dobrze, jak omijać prawo. Traciła swoje pieniądze, nikt jej za to nie przeprosił, nikt nie ponosił odpowiedzialności. Doradcy finansowi, kredytowi, którzy mieli się nią zaopiekować, byli akwizytorami. Sprzedawali produkty nie ponosząc odpowiedzialności, gdy totalnie rozmijały się one z rzeczywistością i wykresami przedstawianymi mojej babci czy mnie, kiedy wybierałem kredyt frankowy.

Źródła wielu problemów diagnozujesz w wolnorynkowych przemianach, a z drugiej strony wracasz do tego okresu z wielkim sentymentem i śpiewasz: „A kiedy przyjdzie czas na pożegnanie/ Zrobimy lata 90. w naszym mieście”.

Idealizujemy te czasy, tak jak część z nas idealizuje trochę PRL albo zapomina o tym, jak było naprawdę. A to było nasze dzieciństwo. Mój brat urodził się w stanie wojennym.

Czego nie mogłeś pamiętać, bo miałeś trzy i pół roku.

Ale pamiętam sceny z tego okresu. Miałem autentyczny podziw dla stojących na ulicach żołnierzy, bo tak działała dziecięca wyobraźnia. Potem dowiedziałem się, jaki to był ogromny cios dla pokolenia mojego ojca i w ogóle dla inteligencji. I tak u mnie jest z latami 90. Wiem, jaki to trudny był czas. Muzyka uczyła angielskiego i empatii. I do tej pory ona ratuje w ciężkich czasach. Bardzo cierpiałem, kiedy nie mogłem koncertować. Nie z powodów materialnych, ale dlatego że czułem, jak zapadam się w sobie. A je-



Koncert grupy Fisz Emade Tworzywo na Top Of The Top Sopot Festival, sierpień 2021 r.

stem z pokolenia, które terapiom jest niechętnie. Poczulem, jak dużo zawdzięczam tej mojej cudownej sytuacji, muzyce, scenie, na której mogę być z kolegami.

Muzyka jest miejscem, w które możesz uciec?

Ale mogę też krzyczeć. Mogę wykrzyczeć to wszystko.

I wykrzykujesz te wszystkie nasze strachy.

Nie dlatego, żeby je oswoić. Dla mnie muzyka to jest komunikat. Może być bez słów wypowiedzianych wprost. Tak było choćby z muzyką funkową, która opowiadała o dobrej zabawie, a wszyscy wiedzieli, że za tym idzie wściekłość Afroamerykanów, którzy walczyli o swoje prawa. Krew mnie zalewa, gdy słyszę, że artysta nie powinien się angażować w sprawy polityczne, społeczne. Tak może mówić osoba słuchająca muzyki do golenia albo w radiu, w którym wypełnia ona lukę między reklamami. O rzeczach bieżących najtrudniej jest mówić bez mentorstwa. Nie bez powodu zakończenie płyty stanowi „OK boomer!”.

Czy ta pokoleniowość „Ballad i protestów”, ucieczka w sentymenty, wynika z rozczarowania ostatnimi latami?

Nie do końca. To jest przypomnienie sobie, kim jestem, czym jest dla mnie

muzyka. A ona była wyrazem buntu, wszystko jedno, czy było to komunizujące Rage Against The Machine czy Bob Dylan sprzeciwiający się wojnie w Wietnamie. Chodzi o to, żebyśmy sobie przypomnieli, jaką ma siłę. Wszystko jedno, czy ruch grunge został dziś pochłonięty przez komercję, albo modę, ale to nie byli zwycięzcy telewizyjnych programów. To byli ludzie, którzy wychodzili na scenę ciągle w tym samym ubraniu, w którym kiedyś naprawiali rowery. Kurt Cobain czasem śpiewa poza tonacją, coś nie stroi, ale to nie ma znaczenia, bo jest w tym moc. Patrzymy na człowieka prawdziwego, który na twarzy ma wypisane to, co w tym momencie przeżywa, a nie uśmiecha się ładnie do kamery numer jeden, a potem do kamery numer dwa. Brakuje mi muzyki, która wali w twarz. Wszystko jedno, czy to dosyć szokująca w swoim czasie muzyka noise’owa czy przebijający się David Bowie. Popularność rapu lub – teraz – trapu bierze się stąd, że ta muzyka coś chce powiedzieć. Nawet jeśli czasem są to głupoty, albo młodzi wykonawcy wpadają w mentorski ton, to jest tam żywe mięso. Bardzo lubimy grać koncerty, ale zupełnie nie interesują nas wyścigi związane ze stylizacją, prezentacją, z pokazywaniem się na sfotografowanych zdjęciach, na których przypominam młodego Iglesiasa. Paradoksalnie pandemia pomogła nam po płycie „Radar” zrobić kilka kroków do tyłu.

Cały odbiór muzyki jest też inny. Czy nie czujesz się właśnie boomersko z tym, że w czasie, w którym młodzież słucha prawie tylko singli, Ty z bratem i zespołem tworzysz właściwie album koncepcyjny?

I o tym też jest „OK boomer!”. Jeżeli młodzieży to nie zainteresuje, cóż... Mnie swego czasu zupełnie nie interesował Bob Dylan, Beatlesi czy Hendrix. Ale muzyka też zatacza pewne koła. Ostatnio moja najstarsza córka sucha Nirvany. I nie ona jedyna w klasie. Jestem boomerem, dobrze się z tym czuję, ale nie jest tak, że nie mam nic do powiedzenia. Pandemia uświadomiła mi, że mam za mało czasu na duperele. Dla kogoś, kto żyje z muzyki i nigdy nie miał do czynienia z wypaleniem, ogromnym zagrożeniem jest to, że ono prędzej czy później przyjdzie.

„Im jestem starszy, tym wiem, jak okrutny bywa świat, / W co was wplątałem” – śpiewałeś w „Ziemi” na wydanym pomiędzy płytami zespołu rodzinnym albumie „Duchy ludzi i zwierząt”. To mógłbyś śpiewać też Twój ojciec, bo jego pokolenie wplątało z kolei nasze w życie oparte na konsumpcji, czerpaniu z zasobów Ziemi i dbałości o przyszłość w sensie głównie materialnym.

↳ Pokolenie moich rodziców zostawiało nam świat, o którym samo marzyło. My musieliśmy ten ciężar dźwigać. A pokolenie moich dzieci ma chęć odcięcia się. Ich świadomość jest potężna, ale często bardzo rozchwiana. Jeżeli postaci mówiące radykalnym językiem, wyzywające ludzi od chorych, nienormalnych, zostają ministrami edukacji, to nie ma też przestrzeni na rozmowę o lękach i obawach rodziców. Z drugiej strony masz aktywistów, którzy chcą dobrze, ale zapominają o rodzicach, którzy są zagubieni. Człowiek, który jest odpowiedzialny za obecne zło, jest z pokolenia dziadków. Nie dogadałby się z moją córką na pewno.

Dwupłytowy album ma właściwie dwa zakończenia: w jednym słyszymy „czekam na dobre wieści”, a w drugim „zmierzam do nicości / a świat się pali – niech się pali”.

To jest ten dysonans, o którym opowiadam od samego początku. Może jedno będzie wynikało z drugiego. Tego się trzymam, choć trudno utrzymać pion w tym gwałtownie zmieniającym się czasie. Miałem taki przeblysłk, że może w covidzie będziemy słuchać mądrzejszych od siebie. Nie do końca się to udało. A dziś jest to pewien chichot historii, że człowiek, który zajmował się komedią, ma większe jaja niż wszyscy politycy i samowzani czy mentorzy. Mówi językiem zrozumiałym, asertywnym, mówi mądrze i jest wśród ludzi. A inni są aktorami z bardzo kiepskiego teatru, z którego każdy chce już wyjść, ale nie może, czeka tylko na dzwonek, kiedy się ta sztuka skończy. Przerazające jest to, że musieliśmy czekać na taki wstrząs, żeby się dowiedzieć, za czym tęsknimy. W polityce, przywództwie, komunikacji. Nadzieja, którą jestem w stanie z siebie w tych diabelskich czasach wykrzesać, jest taka, że może czas cyników się kiedyś skończy. Chociaż im jestem starszy, więcej przeżyłem, wyzbyłem się tej radosnej naiwności i częściej załamuję ręce. Ale „lubię młódzież, bo młódzież jest nadzieją tego świata”.

© P Rozmawiał BARTEK DOBROCH



Annie Ernaux, Cergy, Francja, 2008 r.

Pochodne pochodzenia

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Oto zapis ducha czasów, obraz jednego z kluczowych procesów XX wieku na Zachodzie. Coś się tu robi, coś się myśli, ale mimowolnie. Przecież nie wybiera się wspomnień, tak jak nie wybiera się korzeni.

ANNIE ERNAUX ZACZĘŁA WYMYŚLAĆ „Lata” w przedostatniej dekadzie XX w., tuż po swoich 40. urodzinach. Jednak książka ukazała się dopiero w 2008 r., nakładem oficyny Gallimard. To tam, albo w równie paryskich Flammarion lub Seuil, publikowali ci sławni, którym udało się wyrwać z „konserwatywnej prowincji”: Didier Eribon, Édouard Louis czy James Baldwin (Francuz z wyboru). Ich nazwiska wymienia się dziś jednym tchem, jakby byli literackim kombo. Zdjęcia, na których troje żyjących pisarzy – Ernaux, Eribon i Louis – pozuje razem, krąży w internecie, podobnie jak pochlebne oceny ich książek, które sobie wzajem wystawiają.

Didier Eribon, dzięki „Powrotowi do Reims”, i Édouard Louis, dzięki „Końcowi z Eddym”, są już świetnie znani w Polsce, ale to Ernaux ma na koncie największą liczbę wyróżnień, była nominowana do Nagrody Bookera i typowana na laureatkę literackiego Nobla.

W cieniu dziewcząt

W „Latach” Ernaux wyciąga stare zdjęcia, na których widnieje ktoś obcy: czteroletnia poważna dziewczynka z kokardą we włosach i oznakami krzywicy. Urodziła się w 1940 r. w Normandii, dzieciństwo spędziła w Yvetot, miasteczku szkolnych lat Jeana-Luca Mélenchona, którego kandydaturę w ostatnich wyborach prezy-

denckich we Francji pisarka oficjalnie poparła. Z wojny nie ma wielu wspomnień, tylko anegdoty opowiadane przez dorosłych. Straszne, jeśli dotyczyły głodu zimą 1942 r., zbombardowanego Hawru i zgolonych głów kobiet, które dopuścili do siebie okupantów. Ale lepiej pamiętano przedwojenną biedę niż wstydlivą ewakuację Dunkierki czy krwawą bitwę pod Falaise.

Era po Wyzwoleniu ma kolor czerwonego mięsa, zapach pomarańczy i brzmi jak szelest franków wypłacanych emerytom, pachnie krwią miesięczną i mocem: „W rzeczywistości ciasnota mieszkań zmuszała dzieci i rodziców, braci i siostry do spania w jednym pokoju, toaletę w dalszym ciągu robiło się nad miednicą, za potrzebą szło się do wygodki, a frotowe podpaski odmakwały z krwi w wiadrach z zimną wodą”.

„Z dzieciństwa nie mam żadnych szczęśliwych wspomnień” – tym zdaniem Édouard Louis otwierał autobiograficzną powieść „Koniec z Eddym” (2014, wyd. pol. 2019), małą encyklopedię brutalności międzypokoleniowej, seksualnej i klasowej. Zapatrzony w Didiera Eribona, opisuje w eseju „Kto zabił mojego ojca” (2019, wyd. pol. 2021) rodzinną Pikardię niczym siódmy krąg piekła. Podobnie jak Szampania ze wspomnień starszego kolegi, jest to przestrzeń fatalna, skazująca dzieci na powtarzanie losu rodziców, którzy dawno temu stracili szansę na stanie się kimś innym niż parias.

W odróżnieniu od nich bohaterka „Lat” ma dobre dzieciństwo, choć naznaczone nieustającym poczuciem braku – rzeczy i wyjaśnień. Katechizm i bulwarowa prasa muszą wystarczyć za źródło wiedzy. Młoda dziewczyna z tzw. dziś „klasy ludowej” nie ma adaptera, piosek o miłości słucha w radiu i spisuje w zeszycie ich słowa. Wierzy, że już niedługo zostanie nauczycielką, na wakacje pojedzie własnym citroënem 2CV i spotka wielką miłość. Na fotografii z 1955 r. wygląda jak biedna siostra Audrey Hepburn z „Rzymskich wakacji”. Jeszcze nigdy nie była w Paryżu, choć to odległość jak z Pabianic do Warszawy. Ma koleżanki, które jeżdżą tam co weekend. Kiedy skończą szkołę, nie będą jej zauważać na ulicy.

Marzenia rozświetlają lokalną przestrzeń, choć horyzont niknie w mroku. Zanim przychodzi na świat, jej rodzice mają córkę, którą zna tylko z fotografii

i napisu na jej grobie: „Zmarła w wieku sześciu lat w Wielki Czwartek 1938 roku”. W niemal każdej rodzinie umierało dziecko, a te, które przeżyły lata źle leczonych chorób, „długo wierzyły w Świętego Mikołaja i noworodki znadowane w kwiecie róży lub w kapuście”.

To też opowieść o zmierzchu Francji katolickiej, już nudzącej się na mszy, ale niedopuszczającej odstępstw. Głównym podejrzanym jest seks, a przyzwoitość mierzy się długością spódnic i regularnością miesiączek: „Nic – ani inteligencja, ani studia, ani uroda – nie liczyło się tak bardzo jak reputacja dziewczyny, to znaczy jej wartość na rynku matrymonialnym, której strażniczką obwoływała się jej matka, podobnie jak kiedyś matka jej matki”. Mimo to seksualność budzi się wcześniej. Idolką nie jest kanonizowana w 1950 r. Maria Goretti, która zmarła, broniąc się przed gwałtem, i którą Kościół stawia za wzór dla dziewcząt. One podśmiewają się z męczennicy i wolą być jak ponętna aktorka Martine Carol. Na ekranach króluje Bardotka, a chłopcy śmiało przekonują, że głupio i niezdrowo być dziewicą.

Już wtedy wie, że w relacje między kobietą a mężczyzną często wkrada się ta trzecia – przemoc. „W niedzielę przed egzaminem wstępnym do szóstej klasy scena między rodzicami, w trakcie której ojciec chciał zabić matkę, zaciągnąwszy ją do piwnicy w pobliże pieńka, w który był wbity sierp” – to najbardziej wstrząsające zdanie „Lat”. Nie zostanie rozwinięte – jakby miało samą obecnością zaburzać tok tej autobiografii bez podmiotu.

Kobieta zawiedziona

„Oprócz mnie, Didiera Eribona i Annie Ernaux prawie wszyscy pisarze, zresztą nie tylko francuscy, to dzieci burżuów lub arystokratów – mówi Édouard Louis w wywiadzie dla polskiej edycji „Vogue’a” – Mimo wszystko wierzę, że każdy człowiek ma szansę stać się kimś innym, niż jest, lub próbuje mu się wmówić, że musi być”.

Czyżby? Osobista historia Eddy’ego Bellegue’a (zmienił nazwisko na Louis w 2013 r.), który ukończył École normale supérieure i École des hautes études en sciences sociales, a od dekady obraca się w *crème de la crème* paryskiej lewicy intelektualnej, jest tylko wyjątkiem potwierdzającym gorzką regułę. Annie Ernaux dostała się na studia w Rouen i Bordeaux

i została nauczycielką w prowincjonalnym liceum. Przez długi czas to był jej sufit, nieprzekraczalny. Eribon studiował w Reims i Paryżu, mając świadomość tego, co go ogranicza: „wartość dyplomu i możliwości, jakie daje, zależą od kapitału społecznego, jakim człowiek dysponuje, i od informacji koniecznych do tego, by opracować strategię przekształcenia tytułu naukowego w perspektywę kariery zawodowej”. Długo mu zajęło, aby ten kapitał zgromadzić.

Robotnicze dzieci z Yvetot uczą się tego, co mali paryżanie, ale to na prowincji „otrzymanie świadectwa ukończenia szkoły podstawowej było wydarzeniem odnotowywanym w gazetach, które publikowały nazwiska absolwentów”. Jednocześnie „pójście na studia budziło nieufność, obawę, że z powodu niejasnej sankcji, kary za chęć wspięcia się zbyt wysoko, z pewnością się od nich zwariuje”. Nam, czytelnikom, łatwo traktować te przesady z politowaniem. Podobnie jak Louis praktykujemy wiarę w to, że awans społeczny jest prawem każdego, kto jest utalentowany, pracowity i zdeterminowany, by wyciągnąć się za własne włosy z bagna biedy i pochodzenia. Jeśli ma szczęście, to państwo i instytucje trochę pomogą, podając raz czy dwa zatechły kijek, by nie opadł zupełnie na dno.

Przenieśmy się na chwilę do USA. Trzy lata temu prokuratura federalna postawiła tam zarzuty kilkudziesięciu zamożnym rodzicom, w tym paru celebrytom, że opłacili oszusta, Williama Singera, aby fabrykował sportowy dorobek ich dzieci i korumpował egzaminatorów. Wszystko po to, by synowie i córki dostali się na prestiżowe uniwersytety. Singer mówił, że wprowadza ich „bocznymi” zamiast „tylnymi drzwiami” (metodą kupowania przychylności władz uczelni koneksjami i sutymi darowiznami). Doniesienia o „bocznych drzwiach” wywołały oburzenie. Tradycja „tylnych drzwi” już nie. A przecież, jak podkreśla filozof Michael J. Sandel w wydanej w 2020 r. „Tyranii merytokracji”, zarówno boczne, jak i tylne drzwi powodują, że główne wejście na uczelnie pozostaje na wpół zamknięte dla tych, którzy mogą się ciągnąć tylko za własne włosy.

Sandel zna problem od podszewki, jest wykładowcą Uniwersytetu Harvarda. W latach 40. rektor tej uczelni, James Bryant Conant, zaproponował, by rekrutować na podstawie testowania →

→ potencjału naukowego, nie zważając na to, że młodzi ludzie często rodzą się w układach społecznych, które nie pozwalają im w pełni ujawnić potencjału. System rekrutacji oparty na Scholastic Aptitude Test obowiązuje do dziś (choć na przestrzeni lat podlegał korektom). A przecież do tego, by dziecko z ludu skończyło prestiżową uczelnię, trzeba całej wsi, pisze J.D. Vance w autobiograficznej „Elegii dla bidoków” (2016).

Podobny wniosek płynie z książek Ernaux, zwłaszcza „La Femme” („Kobieta”, 1987), oraz Eribona. Oboje szczególnie dziękują matkom – za ich harówkę, by dzieci mogły zrealizować ambicje, których one nie śmiały mieć. Ten prezent oznacza nie tylko zerwanie z domem, ale i koniec komunikacji. Sfrustrowane matki nie są w stanie zrozumieć wykształconych dzieci. A młodzi na uniwersytecie uczą się, jak sublimować pogardę dla miejsca urodzenia.

Ernaux pozostaje wierna lewicy, ale na politykę edukacyjną wszystkich gabinetów patrzy bez złudzeń. W 1986 r. obserwuje, jak paryskie ulice opanowują studenci i licealiści, protestujący przeciwko tzw. ustawie Devaqueta, wprowadzającej „amerykańską” rekrutację na studia opartą na selekcji i konkurencji. Pokojowe demonstracje osiągają cel, ustawa upada. Ten sukces nie przykrywa prawdy o tym, że aby dostać się do Grandes Écoles, najlepiej jest dobrze się urodzić.

Słowa i rzeczy

„Lata” nie są kroniką fatalizmu i marazmu. To opowieść o budzeniu się do zmiany i o znikaniu kolejnych punktów podparcia. Kiedy autorka ma szesnaście lat, zaczyna dostrzegać politykę. W jej otoczeniu głośniejsze się na Pierre’a Poujade’a, przywódcę ruchu małych przedsiębiorców i rzemieślników, ostatniego populistę IV Republiki. Po latach Poujade wyda się pocziwcem w porównaniu z Jeanem-Marie Le Penem, który zaczął w jego Unii Obrony Kupców i Rzemieślników. W 2002 r. Ernaux zgłasza wbrew sobie na Chiraca, po to, żeby Le Pen nie został prezydentem Francji – „wezwaniom towarzyszyły rady, jak zachować pozory szacunku do samego siebie, wrzucając głos do urny: zatkać nos i głosić w rękawiczkach”.

Wcześniej jest Maj ’68. Patrząc na rewoltę studentów, czuje się pomszczona za lata wstydu i milczenia.

Sfrustrowane matki nie są w stanie zrozumieć swoich wykształconych dzieci.

A młodzi na uniwersytecie uczą się, jak sublimować pogardę dla miejsca urodzenia.

Odkrywa Foucaulta, Bourdieua, Lacana, Chomsky’ego, Baudrillarda, analizę strukturalną, narratologię i ekologię. Czyta zagraniczne poradniki o seksie. Na prowincji też mówi się o akcjach Frontu Wyzwolenia Kobiet, można kupić feministyczną prasę, książki Germaine Greer i Kate Millett. Niedługo później obserwuje narodziny społeczeństwa konsumpcyjnego na gruzach Maja ’68. Kiedy w połowie lat 70. przeprowadza się do Cergy-Pontoise w regionie paryskim, wycieczki do Paryża, o których kiedyś śniła, ją męczą. W weekend woli oglądać telewizję, a pałac, jaki najchętniej odwiedza, to wielopoziomowa galeria handlowa.

Stawia diagnozę, że rewolucja seksualna była mężczyzną uwodzącym kobiety za pomocą gadki-dyskursu o tym, że są im równe. Studia miały być nie tylko drogą ucieczki z ubożego materialnie i intelektualnie otoczenia, ale przede wszystkim „najlepszym narzędziem, by nie ugrzęznąć w owej napawającej ją politowaniem kobiecej kondycji”. Kilka lat później widzi w lustrze drobniomieszczankę, żonę i matkę. Niepokoi ją to, że jej życie nie ma żadnej treści. Wiele lat później, gdy jej uczennice przeprowadzają z nią, już wtedy pisarką, wywiad, łapie się na tym, że nie potrafi wyjść poza komunalność: „za moich czasów dziewczętom żyło się gorzej”. W nowych czasach rozwodzi się, sprzedaje dom, ma kochanków.

W latach 80. religia nie sprawuje już kontroli nad kobietami. Ernaux jest w tej kwestii bezlitosna: „Straciwszy swoje zasadnicze pole działania, jakim był seks, Kościół stracił wszystko. Tak naprawdę poza lekcjami filozofii nie dyskutowało się już poważnie o idei Boga”. To też dekada śmierci tych, którzy nadawali ton postępowi. Śmiech więzi w gardle epidemia AIDS, w której opanowaniu nie pomaga to, że wyzwoleni Francuzi i Fran-

cuzki wstydzą się proponować partnerom prezerwatywę. Ale to nie jest największy problem społeczny: „We Francji było tylu bezrobotnych, ilu seropozytywnych na całej ziemi”. Ostatnia umiera nadzieja wiązana ze zwycięstwem François Mitterranda w wyborach prezydenckich. Gdy nadejdzie kryzys, socjaliści będą promować, uwodzicielskim głosem Yves’a Montanda, neoliberalną wiarę w cud przedsiębiorczości.

Wszystko powszednie. Nawet zamachy terrorystyczne, które od lat 70. regularnie dotykają Francję. Podcinają skrzydła idei wielokulturowego Zachodu. Motem zmiany stają się słowa Michela Rocarda: „Francja nie może przyjąć całej nędzy świata”. Szybko wypala się także entuzjazm dla demokratyzującej się Europy Wschodniej, nieelegancko i zachłannie konsumującej rzeczy rzucone na wolny rynek. „Nie okazali się godni czystej i abstrakcyjnej wolności, którą dla nich wymyśliśmy – ironizuje Ernaux. – Bardziej się ich lubiło przedtem, gdy stali w kolejkach po kielbasę i książki, pozbawieni wszystkiego, bo pozwalało to nam doceniać szczęście i poczucie wyższości wynikające z przynależenia do »wolnego świata«”.

Ale przecież to nowi mieszcianie, których czasem zdradzał akcent, bez pamięci konsumują materialny wymiar życia. „I nie starzeliśmy się. Żadna z rzeczy dookoła nas nie trwała wystarczająco długo, żeby się zestarzeć, były coraz szybciej zastępowane kolejnymi” – pisze Ernaux samokrytycznie. Bunt także się urzeczowił: „Jednego dnia podpisywało się petycję, a następnego nie pamiętano, w jakiej sprawie, chyba że chodziło o obronę praw konsumentów”.

W przeciwieństwie do książek Eribona i Louisa, w „Latach” robotnicze, prowincjonalne pochodzenie nie jest traumą, którą trzeba bez końca przepracowywać. Pamięć przechowuje je w sposób rozkałkowany i tymczasowo rozbrojony. Jednak kiedy jesteś kobietą z peryferii, zawsze musisz być czujna, aby nie wejść na jakąś minę z przeszłości. To może być czyjeś drwiące spojrzenie, przerwane w pół zdanie, poczucie bezsilności albo przelotna myśl o porażce.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Annie Ernaux, **LATA**,
przeł. Krzysztof Jarosz, Magdalena
Budzińska, Czarne, Wołowiec 2022



PARAMOUNT PICTURES / BEW

Kadr z filmu „Ojciec chrzestny” (1972). Od lewej: Robert Duvall, John Cazale, Gianni Russo, Talia Shire, Morgana King, Marlon Brando, James Caan, Julie Gregg, Al Pacino i Diane Keaton.

Rodzina na swoim

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Arcydzieło, o którym nigdy nie zapomnieliśmy, „Ojciec chrzestny” Francisa Forda Coppoli kończy właśnie 50 lat. Jaką ofertę ma dla nas dzisiaj najstynniejszy mafioso Ameryki?

PAMIĘTACIE NAJLEPSZĄ KWESTIĘ w „Ojcu chrzestnym”? Konkurencja jest spora, ale podobnie jak wiele innych osób wierzę, że istotę gangsterskiego eposu najlepiej uosabia rzucone beznamienne przez Clemenzę zdanie: „Zostaw pistolet, weź cannoli”. W tych czterech słowach spotykają się ze sobą chłodny profesjonalizm, miłość do włoskiej kuchni i troska o bliskich. Clemenza, żołnierz mafijnej rodziny, rozkazuje tak swojemu koledze po wykonaniu wyroku na zdrajcę, który przyczynił się do zamachu na Don Corleone. Niedługo po zakończeniu II wojny światowej, gdzieś na obrzeżach Nowego Jorku, ze Statuą

Wolności i złotymi łańcuchami w tle, bohater wypełnia codzienne obowiązki i jednocześnie spełnia prośbę czekającej w domu żony: „Nie zapomnij o cannoli”.

Przez wiele lat byłem przekonany, że *cannoli* to rodzaj makaronu, bliski kuzyn *cannelloni*. Odkrycie, że są to wysmienite rurki z gęstym słodkim kremem, było zaskoczeniem. Po zakończeniu brudnego zadania Clemenza pamiętał więc nawet nie tyle o obiedzie dla całej rodziny, ile o deserze, chwilowej rozkoszy dla podniebienia. Takich kontrastów, zestawiających przemoc z dbałością o domowe ognisko, jest w „Ojcu chrzestnym” mnóstwo. W końcu to jedna z najbardziej porywających opowieści o rodzinie w historii kina. No i Sycylia.

Kino z marmuru

Po równo 50. latach dzieło Francisa Forda Coppoli powraca. Reżyser przygotował kolejną rekonstrukcję obrazu, która dzięki wykorzystaniu najnowszych technologii i nieodkpanych wcześniej starych taśm ma być jeszcze lepsza niż dostępna na rynku od ponad dekady kopia odrestaurowana przez Roberta A. Harrisa. Chodzi o konserwację dziedzictwa kulturowego, ale też o podróż w czasie – Coppola chciałby, żeby film wyglądał tak, jakby „miał dwa tygodnie, a nie 20 lub 50 lat”.

Jubileusz „Ojca chrzestnego” świętuje również prestiżowy magazyn filmowy „Sight & Sound”, który umieści podobi-

znę Marlona Brando w roli Vita Corleone na okładce kwietniowego numeru. Zamiast zdjęcia aktora widzimy jednak postrzępioną, papierową wycinankę złożoną z białych i czarnych karteczek. Wyłania się z nich portret gangstera, który zwykł składać innym „oferty nie do odrzucenia”.

Po co przypominać dzisiaj o arcydziele, o którym tak naprawdę nigdy nie zapomnieliśmy? Może z perspektywy kilku dekad łatwiej opisać przyjemność, jaka towarzyszy nam za każdym razem, gdy słyszymy elegijny walc Nina Roty w aranżacji na solową trąbkę. „Ojciec chrzestny” rozpoczyna się od pojedynczej melodii i zbliżenia na twarz przedsiębiorcy pogrzebowego Ameriga Bonasery, po czym rozlewa się w majestatyczną narrację o kilku pokoleniach włoskich imigrantów, ich nielegalnych biznesach, amerykańskiej modernizacji i pamięci o Europie, z której trzeba było uciekać do Nowego Świata.

Ambicje dwóch pierwszych części filmu znacznie wykraczają poza to, co zaproponował autor powieści – Mario Puzo. Jako współautor scenariuszy razem z Coppolą przemienił swój szorstki, sensacyjny materiał literacki na film, który rośnie z każdą sceną, którego wygląd, nastrój i styl są niepodrabialne – choć zarazem mało który klasyk był tak często przedmiotem nawiązań i parodii. Chcemy odwiedzać ród Corleone, bo ich życie, choć naznaczone strachem ➔



RONALD GRANT / BEW

Francis Ford Coppola na planie filmowym części trzeciej „Ojca chrzestnego” (1990)

promisu, współpracy z korporacją oraz działania jako „człowiek do wynajęcia”. Obsesja na punkcie niezależności pozostała w reżyserze do dzisiaj. Ważniejsze są dla niego audiowizualne eksperymenty niż produkcja intratnych hitów.

„Wierzę w Amerykę”

Jeśli jednak Coppola rzeczywiście zawarł kompromis, to zrobił to na swoich warunkach. Zmitologizowana opowieść o kręceniu „Ojca chrzestnego” to kronika ciągłej walki: o zatrudnienie Marlona Brando w roli Vita Corleone i Ala Pacino w roli przejmującego schedę po ojcu Michaela; o taki kształt skąpanych w ciemności zdjęć, jaki wymarzyli sobie reżyser wraz z operatorem Gordonem Willisem. Ba, sama współpraca z Willisem, perfekcjonistą, dla którego ważniejsze były niuanse światła niż samopoczucie aktorów, była dla Coppoli trudną przeprawą. Przeciagające się zdjęcia, reżyser zagrożony odsunięciem od projektu, pogroźki ze strony zaniepokojonych mafiosów i saga rozrastająca się do bitych trzech godzin – jest w tej akcji za kulisami dużo napięcia, które kojarzymy z samą opowieścią o rodzinie Corleone.

Czy po półwieczu anegdoty z planu mogą być czymś więcej niż fascynującą ciekawostką? Kino z marmuru ma to do siebie, że jest odporne na upływ lat i na dodatek samo znajduje się poza czasem – odrywa się od przyziemnych problemów i konfliktów personalnych, staje się czystą emanacją twórczego geniuszu. Taką aurę „Ojciec chrzestny” roztacza już od poprowadzonej pewną ręką sekwencji początkowej, która miesza plenerową imprezę z mrocznym wnętrzem, w którym Don przyjmuje interesantów – Sycyliczyk nie może przecież odrzucić niczyjej prośby w dniu ślubu swojej córki. Weselnicy tańczący do włoskiej muzyki zostają skontrastowani z upokorzonymi mężczyznami, którzy udają się do Corleone po „sprawiedliwość”. Nie jest im jej w stanie zapewnić amerykańska demokracja, strzegąca społecznych hierarchii i lekceważąca godność imigrantów. Jasność hucznego wesela oraz pojedyncze twarze i przedmioty wyłaniające się z ciemności w gabinecie gangstera; celebrowanie wspólnoty w pełnym słońcu i czerń tak głęboka, że w momencie premiery była estetycz-

→ i niepewnością, ma staroświecki urok oraz kierują nim stałe wartości, które możemy odnaleźć jedynie w przeszłości. „Ojciec chrzestny” jest jak marmur: połyskliwy, dostojny i niezniszczalny.

Włoska robota

Elegancja filmu imponuje tym bardziej, że jego realizacja była procesem żmudnym i najeżonym konfliktami. Powieść Maria Puzo uparcie trzymała się na listach bestsellerów, więc studio Paramount, które wcześniej zakupiło prawa do ekranizacji, popchnęło projekt, choć niepewnie. Kluczowy był wybór reżysera – wielu zapytanych odmówiło. Co więcej, kwestie kulturowej wrażliwości, raczej drugorzędne w epoce klasycznego Hollywoodu, zaczęły dochodzić do głosu i wpływać na skład ekipy filmowej. Szef produkcji Robert Evans chciał, żeby w „Ojcu chrzestnym” było „czuć zapach spaghetti”, żeby o włoskiej mafii opowiedział ktoś, dla kogo ten temat będzie szczególnie bliski. Wybór padł na Francis Forda Coppolę, chociaż był on dotąd tylko autorem kilku niszowych filmów i „Tęczy Finiana”, fatalnego musicalu z Fredem Astaire’em. Zresztą Coppola też nie palił się do tego zadania. Komercyjny projekt dużego studia – nie tak artysta chciał zmienić Hollywood, bo przecież chciał. Dlaczego miał obawy?

Lata 70. uchodzą za złoty okres amerykańskiego kina. Po kryzysie poprzedniej

dekady nastąpiło odrodzenie. Ważną rolę odegrała w nim pierwsza generacja reżyserów, którzy ukończyli szkoły filmowe. Stanowili luźną grupkę zdolnych mężczyzn z wybujałym ego, zachłyśniętych obietnicą twórczej wolności, jaką składała francuska Nowa Fala i płynącymi z Paryża teoriami o wyjątkowym statusie autorów-reżyserów. Garstka kobiet w ich szeregach i samczy klimat tamtych czasów kładą się cieniem na epoce, która dała nam skądinąd szereg wybitnych filmów.

Peter Biskind, kronikarz ówczesnych przemian Hollywoodu, przywołuje taką scenę: William Friedkin (reżyser „Francuskiego łącznika”) i Coppola wracają z imprezy limuzyną, którą ten ostatni wygrał w zakładzie z Paramountem, kiedy wpływy z „Ojca chrzestnego” przekroczyły 50 mln dolarów. Na światłach stoją obok samochodu prowadzonego przez Petera Bogdanovicha, który odniósł właśnie sukces „Ostatnim seansem filmowym”. Rozpoczyna się festiwal prężenia mięśni: panowie licytują się nominacjami do Oscarów, pochlebnyymi recenzjami, wynikami kasowymi. Jak się wydaje, nastrój jest jednocześnie błazeński i wzniosły – świat należy do nich.

Choć Coppola został milionerem z dnia na dzień (dzięki udziałowi w zyskach z filmu), niespodziewany triumf „Ojca chrzestnego” miał dla niego gorzki posmak. Był wynikiem częściowego kom-

nym szokiem – dwa podstawowe żywioły gangsterskiej sagi, pierwiastki dobra i zła, które nie sposób rozdzielić.

Słynne pierwsze słowa, jakie padają z ekranu – „Wierzę w Amerykę” – podpowiadają zamiśl reżysera, by potraktować mafie jako metaforę całego kraju. Ukazanie trwałości quasi-feudalnych struktur gangsterskich uwypukla paradoksy Stanów Zjednoczonych, ale nie na tym polega wyjątkowość filmu. „Ojciec chrzestny” był spadkobiercą długiej tradycji kina gangsterskiego, które odgrywało ważną rolę od lat 30., dostarczając widzom elektryzujące opowieści o klęsce społecznego awansu i tragicznym losie obywateli przymuszonych do działania poza prawem. Nowością filmu Coppola było ścisłe splecenie ze sobą włoskości, katolicyzmu i dwuznacznej nostalgii za patriarchatem.

W latach 70. reżyserzy o włoskich korzeniach – jak Brian De Palma i Michael Cimino – stali się nagle najważniejszymi filmowcami Ameryki. Martin Scorsese wspominał ponadto, że Coppola odwiedzał jego rodziców i nagrywał na dyktafon głos ojca, by przysłuchiwać się włoskiemu akcentowi. Od matki Martina reżyser zaczerpnął też inspirację dotyczącą castingu: w rywalizującego z rodem Corleone Don Barziniego wcielił się Richard Conte, gwiazdor kina lat 40. i 50., który stanowi w „Ojcu chrzestnym” łącznik ze starym Hollywoodem i potomkami włoskich imigrantów. Bezbłędna obsada ról drugoplanowych i epizodów podbiła jeszcze stawkę, tworząc galerię pałaszujących makaron typów, których „etniczna” wyrazistość nie pozostawia wątpliwości. Nawet jeśli scena, w której Clemenza uczy Michaela, jak zrobić pulpety w sosie dla dwudziestu chłopów, zakrawa na stereotyp, stanowi ona tylko ukoronowanie narodowej dumy, jaka przebiega z „Ojca chrzestnego” – bodaj najpiękniejszej opowieści o Włochach w Ameryce.

Oprócz zapadającej w pamięć wizji włoskości, Coppola na niespotykaną wcześniej skalę wplótł w fabułę wątki religijne, na czele z krwawym finałem, w którym chrzciny zostają zestawione ze skoordynowanym atakiem na mafiosów. Przedsoborowy katolicyzm ma tu ciężkie brzmienie organów i melodykę łacińskiej liturgii, a Michael wyrzekający się szatana naznacza sagę hipokryzją, ale zarazem mistyką. Scena chrztu kreuje atmosferę, w której morderstwa zostają za-

Szacowna saga Coppola
to przystępne arcydzieło,
które potrafi zjednać sobie
**inteligentów i robotników,
marksistów i narodowców,**
piewców więzów krwi
i krytyków instytucji rodziny.
I tak od 50 lat.

inscenizowane z barokowym kunsztem. Stają się piękne w swojej grozie i brutalności. „Ojciec chrzestny” sprawdza, czy zjawiskowe obrazy i muzyka nie sprawią, że na chwilę zapomnimy o granicach moralności.

Kino gangsterskie, kino męskie?

Obrany z kolejnych warstw mitu i nostalgii, „Ojciec chrzestny” wyjątkowo dobrze sprawdza się w XXI wieku jako film o rodzinie. Rozmach narracji łączy obserwacją mikroskali – drobnych krzywd oraz oznak miłości, jakimi obdarowują się członkowie rodu. Rodzina pojmowana jest zresztą dosyć szeroko: można do niej dołączyć, jeśli ktoś da dowód swojej lojalności, lecz, jak przekonuje się mąż Connie, małżeństwo z córką Don Corleone wcale nie oznacza, że jakakolwiek nieuczciwość będzie tolerowana.

Członkowie tej wspólnoty duszą się w swoim towarzystwie, zamykają za bramami posiadłości, a jednocześnie wspierają się i potrafią oddać za siebie życie. Hierarchia to fundament patriarchalnego układu, ale przeprowadzka z Sycylii do Ameryki kruszy dawny ład, wymusza asymilację, przejęcie nowych wzorców kobiecości i męskości. We wspomnianym numerze „Sight & Sound” ceniony krytyk David Thomson powraca do „Ojca chrzestnego” i pisze, że oba filmy są „szokująco konserwatywne”, co objawia się w „niekwestionowanej stanowczości męskiego porządku i braku kobiet”.

To efektowne stwierdzenie, ale podobnie jak z innymi filmami, które przemawiają do widowni ponad podziałami, sprawa nie jest taka prosta. Polityki „Ojca chrzestnego” należy szukać w oku patrzącego. Tekstura tej epickiej historii jest na tyle bogata, że wyłuskamy z niej potwierdzenie rozmaitych założeń i wizji świata. Szacowna saga Coppola to przystępne

arcydzieło, potrafi zjednać sobie inteligentów i robotników, marksistów i narodowców, piewców więzów krwi i krytyków instytucji rodziny. „Ojciec chrzestny” jest dzisiaj w dwójnasób retro. Pojawił się w trakcie kontrkulturowej rewolty, wyglądając na pierwszy rzut oka jak konserwatywny krok wstecz: akcja osadzona w latach 40., fabuła o synu wchodzącym w buty ojca, a nie odrzucającym jego dziedzictwo, solidne hollywoodzkie rzemiosło i troska o detal. Dzisiaj odsyła z kolei do czasów, w których wolność twórcza szła w parze z zainteresowaniem widowni krytycznymi obrazami Ameryki.

Z perspektywy kilku dekad widać wyraźnie, że gangsterskie kino Coppola było „szokująco postępowe”, by odwrócić stwierdzenie Thomsona. Choć rzeczywiście z „Ojca chrzestnego” pamiętamy głównie męskich bohaterów, wspańiale zagranych przez Jamesa Caana, Roberta Duvalla, Johna Cazale’a i innych, to sprawy kobiet oraz kobiecy punkt widzenia otwierają i zamykają ten film. Bonasera na samym początku opowiada, jak jego córka została ciężko pobita i prawie zgwałcona – męska przemoc od razu zostaje określona jako źródło problemów tego świata. W na pozór idyllicznej sekwencji sycylijskiej Michael spaceruje po opustoszałych miejscowościach i dowiadyduje się, że większość mężczyzn straciła życie w wyniku wendety. Finalne ujęcie filmu ukazuje natomiast spojrzenie kobiety. Żona Michaela, Kay w interpretacji Diane Keaton, patrzy na drugą stronę korytarza, w głąb pokoju, w którym jej mąż, jako Don, odbiera oznaki szacunku od swoich podwładnych. Po chwili jeden z mężczyzn zamyka drzwi do pomieszczenia; ani Kay, ani my nie mamy pełnego dostępu do tajemnic rodu Corleone. Zaczynają się napisy.

Mimo że oparty na rytuałach włosko-amerykańskiej kultury i tak ochocho zapraszający nas do środka, „Ojciec chrzestny” trzyma dystans. W ostatniej scenie, kiedy powoli opada kurz po serii gangsterskich porachunków, zostajemy wyrzuceni na zewnątrz i przyjmujemy pozycję Kay, reprezentującej u Coppola wpływową grupę anglosaskich protestantów. Podobnie jak ona możemy wtedy spojrzeć na zamknięte drzwi i zastanowić się, czy bycie częścią tej rodziny – a taką fantazję podsyca każdy kolejny seans filmu – to rzeczywiście oferta nie do odrzucenia. © SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Serce w plasterkach

ANITA PIOTROWSKA

Gdyby ktoś zapytał mnie o kino z serii „współczesna Polska jako stan umysłu”, bez wahania i dodatkowego komentarza wystąpiłabym go na nowy film Aleksandry Terpińskiej.

TO TRUIZM, ALE TE SAME OBRAZY LUB teksty przyswajane w różnych momentach życiowych czy historycznych mogą brzmieć nieco inaczej. Szczególnie dzisiaj, kiedy „ołowiane niebo” opisywane w „Innych ludziach” przez Dorotę Masłowską wisi nad nami jakby niżej, a komputerowa strzelanka coraz bardziej przestaje być grą.

W filmie Aleksandry Terpińskiej perypetie warszawiaków komentuje hip-hopowy Jezus, król Polski – w koronie cierniowej na bejsbolowej czapce i z wyhaftowaną na bluzie hostią. Współczuje biednym Polakom z blokowisk i tym z apartamentowców, towarzyszy w kryzysach zarówno „troglodytom” pozwalającym sobie na ksenofobiczne teksty, jak i paniom domu powierzchownie zatroskanym losem swoich ukraińskich sprzączek. W dobie wielkiego zrywu pomocowego mogłoby się wydawać, że film, idąc za literackim pierwowzorem, nie docenił swoich rodaków. Doprawdy – nasze „społeczeństwo jest niemiłe”? Zatomizowane? Obojętne? Najważniejsze jednak, żeby „Inni ludzie” nie okazali się dziełem proroczym na dłuższą metę. Bo skoro tak łatwo dzieli się ludzi na mniej lub bardziej „innych”, to w końcu też ci „podobni” zaczynają się jakoś wyróżniać i odróżniać.

Nagrodzony w Gdyni brawurowy debiut Terpińskiej (rocznik 1983) przywołuje atmosferę Polski „po świętach” – gdy opadło już igliwie z choinki, gdzieś ulotniły się opłatkowe życzenia, a miasto ogarnął szal przecen. Jezus (w tej roli

Sebastian Fabijański) zstąpił ze swej kosmicznej bazy na ulice zsiniałej od zimna i smogu Warszawy. Pojawia się w sklepach, tramwajach i mieszkaniach, rapując o samotności napotkanych ludzi. Jest wśród nich Kamil (Jacek Beler), któremu marzy się nagranie hip-hopowej płyty, choć na razie musi zadowolić się drobną dilerką. Jest Iwona (Sonia Bohosiewicz), czyli znudzona żona „leminga”, która wdaje się z Kamilem w romans, a także jej mąż Maciek (Marek Kalita), uwielbiający pracę po godzinach, oraz Aneta (Magdalena Koleśnik), zatrudniona w Rossman – nie studentka z małego miasteczka i zarazem dziewczyna Kamila. Oni również prowadzą głęboko poukrywane, zrytmizowane monologu.

Kamil, opuszczając swe październikowe mieszkanie w bloku, referuje nam faktyczny stan swoich uczuć wobec obu pań, opowiada o patologicznym dzieciństwie, rozpamiętuje kozackie przygody. Tymczasem Iwona w swoim aseptycznym mieszkaniu na kredyt, czekając na przyjęcie rzekomego hydraulika, oplakuje hip-hopowo swoje sztuczne życie. Tyle że każde z nich występuje tutaj solo i dla siebie, recytuje we własnym idiomie i zamieszkuje zupełnie osobne przestrzenie. Warszawa Kamila i Anety spotyka się ze światem Iwony i Maćka wyłącznie w momencie dokonywania transakcji, rozumianej dosłownie bądź seksualnie. Lecz „chwilówka moralna” dotyczy także relacji wewnątrz tych światów. Rozmowy obumierają, zanim jeszcze na dobre się rozkręcą, jedyna zaś szczerłość, na którą bohaterów stać, natychmiast zamienia się w okrucieństwo.

Stąd czołówka „Innych ludzi”, pierwszego polskiego filmu wyprodukowanego przez Warner Bros. (nota bene firmy założonej sto lat temu przez żydowskich braci z Mazowsza), zawiera lojalne ostrzeżenie dotyczące używanego na ekranie języka. Niecenzuralność hip-hopu to jedno, ale



treści homofobiczne, rasistowskie czy związane z body shamingiem muszą być wzięte w wyrażnie zaznaczony cudzysłów i nie wszyscy od razu złapią konwencję. Zresztą każdy jest w tej historii kimś „innym” w znaczeniu: będącym niżej lub wyżej w ustanowionych hierarchiach. Dystrybucja pogardy i prestiżu pracuje w świecie „Innych ludzi” pełną parą.

Udaje się Terpińskiej oraz jej wyśmienitym aktorom stworzyć postacie, które wyglądają zrazu na wycięte z komiksu albo instastory, to znów przypominają zombie poruszające się na autopilocie, i niepostrzeżenie, w dużej mierze pod wpływem rozbuchanej mowy wewnętrznej, zyskują trzeci wymiar. Nie tylko w znaczeniu cielesności i ekranowej dynamiki, również pod względem potencjału emocjonalnego. Gdy Iwona we łzach wyjmując z silikonowej piersi swoje krwawiące serce i kroi je w kuchni na plasterki, dostajemy scenę tyleż groteskowo zabawną, co rozdzierającą. W maksymalnie przerysowanej rzeczywistości analizowane bez ustanku „trudne sprawy” stają się krzykiem rozpacz, rozpisanej na pojedyncze głosy, uśmierzanej chemicznymi znieczulaczami, zakupami, seksem. Każdym z tych aktów rządzi hasztag #żał.pl i bynajmniej nie w znaczeniu

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Jacek Beler jako Kamil w filmie „Inni ludzie”, 2021 r.

politowania. „Inni ludzie” to film przewrotnie empatyczny, popękane lustro przystawione egotycznej naturze naszych czasów. Rapują w nim kopulujący kochankowie i manekiny w galerii handlowej, szarzy pasażerowie tramwaju i postacie z obrazów na ścianach – jedynie bezdomni pijackowie zdobywają się na zbiorowy wykon, utrzymany zresztą w konwencji piosenki podwórkowej. To też daje do myślenia.

Teraz widać, że rapowany poemat Masłowskiej aż się prosił o adaptację musicalową. Historia wielokrotnie przenoszona na deski teatrów nabrała nowej werwy za sprawą czysto filmowego języka. Rytmiczna fraza, wzmocniona tłustymi bitami producenta muzycznego Auera, przełożyła się na rytmikę montażu (brawa dla Magdaleny Chowańskiej). Stąd udający *freestyle* sen rapera działa chwilami wręcz hipnotycznie, a jednocześnie, mimo całego bogactwa werbalno-wizualnego, zasysa w jakąś kosmiczną pustkę. Nie usypia, lecz wprawia w trans – taki, który wyostża świadomość.

Gdyby ktoś zapytał mnie o kino z serii „współczesna Polska jako stan umysłu”, bez wahania i dodatkowego

komentarza wysłałabym go na film Terpińskiej. Nie tylko na ten najnowszy. Pięć lat temu nakręciła krótkometrażówkę „Najpiękniejsze fajerwerki ever”, nagrodzoną m.in. w Cannes. Bohaterami byli dzisiejsi (?) młodzi ludzie, którzy w obliczu wojny muszą, każde na swój sposób, zredefiniować swoje plany, poglądy i marzenia. Oby tytuł ten pozostał na zawsze w zakładce z napisem „ekranowe dystopie”. Dziś ta odważna i dojrzała warsztatowo reżyserka nakręciła film z jednej strony przynależący do starego świata, pełnego innych ludzi, innych naszych strachów, a równocześnie rezonujący z tym przebudzeniem, które nastąpiło u większości z nas w związku z rosyjską inwazją na Ukrainę. Wiem, że są w tym nadinterpretacje podszyte emocjami i wynikały z potrzeby chwili, ale warto przekonać się na własne oczy, jak ważny dla nas – mimo krotocwilnej czy rozrabiackiej powłoki – jest to film. I, mimo wszystko, jak bardzo o nas.

©

INNI LUDZIE – reż. Aleksandra Terpińska. Prod. Polska 2021. Dystryb. Warner Bros. W kinach od 18 marca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Winter on Fire: Ukraine's Fight for Freedom



Dokumentalny,
reż. Evgeny Afineevsky,
Ukraina/USA/Wielka
Brytania 2015,
Netflix, YouTube (tu za
darmo, ale wersja tylko

z angielskimi napisami)

Chciałoby się to oglądać niczym dokument historyczny, ale rzeczywistość nie pozwala. Surowy zapis „zimy w ogniu” z przełomu 2013 i 2014 roku przywołuje gorącą atmosferę Euromajdanu, czyli ogólnonarodowego zrywu Ukraińców krwawo tłumionego przez oddziały Berkutu. Film otrzymał nominację do Oscara.

2. Najmro. Kocha, kradnie, szanuje



Komedia/kryminał,
reż. Mateusz
Rakowicz, Polska 2021,
Polsat Box Go
Najstojniejszy włamywacz
PRL-u jako bohater popkul-

tury? Twórcy filmu tworzą wokół Najmrodzkiego fantastyczne uniwersum, pełne barwnych postaci, szalonych pościgów, dawnych gadżetów i niezapomnianych przebojów. A przy okazji zgrabnie wprowadzają widza w zupełnie inną epokę. W roli głównej Dawid Ogrodnik.

3. Festiwal Filmów Frankońskich



Przegląd, Niniateka.pl,
18-25 III

W programie znalazły się produkcje z Kanady, Belgii, Szwajcarii i oczywiście z Francji. Zobaczymy m.in.

„Obietnicę poranka” Erica Barbiera wg Rimaina. Gary’ego, animację „Czerwony żółt” Michaëla Dudoka de Witte czy „Olę” Eliego Grappe’a, który opowiada o młodej ukraińskiej gimnastyczce na uchodźstwie. Pokazy są bezpłatne, w oryginalnej wersji językowej, z polskimi napisami.

4. Ostatniej nocy w Soho



Horror,
reż. Edgar Wright,
Krysty Wilson-Cairns,
Wielka Brytania 2021,
VoD

Bohaterka filmu (Thomasin McKenzie) fascynuje się modą z lat 60., ale kiedy nagle przenosi się w czasie do swingującego Londynu, nic nie jest takie, jak się mogło wydawać. Kino grozy spotyka się z toksyczną nostalgią, filmowe cytaty z dizajnem retro, a beztroska zabawa ociera się raz po raz o koszmar przemocy seksualnej.

JAN

Klata: *Ostatnia literka*



OD KILKU TYGODNI WIDĄC JĄ WSZĘDZIE, wyłoniła się znieczarna, zagadkowa, złowieszczą zawłaszczona. Teraz jest osławiona w najczarniejszym, najkrwawszym tego słowa znaczeniu – litera Zet.

Oczywiście, jak to w myślnym tropie, semantycznie rozchwytanym putinowskim świecie, obserwujemy sporo niejasności nie do przezwyciężenia na krótką metę. Być może samo poszukiwanie głębszego sensu jest zadana nam przez przeciwnika stratą cennego czasu. Nie wiadomo, dlaczego akurat ostatnia litera alfabetu, nie wiadomo, dlaczego w kształcie nie-cyrylicznym. Nie brak przeróżnej maści spekulacji co do głębszego Znaczenia Zet: że Z jak Zapad, że Z jak Zetenski, że Z jak Zagwozdka, po prostu.

Wiadomo, że Zet wytyczyło granice przyzwoitości, plasując się na rosyjskim inwazyjnym sprzęcie wojskowym. Zet ocieka krwią niewinnych ludzi, stało się symbolem zbrodni na ogromną skalę. Dla nas tutaj. Dla nich tam Z symbolizuje coś pozytywnego. A zatem Z podzieliło świat, zgodnie z intencją propagandystów tej zagłady. W Rosji hokeiści formują na lodowisku literkę Z, sfrustrowany gimnastyk wchodzi na podium z Z na trykocie (za karę musi wysłuchać hymnu Ukrainy, bo nie wygrał), rosyjscy bariści kunsztownie tworzą Z z pianki. Jest świat Z (w Rosji), i świat pozostałych liter alfabetu. Być może Władisław Surkow, inscenizujący od wielu lat rosyjską rzeczywistość, wybrał literkę Z na symbol Denazyfikacyjnej Operacji Specjalnej, być może się tylko do owej literki heurystycznie podłączył, troszkę ją wyreżyserował, w każdym razie Z działa, na swój sposób.

Wojna produkuje obrazy, obrazy zostają pod powiekami, jest już bardzo wiele takich obrazów. Znamy niezwykle poruszające obrazy ze świata naszej części alfabetu, ze świata atakowanego przez zbrodniarza, ale mnie najbardziej utkwił w duszy odłamek rosyjskiego symulakrum: oto nieuleczalnie chore dzieci na podwórku przed hospicjum onkologicznym w Kazaniu radośnie machają rękoma, ustawione przez opiekunów w literkę Z. Fotografie wykonano z góry. ©

Lektor: *Ukraina, Ukraina!*



Z KAŻDYM DNIEM rosyjskiej inwazji na Ukrainę, z każdym kadrem z oblężonego Mariupola, z każdą kolejną ofiarą, jak ta roześmiana rudowłosa Julia Zdanowska z Charkowa, 21-letnia laureatka olimpiady matematycznej, żegnana na fejsie przez Kanadyjskie Towarzystwo Matematyczne, jest coraz trudniej. Słyszę głosy w obronie rosyjskiej kultury i języka, jakby cokolwiek im z zewnątrz zagrażało. Pewnie co najmniej połowa ludzi w tłumie uciekinierów wypełniających dworzec

w Charkowie mówi na co dzień po rosyjsku, tyle że jakoś nie chcieli czekać na „wyzwoliciele”. Jeśli ktoś niszczy dziś kulturę Rosji, to Putin i ci, którzy go wspierają. Turgieniew, Bunin i Bułhakow, Achmatowa, Mandelsztam i Pasternak to moi ukochani pisarze. Podziwiam Rosjan, którzy mają dziś odwagę protestować przeciw wojnie. Ale po drugiej stronie są teraz zrujnowane ukraińskie miasta, zbombardowane szpitale, martwe dzieci i setki tysięcy uchodźców.

Czy naprawdę podczas krwawej wojny nasz Teatr Wielki nie ma prawa odwołać premiery „Borysa Godunowa”? Może zamiast ubolewać nad prześladowaniami, jakie dotknęły u nas Musorgskiego, lepiej przyrzyć się literaturze ukraińskiej... Pamiętam zachwyty Stanisława Lema „Moscowiadą” Jurija Andruchowycza. W jego „Dwunastu kręgach”, szaleńczo karnawałowej opowieści, pojawia się poeta Bohdan Ihor Antonycz (1909-1937), urodzony na Łemkowszczyźnie, który całe krótkie dojrzałe życie spędził w II Rzeczypospolitej. Andruchowycz wskrzesza Antonycza i obdarza go alternatywnym życiorysem, a my, przeczytawszy „Dwanaście kręgów”, sięgnijmy po tom Antonycza w przekładzie Adama Pomorskiego („Elegia o śpiewających drzwiach i inne wiersze”, 2017).

Bo był to poeta naprawdę wspaniały. I dalsze propozycje: Oksana Zabuzko (jak Andruchowycz, rocznik 1960). Ołeksandr Irwanec, Jurij Izdryk, bracia Taras i Jurko Prochaško, Serhij Żadan (kilkanaście książek po polsku, zgłoszony właśnie do Nobla przez Komitet Nauk o Literaturze PAN), Andrij Bondar, aż po najmłodszych, jak Wiktoria Amelina i Andrij Lubka. A wcześniej? Dmytro Pawlyczko, Lina Kostenko, Mykoła Riabczuk... Przekłady Bohdana Zadury w tomie „Wiersze zawsze są wolne”. W 1959 r. Jerzy Giedroyc opublikował – w języku ukraińskim! – antologię „Rozstrzelane odrodzenie”, poświęconą twórcom wymordowanym podczas stalinowskich czystek. Może dzisiaj, gdy Putin próbuje zniszczyć ukraińską państwowość, ale też kulturę, należałoby przygotować jej polską edycję? ©®

PAWEŁ

Bravo:

Rzecz w paszy



PIĘĆ I PÓŁ GIGAWATA TO MOC GOTOWYCH do postawienia elektrowni wiatrowych i słonecznych, którym włoski rząd obiecał przyspieszyć biurokratyczną mitręgę. A mógł obiecać, bo nadał sobie w ramach ichniejszego krajowego planu odbudowy takie prerogatywy przy wszelkich zielonych projektach. Na drodze stanęła jednak konstytucja, a konkretnie osobny artykuł o ochronie dziedzictwa artystycznego oraz krajobrazu, na który powołuje się minister kultury, aby przetrzymać na swoim biurku papiery. Nie będą panele szpeciły zabytkowych miejskich dachów mieniących się setką odcieni czerwieni, różu, umbrzy i palonej sjeny. Nie będą wiatrakowe słupy czynić konkurencji cyprysom i dzwonnicom w nadawaniu rytmu, ach, jakże powabnym liniami pagórków.

Te gigawaty zawieszone w imię piękna to całkiem sporo, zważywszy, że Włochy potrzebują co rok dodać ich osiem, żeby osiągnąć cele neutralności z Zielonego Ładu. Do niedawna to był tylko zabawny, marginalny przykład tego, że promotorzy karkołomnej transformacji energetycznej nie biorą pod uwagę, jak bardzo oporna jest rzeczywistość i jak gęsta sieć przepisów, które musi przeciąć wektor zmian. Od kiedy jednak każde alternatywne wobec gazu źródło energii stało się narzędziem obrony przed rosyjskim Mordorem, troska o każdą średniowieczną dachóweczkę nabrała innego ciężaru.

Wojenna sytuacja jasno pokazała, że Zachód jest, owszem, przywiązany do wartości demokracji i rządów prawa, ale w równym stopniu pozostaje przywiązany do kaloryfera. A zielony wytrych do tych kajdanek nie zadziała dość szybko, nawet w kraju takim jak Niemcy, któremu wiatraki i panele jakoś nie szkodzą na urodę. I dlatego słychać stamtąd jakże starannie policzone co do eurocenta argumenty na rzecz tego, żeby z gazem rozstawać się jak najwolniej, przy których problemy Włochów z pejzażem wydają się zaiste błahę.

W każdym razie, jeśli zaczną oni serio rozwijać odnawialne źródła energii, to będzie to uboczny skutek strachu przed Rosją, a nie troski o ochronę planety przed katastrofą klimatyczną. Ale nie w każdym aspekcie wojna służy Zielonemu Ładowi. Jeszcze nie sposób oszacować konsekwencji, jakie będzie miało odcięcie od naszych rynków dwóch kluczowych producentów pszenicy, kukurydzy, rzepaku i słonecznika (Ukraina nie ma teraz możliwości eksportowania czegokolwiek, no i nie wiadomo, co będzie z wiosennym zasiewem, Rosja z kolei objęta jest sankcjami), ale organizacje dbające o dobrostan europejskiego agrobiznesu już ruszyły do działania. Jest świetna okazja, by

mocno ociosać strategię „od pola do stołu” i inne kłopotliwe dla przemysłowego rolnictwa elementy Zielonego Ładu.

„Jeśli bezpieczeństwo żywnościowe jest zagrożone, musimy spojrzeć ponownie na wyznaczone cele, a być może je poprawić” – orzekł unijny komisarz rolny Janusz Wojciechowski. Rzecz może w pierwszym rzędzie dotyczyć limitów stosowania pestycydów, procenta obowiązkowych upraw organicznych oraz nakazu utrzymywania części ziemi ornej odłogiem dla zachowania bioróżnorodności.

Europa, twierdzą zwłaszcza francuscy politycy, musi dążyć do suwerenności żywnościowej. Dowcip polega na tym, że – czego już tak głośno politycy i komisarze w telewizji nie powiedzą – to nie jest bezpieczeństwo rozumiane tak, jak je nawiśnie pojmujemy: żeby nam starczyło mąki na chleb i ziemniaków do zupy. Podstawowych zbóż i tłuszczów roślinnych przeciętnemu Europejczykowi nie zabraknie, a zwyżkę ich cen powinno się dać zrównoważyć pieniędzmi, które nie rozbijają równowagi budżetowej. Zagrożone są natomiast, i to poważnie, pasze dla europejskich zwierząt. Czyli fundament potężnej branży, jaką jest eksport żywności, a ściślej – eksport mięsa i nabiału. Bo to w serach, szynkach i pasztetach Europa jest światową potęgą, a nie w dziedzinie kaszy czy gruszek. To te odzwierzęce gałęzie produkcji są najbardziej rentowne, choć spora część świata nie ma okazji docenić, jak wspaniałą jest rzeczą szynka parmeńska i camembert z surowego mleka.

A może właśnie nadarza się – mimowolnie – okazja, żeby radykalnie zmniejszyć skalę hodowli (a także często, choć nie zawsze, cierpienia) świń, krów i ptactwa? Skoro pod wpływem wojennego szoku wszystko może ulec przewartościowaniu, to czemu nie rola hodowli dla tożsamości rolnictwa, zwłaszcza że straciło ono już dawno cnotę, której szukano na wsi od czasów starożytnych? Aktywiści na rzecz diety roślinnej, obawiam się, zaraz wsiądą na tego konia i zaczną zrażać wszystkich dookoła swoją zazwyczaj wyższościową narracją. I skończy się tym, że przedziej Niemcy zbudują pięć nowych siłowni atomowych, Włosi zaś okleją panelami Koloseum, niż jedni czy drudzy dadzą sobie zamknąć choćby jedną chlewnię. ©P

Oto jeden z bardziej sycących, dobrych na chłody makaronów, którego nie byłoby bez mięsa i nabiału – penne al baffo, czyli „wąsate”, bo po zjedzeniu trzeba dobrze wytrzeć usta. Kroimy w drobne paseczki 100 g szynki gotowanej (unikamy mocno wędzonej, powinna to być bardzo łagodna potrawa). Jeśli mamy pod ręką, to możemy częściowo zamienić ją na suszoną (parmeńską, San Daniele, serrano itd.). Podsmażamy szynkę przez minutę na dużej patelni na 4 łyżkach oliwy, zmniejszamy ogień i dodajemy powoli ok. 250 ml śmietanki kremówki, ciągle mieszając,

a potem jeszcze kilka łyżek przecieru pomidorowego (sos powinien się zrobić bladoróżowy, jak stara toskańska dachówka). Dusimy na minimalnym ogniu 10 minut. Przerzucamy na patelnię ugotowany krótki makaron (300 g na 4 osoby), łączymy z sosem na ciepło, posypujemy szczodrze siekaną natką pietruszki.





Prezydent Wołodymyr Zelenski jako Harry Potter – mural artysty o pseudonimie Kawu. Poznań, 9 marca 2022 r.

DYWERSJA KOMICZNA

OLGA DRENDĄ, ANTROPOLOŻKA KULTURY:

W obśmiewaniu dyktatorów jest coś bardzo środkowoeuropejskiego. Pewnie dlatego, że w czasie wojen mogliśmy wygrać tylko sprytem i hartem ducha. Nieprzypadkowo to Václav Havel napisał „Siłę bezsilnych”.

MONIKA OCHĘDOWSKA: Znasz mem, na którym Władimir Putin nad mapą Ukrainy wścieka się, że „nie lubi na niej grać”? Obiegł się bardzo szybko po nieudanym rosyjskim blitzkriegu.

OLGA DRENDĄ: Od kilkunastu dni trwa wojna, w której humor jest potężnym narzędziem. Po pierwsze, sam Putin lubi robić sobie żarty, zwykle na granicy groźby. Nawet w swoich deklaracjach napaści na Ukrainę próbował w knajacki sposób dowcipkować. On reprezentuje taki bardzo agresywny hu-

mor gitowca – śmieje się, jednocześnie wymachując nożem. Z podobnych zagrywek słynął Stalin, stosował je zwłaszcza wobec podwładnych, którym potrafił na przykład wręczać fikcyjne wezwania na przesłuchanie – gdy byli przekonani, że już po nich, Stalina szalenie to bawiło.

Po drugie, trolling długo był wyłącznie bronią Rosji, prowadzącej skuteczną, rozproszoną wojnę informacyjną, również przy pomocy memów. Niespodziewanie okazało się, że Ukraińcy są w tym równie dobrzy, a może nawet lepsi od Rosjan.



JAKUB KACZMARCZYK / PAP

Najważniejsza zasada rozmowy z tyranami brzmi „nie pokazuj, że się boisz”. Skontrowanie agresji Putina poczciwym i zarazem zawiadackim humorem, który reprezentuje Ukraina, to fantastyczny manewr.

Seria memów śmieszkujących z prezydenta Rosji doczekała się już etykiety „Vladdy Daddy”. Z kolei stary serial komediowy z Wołodymyrem Zełenskim w roli głównej jest hitem YouTube’a. Sam Zełenski, okrzyknięty przez media „kapitanem Ukrainą”, wyrósł jednocześnie na męża stanu i bohatera popkultury.

Zakładam, że Zełenski – jak każdy doświadczony komik – doskonale wie, że łatwiej sympatyzować z kimś, kogo się lubi. To dla Ukrainy jeden z ważniejszych elementów *soft power* i broń konsolidacyjna o dużej sile rażenia. Nagrywając codziennie filmy ku pokrzepieniu serc rodaków, Zełenski wykorzystuje swoje aktorskie umiejętności, by budować w narodzie morale.

Dodatkowo memy z Putinem czy zdjęcia pokazujące rosyjskich żołnierzy, którzy utknęli w windzie, potrafią skutecznie zagłuszać strach i mobilizować Ukraińców do obrony ojczyzny, szczególnie przy świadomości militarnej przewagi przeciwnika. Aż się chce wykrzyknąć za Asteriksem i Obelik-

sem „ale głupi ci Rzymianie!”, bo dziarska Ukraina może się kojarzyć z komiksową wioską niepokonanych Galów. Ten zabieg ma bardzo stare tradycje. Francuski historyk Georges Minois pisał o śmiechu u Homera jako wyrazie triumfu w obliczu śmierci. Spartanie mieli ćwiczyć się w śmiechu, ale też w nieuleganiu prowokacjom i drwinom – dzisiaj powiedzielibyśmy, że uczyli się, by nie karmić trolla.

Skądinąd śmiech przeciwko śmierci jest także nam, Polakom, bardzo bliski ze względu na różne precedensy historyczne. Obecny był przez cały okres II wojny światowej w materiałach podziemia i ówczesnym folklorze, pozostawił po sobie wiele śladów, nie tylko w „Zakazanych piosenkach”.

Satyrycznych obrazkach przewrotnie komentujących okupacyjną rzeczywistość.

Tak, kuplety, rymowanki, „siekiera, motyka” – na takich samych zasadach do współczesnego folkloru trafiają memy. Są trochę skonwencjonalizowane, ale przede wszystkim – skrótowe i czytelne.

Kiedyś rolę memów, jako nieformalnego dystrybutora informacji, pełniły legendy miejskie i tzw. pieśni nowiniarskie. Sto lat temu w niektórych regionach Polski, tam, gdzie spora część mieszkańców była niepiśmienna, szło się na targ i robiąc sprawunki słuchało tak zwanego dziada, który śpiewał, dajmy na to, o zatonięciu Titanica. W ten sposób rozchodziły się bieżące wiadomości.

Najczęściej były to oczywiście przeróżne sensacje, ale ostatnie zachowane pieśni nowiniarskie informowały o zbrodniach, jakie miały miejsce w obozach koncentracyjnych. Potem pojawiło się radio, Polska Kronika Filmowa, i zwyczaj zanikł.

Ale chyba nikt sobie nie żartował z obozów?

Nie, choć w samych obozach humor był obecny, właśnie jako śmiech przeciwko śmierci. Brzmi to obrazoburczo, ale chodziło o sprzeciw, zachowanie godności, „siłę bezsilnych”. Więźniowie nie byli przecież niszczeni jedynie w sensie fizycznym, ale też odczłowieczani, poniżani. Wyśmiewając w tajemnicy swoich katów, bronili się przed okrucieństwem. Małgorzata Rejmer w „Bukareszcie” przytacza mnóstwo dowcipów rumuńskich z czasów Ceaușescu, a przecież to była jedna z najbardziej ponurych dyktatur.

Spójrz, w czasie wojny w Ukrainie pojawia się wiele śmieszkowych aktów dywersji. Zełenski umie trafić Putina w czuły punkt i zachęca go na przykład do spotkania w cztery oczy. Putin, jak wielu dyktatorów, jest przepehiony lękami o swoje bezpieczeństwo i pozycję, dlatego się zabunkrowuje albo przyjmuje gości przy 30-metrowym stole. Trudno wyobrazić sobie, by kiedykolwiek mógł zaśmiać się z siebie samego. I Zełenski sprytnie ustawia go w pozycji niepewnego, oderwanego od rzeczywistości... Mówiąc językiem memów, to „Chad Zełenski i Virgin Putin”.

Taka dywersja bywa zresztą bardzo kreatywna. Bardzo spodobalo mi się zagłuszanie rosyjskich wojskowych stacji radiowych cenzopapą – popularną „Barką” w wersji hardbass, czyli przerobioną na takie „ruskie techno”.

Wyjaśnijmy – cenzopapa to żarty i memy z papieżem.

Skądinąd przy okazji beatyfikacji kardynała Wyszyńskiego pojawiło się w sieci także „cenzo Wyszyńskie”.



→ Dzięki temu, że jesteśmy krajem katolickim, możliwe jest w ogóle stworzenie wokół żartów z papieża czy żartów z Wyszyńskiego czegoś, co socjolog Kazimierz Żygulski nazwał wspólnotą śmiechu. Jak długo wspólnota jest w stanie zrozumieć kontekst żartu, tak długo pozostaje on w ogóle czytelny, czyli – mówiąc krótko – bawi. Kiedy wspólnota się rozluźnia, dowcip automatycznie przestaje być śmieszny, czasem nawet staje się obraźliwy czy łamiący tabu.

Tuż po II wojnie w popularnym zabawnym komiksie o przygodach Wicka i Wacka pojawiło się kilka scen z obozu koncentracyjnego. Jak pisał historyk literatury Janusz Dunin, byliśmy wówczas tak oswojeni z makabrą, że nikogo to nie zdziwiło.

To był pierwszy powojenny komiks pojawiający się w odcinkach w łódzkiej prasie. Wydanie książkowe miało niewyobrażalny dziś nakład 250 tys. egzemplarzy.

Jakiś czas później komiks został uznany za zbyt drastyczny. Im więcej czasu mijało od zakończenia wojny i im bardziej jako wspólnota oddalaliśmy się od wojennych doświadczeń, tym bardziej żartowanie z Auschwitz stawało się tematem tabu. Nie było już potrzeby osławiania traumy tamtych lat poprzez śmiech.

Podobna sytuacja miała miejsce dziesięć lat temu, gdy jedna z sieci komórkowych wykorzystała w marketingu retorykę komunistyczną, wstawiając do swoich reklam śmiesznego, animowanego Lenina, co od samego początku wywołało spore oburzenie. Ktoś zgłosił nawet tę reklamę do KRRiTV jako propagującą totalitaryzm.

Tymczasem jeszcze na początku lat 90. żarty z symboli komunistycznych były bardzo popularne – na przykład graffitiarskie przeróbki portretów Lenina, które chwilę wcześniej wisiały w szkolnych salach. PRL dopiero co się zakończył, były to więc bardzo czytelne odniesienia. Ówczesne błazenady wokół Lenina miały jednak karnawałowy charakter odreagowania – cenzury, partyjnej nowomowy, ceremonialnych gestów.

Gdy pożyliśmy już dostatecznie długo w III RP, konteksty związane z komunizmem przestały być czytelne. Co więcej, pojawiły się nowe narracje polityczne, podkreślające zbrodnie stalinowskie.

Zatem to nie przypadek, że tak dużo wojennych memów oglądamy właśnie teraz, gdy ostrzeliwany jest Kijów.

I możemy być pewni, że z czasem one będą ewoluować i nastąpi coś takiego, co polska folklorystka Dorota Simonides nazwała izolacją komiczną. Dla kolejnych pokoleń twórców memów tematy tak kontrowersyjne jak przemoc, wojna czy ludobójstwo, wyjęte z dzisiejszego, przejmującego kontekstu, staną się abstrakcją. To się zresztą dzieje cały czas. W zeszłym roku bardzo popularna była seria memów, w których zupełnie przypadkowym postaciom, rzeczywistym albo fikcyjnym, dopisywano zdanie, że są odpowiedzialne za zbrodnie wojenne w byłej Jugosławii. Kilka lat temu krążyły też po sieci tzw. cenzodudy, czyli śmieszki z prezydenta, dość

Śmiech u Homera był wyrazem triumfu w obliczu śmierci.

Spartanie mieli ćwiczyć się
w śmiechu i nieuleganiu
drwinom. Uczyli się, by nie
karmić trolla.

drastyczne, w których wydaje on rozkaz rozstrzelania wszystkich Polaków albo zbombardowania Hiroshimy. Dorota Simonides sama zresztą spisywała dowcipy o „Jasiu w obozie koncentracyjnym” opowiadane przez uczniów w latach 70. Przypominały sceny z kreskówki o Tomie i Jerry’em.

Zasadą memów jest balansowanie na granicy tabu?

Niedawno trafiłam na amerykańską standuperkę Heather Jordan Ross,

k która organizuje spektakle terapeutyczne dla ofiar gwałtów. Może się to wydać szokujące, ale kobiety naprawdę żartują sobie z tego, że zostały zgwałcone, to dla nich rodzaj *katharsis*. Mówią: „chcieli mnie zniszczyć, ale ja wciąż tu jestem i sama zdecyduję, jak mam żyć, jak się czuć” – przejmują kontrolę nad opowieścią.

Jak wyjaśniał amerykański komik George Carlin, chodzi o tzw. *punching up*, czyli wyśmianie silniejszego. W latach 80. Pomarańczowa Alternatywa przebierała się za krasnoludki. To sprawiło, że milicjanci, rozganiając tłum demonstrantów, krzyczeli za nimi ku uciesze ulicy „gonić czerwonych!”.

Nawet teraz się śmiejemy.

Swoją drogą myślę, że jest w tym coś bardzo środkowo-europejskiego. Pewnie dlatego, że kiedy w czasie wojen stawiliśmy jak Dawid przeciwko Goliatowi, mogliśmy wygrać tylko sposobem, sprytem, hartem ducha. Nieprzypadkowo Václav Havel napisał „Siłę bezsilnych”, w której wyjaśniał, że poddani opresji mają w sobie samych moc, by postawić jej granicę.

Siłą humoru PRL-u, weźmy na przykład Kabaret Starszych Panów, było także to, że wszystkich traktował równo – humor inteligentny nie był wyłączony inteligencji, natomiast zakładał, że odbiorca niezależnie od pochodzenia ma swój rozum i nie można traktować go paternalistycznie. Jeszcze na początku lat 90. w Polsce było bardzo dużo takiego demokratycznego, często autoironicznego humoru. Potem dowcip obniżał loty, stawał się coraz mniej wyszukany, oparty na coraz tańszych chwytach, czego symbolem stały się telewizyjne kabarety. Wtedy też pojawiło się sporo pogardliwego humoru – na przykład stereotypizującego wieś.

Dlaczego?

Bo normalność nie jest czymś określonym raz na zawsze, jest płynna. Ludzie uczą się, co to znaczy „zachowywać się normalnie”, a w latach 90. „normalnie” oznaczało między innymi „jak biznesmen”. Taki był ówczesny aspiracyjny model Polaków zapatrzonych w zachodnie style życia, skądinąd już w tamtych czasach na Zachodzie odchodzących do lamusa. Kiedy w Stanach dorastało pokolenie kpiące z yuppies, w Polsce aspirowaliśmy dopiero do bycia nimi, natomiast kojarzący się z latami 80. inteligent w swetrze czy mieszkaniowiec wsi nie pasował do tego obrazka. I dlatego posłużył jako narzędzie do poprawiania sobie oceny.

Smutny moment w historii polskiego poczucia humoru.



PAULINA MACIEJEWSKA

OLGA DRENDA jest badaczką i pisarką. Autorką książek „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji”, „Wyroby. Pomysłowość wokół nas” oraz rozmów „Czyje jest nasze życie” (wspólnie z Bartłomiejem Dobroczyńskim) i „Książki o miłości” (wspólnie z Małgorzatą Halber). Wkrótce ukaże się jej książka o śmiechu „Słowo humoru”.

Ale z czasem w kontrze do pogardy znów pojawiła się autoironia. Nieprzypadkowo ulubionym filmem Polaków jest „Dzień świra”. Znamienne, jak wielu z nas rozpoznało się w Adasiu Miauczyńskim. Bohater filmu Marka Koterskiego jest samotny, ulepiony z wielu negatywnych autostereotypów, balansuje na granicy inby, wszystko go wpienia, nie znosi ludzi, jest niespełniony, upupiony i zależny od matki. Paskudny człowiek, którego da się lubić, bo czasem wszyscy czujemy się tak jak on. Nasz drugi ukochany bohater to Ferdynand Kiepski – trochę cwaniak, trochę leń, ale nie sposób z nim nie empatyzować.

Miauczyńscy i Kiepscy pokazują, że świat zwariował, oni pragną tylko spokoju. W świecie memów mamy oczywiście ich odpowiedniki – zawistnego pieniacza Janusza Nosacza i Cheemsa: smutnego, żółtego psa, nowe wcielenie klasycznego polskiego przegrywa.

Jeżeli cały czas śmieszkujemy, trudno powiedzieć coś serio. Wtedy wkracza przegryw?

David Foster Wallace skrytykował kiedyś amerykańską popkulturę za przedawkowanie ironii. W odpowiedzi na ten stan rzeczy nadeszła fala tzw. nowej szczerości, bezpośredniego mówienia o swoich uczuciach i przeżyciach. Pamiętam, że we wczesnych latach swojego istnienia polski internet był konfrontacyjny, złośliwy, w ciągłej defensywie. Ironia była wtedy formą samoobrony.

A potem pojawił się „Bohater” Małgorzaty Halber – postać wyrażająca stany emocjonalne, o których ludzie zwykle wstydzą się mówić. Bohater pomógł wielu osobom poczuć, że nie są same z trudnymi emocjami. A więc znów humor stał się punktem wyjścia do poważnej rozmowy, w tym przypadku o zdrowiu psychicznym.

Był taki mem z hasłem „na pozór silny pies, a w środku już kres” – myślę, że tego typu treści pozwoliły nam zacząć rozmawiać o smutku, wyczerpaniu czy depresji. Mam swój ulubiony przykład. „Jak pan się czuje?” – pyta terapeuta. „A mogę po prostu pokazać odpowiednie memy?” – odpowiada pacjent.

Mem z mapą i Putinem, o który spytałam Cię na początku, miał już niezliczoną liczbę wcieleń. Komentował wejście Amazona na polski rynek albo wprowadzenie czerwonych stref w czasie pandemii. Powtórne wykorzystanie memów sprawia, że żart staje się tym bardziej zabawny, o ile kojarzymy jego wcześniejsze wersje?

I tak, i nie. Rzeczywiście jest tak, że korzystamy z tej samej matrycy, zmieniając w dowcipach osoby czy okoliczności.

Dzisiejsze żarty z Putina były wcześniej żartami z Breżniewa czy Stalina.

A w dowcipach o Jasiu występowali potem zamiast niego głupi milicjanci. Niektóre żarty okazują się żartami naprawdę długiego trwania. Zmienia się scenografia, zmieniają bohatera,

a formuła zostaje. W potocznym obiegu wiedzy i folklorze słownym nadal funkcjonują powiedzonka z czasów tużpowojennych. Choćby „gra półśłówka”, w której cały dowcip polega na tym, by ukryć niecenzuralne treści za niewinnym sformułowaniem, wystarczy tylko przestawić głoski: tenis w porcie, szal na kortach itd. To zabawa sięgająca jeszcze czasów bikiniarzy, tyle tylko że jej korzenie się rozmyły. Skądinąd myślę, że w czasach fake newsów przyda nam się powrót do kawałów o Radiu Erewań.

Oczywiście nie jest też tak, że tkwimy w jakiejś koleinie. Całkiem niedawno przeprowadzono badania na temat tego, jak zmieniają się preferencje dotyczące humoru i o ile dwadzieścia, trzydzieści lat temu najbardziej popularny był w Polsce humor

sytuacyjny, to obecnie – i jest to oczywiście zasługa internetu – najbardziej nas śmieszy humor absurdałny.

I chyba coraz trudniej o żart, który śmieszy wszystkich.

To dlatego, że treści kultury docierają do nas różnymi kanałami, nastąpiło rozdrobnienie wspólnot śmiechu. Ale memy, które nawiązują do polskiej kultury, starych komedii, np. „Misia”, „Kilera” czy „Dnia świra”, są zrozumiałe dla każdego i nie wymagają zaawansowanych kompetencji internetowych. Także filmiki na YouTubie, które bawiły nas kilka lat temu, dziś pełnią rolę swego rodzaju zabytków, zyskując drugie życie jako retro żarty. Słynny „forfiter”, prehistoria internetu, wraca na fali nostalgii jako humor retro.

Skoro mówisz o humorze retro... Komentujący od ćwierćwiecza bieżące wydarzenia animowany serial „South Park” zdążył już odnieść się do rosyjskiego ataku na Ukrainę. Jego autorzy śmieszkują z Putina, że rozpętał wojnę, bo mentalnie utknął w latach 80. W najnowszej powieści bułgarskiego pisarza Georgiego Gospodinowa „Schron przeciwczasowy” Europejczycy głosują, do jakiej dekady chcieliby powrócić, i... wybierają lata 80. A ja na głównych stronach portali informacyjnych czytam dziś o Czarnobylu.

Ale pamiętajmy, że to właśnie bardzo intensywny obieg popkultury w latach 80., pod koniec zimnej wojny, pozwolił zyskać Zachodowi przewagę kulturową. Jest taki film „VHS vs Communism”, który opowiada o tym, jak nieoficjalny obieg zagranicznych filmów wideo w Rumunii przyspieszył erozję tamtejszego reżimu.

Wojna w Ukrainie uczy nas, jak ważna jest *soft power*, której mocy czasami nie doceniają militarne jastrzębie. Finlandia jest dumna z wojny zimowej i odwagi swoich żołnierzy, ale myślę, że równie istotne jest to, że tylko skończony drań mógłby zaatakować kraj Muminków. Podobnie Korea Południowa – ma silną armię, ale jej tajna broń to k-pop, którego boją się nawet w Chinach. To dobra lekcja, również dla Polski.

© © Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Z ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o odejściu

Zofii Gołubiew

historyczki sztuki, muzealniczki,
członkini Społecznego Komitetu
Odnowy Zabytków Krakowa.

Przez wiele lat kierowała Muzeum Narodowym
w Krakowie.

Zawsze mogliśmy liczyć na jej
szlachetną życzliwość i wsparcie.

Kraków poniósł dużą stratę!
Jej bliskim składamy wyrazy współczucia.

**ZESPÓŁ MUZEUM ETNOGRAFICZNEGO
W KRAKOWIE**

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

Zofii Gołubiew

Od lat 80. była związana z Cricotką
i Tadeuszem Kantorem. Wybitna znawczyni
jego twórczości i autorka wystaw poświęconych
artyście, m.in. w Muzeum Narodowym w Krakowie,
w Japonii i Hiszpanii.

Członek Rady Programowej Cricoteki
w latach 2014–2019.

Rodzinie oraz Bliskim składamy najszczerze
wyrazy współczucia.

DYREKCJA ORAZ ZESPÓŁ CRICOTEKI

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu

Ś.†P.

Zofii Gołubiew

Wieloletniej dyrektorki Muzeum Narodowego
w Krakowie.

Naszej Drogiej Koleżance
prof. Katarzynie Barańskiej
składamy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

**SPOŁECZNOŚĆ INSTYTUTU KULTURY
UNIwersYTETU Jagiellońskiego**

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Zofii Gołubiew

historyka sztuki, synowej współzałożyciela Znak,
pisarza Antoniego Gołubiewa,
wieloletniej dyrektor Muzeum Narodowego
w Krakowie, które pod jej kierownictwem poszerzyło
swoje posiadanie o liczne nowe placówki,
a wśród nich o Pawilon Józefa Czapskiego.

Kasi i wszystkim najbliższym składamy wyrazy
serdecznego współczucia.

**PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA
I MIESIĘCZNIKA ZNAK**

9 marca zmarła w Krakowie w wieku 79 lat

Ś.†P.

Zofia Gołubiew

Absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, wkrótce po studiach związała się z krakowskim
Muzeum Narodowym, pełniąc w nim kolejne funkcje, by w roku 2000 objąć na piętnaście lat stanowisko dyrektora.

Wprowadziła Muzeum w nowe stulecie, rozbudowując je i modernizując.

Była ważną postacią w środowisku muzealników i w świecie kultury swojego miasta.

Żegnamy Ją z żalem, składając Jej Bliskim wyrazy serdecznego współczucia

TYGODNIK POWSZECHNY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



 **audioteka**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Rozwijam firmę.
Działam w stowarzyszeniu.
Dyskutuję o polityce.
To podejrzane?



SUBJECT_09214

REKLAMA

POLSKIE SŁUŻBY DZIAŁAJĄ POZA KONTROLĄ

Nikt ci nie powie, kiedy będą cię podglądać.

Pomóż to zmienić: wejdź na niktciniepowie.org i przekaz 1% podatku (KRS: 0000327613)



**FUNDACJA
PANOPTYKON**

STANISŁAW

Mancewicz:

O wizerunku



ZAISTE, NIGDY WCZEŚNIEJ, MOŻNA RZEC, że od początku istnienia ludzkości, tyłu co dziś ludzi nie zajmowało się zarabianiem na życie, pracując nad malowaniem wizerunków. Swoich, czyichś, nad głódzią przedsięwzięć biznesowych, wizerunkami partii politycznych, pięknnością polityków i krain przez owych polityków akurat rządzonych.

Wizerunek, czy to osobisty, czy polityczny, czy ekonomiczny, jest czymś dziś niemal najważniejszym. Do budowania jakiegoś konkretnego wizerunku zatrudnia się niesamowite rzesze inżynierów i techników manipulacji, są to ludzie specjalizujący się we wszystkim, od dobierania garsonki, przyciasnego garnituru, a może właśnie zbyt luźnego, poprzez ćwiczenia delikwentów w robieniu min, ruszaniu rękoma, głową, oczami, po podgłanianie boków głowy, modulowanie głosu i używanie języka – choźi nam tu tym razem o aktywność lingwistyczną.

Od jakiegoś czasu Polska znajdowała się w osobliwym miejscu jeśli idzie o wizerunek. Rządzący tu nacjonałści wykreowali nasz obraz – delikatnie rzecz ujmując – na miarę własnego poczucia estetyki, bo chyba jednak nie do końca – potrzeb. Poza kołami im podobnych wielbicieli wiadomo kogo obraz ten był obrzydliwy. Oto zamykający się kraj, z kradnącymi politykami, mówiącymi najdziwniejsze rzeczy, łamiącymi prawo i obyczaje, trzymającymi w rękach naprędcę napisane podręczniki fałszywej historii, pliki kartek z kłamliwymi opisami teraźniejszości i przyszłości, z osobnikami u władzy popadającymi w nieokiełznane melancholie bądź to dziwne euforie, sublimującymi kompleks straszliwej niższości w kompleks groteskowej wyższości, gardzącymi innymi i inaczej myślącymi.

Ludzie ci oczywiście zatrudnili wielu speców od wizerunku – sprawnych propagandystów obracających dowolnie materiałem na poziomie lokalnym. Jeśli zaś idzie o pracę wizerunkową za granicą, ostatnie lata – trzeba powiedzieć bezstronnie – to czas klęski i najbardziej żenujących chyba dla każdego Polaka wykopalisk z zatęchłej kopalni stereotypów. Obserwowanie tego wszystkiego nie było zajęciem miłym, a na pewno było okropnie nudne, bowiem co najmniej 99 procent stereotypów o Polsce i Polakach powstało dawno i owa odświeżona lista jest nam przecież znana jak zły szeląg. Słowem, polskie prace wizerunkowe – tak uważamy – szły w świecie w kierunku kompletnej katastrofy. Nie ma po co wymieniać krajów z tej samej ligi, ale rzecz trzeba, że nie było w niej wcale Rosji Putina. Ostatnie dni – to uzupełnienie – wydobyły Polskę z mulistego dna i jest to wiadomość oczywiście dobra.

Rosja przez ostatnie kilkadziesiąt lat miała mieszany piar z przewagą wizerunku niedźwiedziego, czyli czegoś pomiędzy srogością, wielką rzewnością i nieokiełznaniem, też w kulturze. Na pewno wizerunek ten był skomplikowany, raczej pozytywny, raczej budzący podziw i może nieco obaw, ale bez hysterii. Zbrodnie stalinowskie w wyobrażeniach masowych – na Zachodzie – są dziś pamiętane mało, wojna afgańska Rosję ośmieszyła, a obie czecheńskie mało kogo obeszyły, zajęcie Krymu namiętnie dyskutowano. Dyskutowano – to dobre słowo. Mówiono o pradawnych rosyjskich ziemiach, o koniecznościach dziejowych, o weryfikacji źle wytyczonych granic, wielu dyskutujących nie kryło podziwu dla męskiej siły Putina... Wyrażnie z tego, co powyżej, widać, że mamy kłopot z syntezą wizerunku Rosji, że nie do końca umiemy opisać go poza perspektywą polską, uważaną powszechnie za historyczną. Nie szkodzi, bo po prostu nie jest to już do niczego potrzebne. Tamten mglisty, trudny wizerunek jest zupełnie nieaktualny. Zupełnie i nigdzie. Nawet – *pardon* – w Chinach. Rosja w sferze wizerunku, w każdym sensie, na każdym poziomie, wszędzie, spektakularnie przegrała. To jest nieprawdopodobna klęska, z której kraj ten nie dźwignie się przez dziesiątki lat. Zważywszy, czym jest dziś wizerunek, można powiedzieć, że żadna inna klęska nie będzie tak kluczowa. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe S-NET Data Center zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

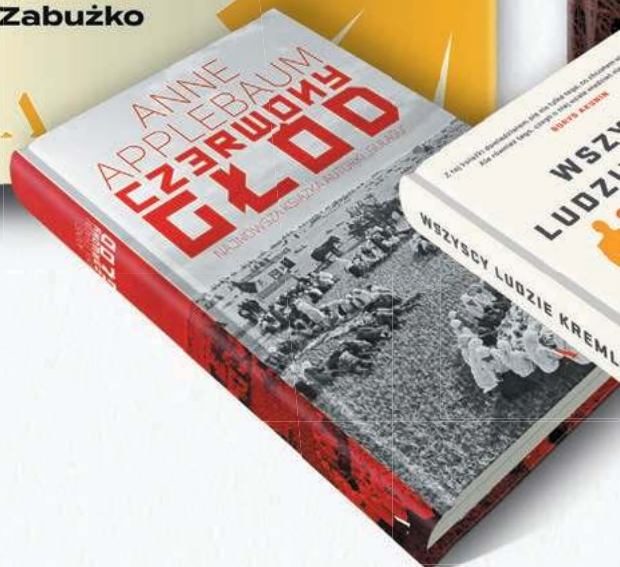
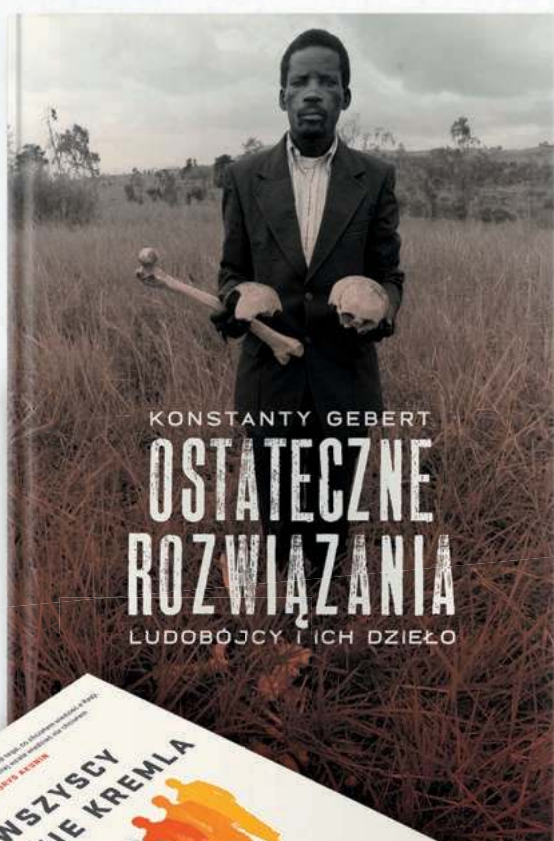
+48 **12 395 71 00**

W Y D A W N I C T W O A G O R A P O L E C A

Czytaj, aby zrozumieć

Ukraina mówi własnym głosem o wojnie
stuletniej z Imperium Zła.

Ludobójcy i ich dzieło.
Dlaczego historia się powtarza.



Historia zbrodni Hołodomoru
i stalinowskiej maszyny propagandowej.

Putin z nowoczesnego lidera zmienił się
w postrach całego świata. Jak do tego doszło?